

**Philip Roth**

**Kompleks Portnoya**

**(Przełożyła: Anna Kołyszko)**

**Kompleks Portnoya** [termin pochodzący od: Aleksander Portnoy (1933- )] - zaburzenie, w którym silne obiekcje moralne i skłonności altruistyczne pozostają w ciągłym konflikcie z ekstremalnymi pragnieniami seksualnymi, często o charakterze perwersyjnym. Opis Spielvogla brzmi: „Występują liczne akty ekshibicjonizmu, voyeuryzmu, fetyszyzmu, autoerotyzmu i oralnych stosunków płciowych; jednakże ze względu na «moralność» pacjenta ani fantazje, ani owe akty nie przynoszą mu prawdziwej gratyfikacji seksualnej, wywołują natomiast destruktywne poczucie winy i lęk przed karą, zwłaszcza w formie kastracji” (Spielvogel, O., *Zdumiony penis*, „Internationale Zeitschrift für Psychoanalyse”, vol. XXIV, s. 909). Spielvogel uważa, że przyczyn wielu objawów można doszukać się w więzach cechujących relację matki i dziecka.

## **NAJBARDZIEJ PAMIĘTNA OSOBA MOJEGO ŻYCIA**

Była tak głęboko zakorzeniona w mojej świadomości, że przez pierwszy rok szkoły widziałem w każdej nauczycielce swoją matkę w przebraniu. Po ostatnim dzwonku gnałem co tchu do domu, zastanawiając się w biegu, czy zdołam tam dotrzeć, nim ona zdąży wrócić do normalnej postaci. Ale kiedy wpadałem do kuchni, matka niezmiennie już się krzątała, stawiając przede mną mleko i kruche ciasteczka. Doznana porażka nie rozwiewała jednak moich złudzeń, a tylko zwiększała szacunek dla jej mocy. No i zawsze odczuwałem ulgę, że nie złapałem jej między wcieleniami - chociaż nie rezygnowałem z prób; wiedziałem, że ani mój ojciec, ani siostra nie mają pojęcia o prawdziwej naturze matki, gdyby więc kiedykolwiek udało mi się ją przyłapać znienacka na gorącym uczynku, to ciężaru zdrady, który, jak sądziłem, spadnie wówczas na mnie, w wieku lat pięciu nie podjąłbym się udźwignąć. Pewno miałem też stracha, że czeka mnie smutny koniec, jeżeli zobaczę, jak matka wyfruwa ze szkoły i wlatuje przez okno do naszej sypialni albo wyłania się, kończyzna po kończyźnie, ze stanu niewidzialności i wskakuje w fartuch.

Naturalnie, kiedy prosiła, żebym opowiedział, co robiłem w przedszkolu, relacjonowałem cały dzień ze szczegółami. Nie rozumiałem bynajmniej wszystkich implikacji jej wszechobecności, wierzyłem tylko święcie, że w ten sposób kontroluje, jak się sprawuje jej synek, kiedy uważa, że matki nie ma w pobliżu. Jeden ze skutków mojej fantazji przetrwał (w tej szczególnej formie) aż do pierwszej klasy szkoły podstawowej, bo przekonany, że nie mam innego wyjścia, stałem się prawdomówny.

No i inteligentny. O mojej grubej siostrze z ziemistą cerą matka mówiła (nie skrepowana obecnością starszej ode mnie Hanny, prawdomówność bowiem też była jej dewizą):

- To dziecko nie jest geniuszem, ale czegoż można żądać? Mój Boże! Nie powiem, pracuje ciężko, daje z siebie wszystko, musi się zadowolić tym, co zdoła osiągnąć.

O mnie zaś, spadkobiercy jej długiego egipskiego nosa i nie zamykającej się, mądrej buzi, matka zwykle mawiała z charakterystyczną rezerwą:

- A ten łajdak? Nie musi nawet otwierać książki, zbiera same piątki. Istny Albert Einstein!

Jak to przyjmował ojciec? Pił - oczywiście nie whisky tak jak goje, tylko olejek parafinowy i mleczko magnezowe, do tego żuł laxigen, rano i wieczorem jadł otręby pszenne i codziennie wcinał półkilową torbę suszu owocowego. Cierpiał - i to jak! - na zatwardzenie. Jej wszechobecność i jego zatwardzenie, matka wlatująca przez okno sypialni, ojciec skupiony nad wieczorną gazetą z czopkiem w pupie - oto, panie doktorze, moje najwcześniejsze wspomnienia rodziców, ich atrybutów i tajemnic. Ojciec parzył w rondelku suszone liście senesu, co wraz z czopkiem rozpuszczającym się poza zasięgiem wzroku w kiszce stolcowej składało się na jego czarnoksięstwo - parzył te żyłkowane zielone listki, mieszał łyżką diabło cuchnący płyn, po czym ze znużoną, zbolaną miną wlewał go ostrożnie do sitka, a następnie do swojego zapartego wnętrza. Wreszcie pochylał się w milczeniu nad pustą szklanką, jak gdyby nadśluchiwał odległego grzmotu, i czekał na cud... Czasem, we wczesnym dzieciństwie, siadałem w kuchni i czekałem razem z nim. Ale cud nigdy nie nastąpił, przynajmniej nie taki, który by zgodnie z naszymi nadziejami i modlitwami przyniósł zawieszenie wyroku, uwolnił go raz na zawsze od tej plagi. Pamiętam, że kiedy podano w radio wiadomość o wybuchu pierwszej bomby atomowej, ojciec powiedział na głos: - Może to coś da. - Ale żadne środki przeczyszczające nie skutkowały - kiszki tego człowieka pozostawały w żelaznych kleszczach gniewu i frustracji. Pośród innych jego niepowodzeń to ja byłem ulubieńcem jego żony.

Żeby bardziej skomplikować sobie życie, on też mnie kochał. Również pokładał we mnie nadzieje rodzinne na to, abyśmy „nie byli gorsi od innych”, widział naszą szansę na zdobycie uznania i szacunku - chociaż kiedy byłem mały, jego rozmowy o ambicjach wobec mnie ograniczały się głównie do pieniędzy.

- Nie bądź głupi tak jak twój ojciec - żartował z małym chłopcem siedzącym mu na kolanach - nie żeń się dla urody, nie żeń się z miłości, ożeń się bogato.

Nie lubił, żeby patrzono na niego z wyższością, wszystko, tylko nie to. Tyrał jak osioł, tyle że na przyszłość, która mu nie była pisana. Nikt mu nigdy nie zadośćuczynił, nie odwdzieczył się - ani moja matka, ani ja, ani nawet moja kochająca siostra, której męża on po dziś dzień uważa za komunistę (choć szwagier jest teraz współwłaścicielem dochodowej firmy napojów chłodzących i ma dom w West Orange). No i z pewnością nie ta miliarderska firma protestancka (czyli „instytucja”,

jak chętniej się tam sami określają), która wyzyskiwała go bez reszty. - Najbardziej dobroczynna instytucja finansowa w całej Ameryce - pamiętam te jego słowa, kiedy zabrał mnie po raz pierwszy, żebym obejrzał jego kącik pracy, czyli biurko i krzesło, w przestronnej siedzibie Towarzystwa Ubezpieczeń na Boston i Okręg Północno-Wschodni. Właśnie, przy synu mówił z dumą o Towarzystwie, nie chciał uwłaczać swojej godności, krytykując ich publicznie - przecież to oni wypłacali mu pensję w czasach kryzysu, oni dali mu papeterię z jego nazwiskiem wydrukowanym tuż pod winietą statku „Mayflower”, ich godła (a zatem i jego, cha cha), no i co roku na wiosnę w całej swej dobroczynności fundowali jemu i mojej matce pierwszorzędnym, darmowym weekend w Atlantic City, w niebyle jakim, bo luksusowym hotelu dla gojów, żeby ich tam (podobnie jak innych agentów ubezpieczeniowych ze stanów środkowoatlantyckich, którzy przekroczyli tak zwany P.S.R., czyli plan sprzedaży rocznej) onieśmielali recepcjonista, kelner, boy hotelowy, nie wspominając już o zdumionych gościach płacących za siebie.

Wierzył też gorąco w to, co sprzedawał - kolejne źródło udręki i wyczerpania. Nie tylko zbawiał własną duszę, kiedy wkładał po obiedzie palto i kapelusz i znów wychodził do pracy - bynajmniej, ruszał zbawić również jakiegoś nieszczęsnego skurczybyka, któremu lada chwila wygasła polisa ubezpieczeniowa, zapewniając tym samym bezpieczeństwo jego rodzinie „na wypadek deszczu”.

- Aleks - często mi tłumaczył - człowiek musi mieć parasol na wypadek deszczu. Nie zostawia się żony i dziecka na deszczu bez parasola!

I chociaż mnie, w wieku pięciu i sześciu lat, wydawało się to z gruntu, a nawet wzruszająco, rozsądne, jego deszczowe porady nie zawsze wywoływały podobną reakcję u gamoniowatych Polaków, porywczych Irlandczyków i niepiśmiennych Murzynów, którzy mieszkali w zubożałych dzielnicach, przydzielonych mu do zdobywania klienteli przez „najbardziej dobroczynną instytucję finansową w całej Ameryce”.

W slumsach śmiali się z niego. Nie słuchali go. Kiedy pukał do drzwi, rzucali w nie butelkami po piwie wołając: - Wynoś się, nie ma nas w domu. - Szczuli psy, żeby wbijały zęby w jego nachalną żydowską dupę. A mimo to na przestrzeni lat zdołał zebrać od Towarzystwa tyle plaketek, dyplomów i medali za wzorową pracę, że zawiesił nimi całą ścianę naszego długiego przedpokoju bez okien, gdzie trzymało się w pudłach naczynia paschalne, a latem składowało się dywany „perskie”,

zmumifikowane w grubych warstwach papieru dziegiowego. Skoro wyciskał krew z kamienia, czyż Towarzystwo nie powinno mu odpłacić jakimś własnym cudem? Może „pan prezes” w „centrali” dowie się o jego osiągnięciach i w ciągu jednego dnia awansuje go z inspektora o poborach pięć tysięcy rocznie na dyrektora okręgu z piętnastoma tysiącami? Ale trzymali go wciąż na tym samym stołku. Któż inny dałby sobie tak świetnie radę z tym zakazanym rewirem? Zresztą w dziejach Bostonu i Okręgu Północno-Wschodniego nie znalazł się ani jeden dyrektor Żyd (- To nie nasza sfera, kochanie - jak mawiano na statku „Mayflower”), a mój ojciec z podstawowym wykształceniem niezbyt się nadawał na pierwszy lodołamacz agentur ubezpieczeniowych.

Portret N. Everetta Lindabury'ego, prezesa Towarzystwa na Boston i Okręg Północno-Wschodni, wisiał u nas w przedpokoju. Jego oprawioną w ramy podobiznę wręczono ojcu, kiedy sprzedał ogółem polis ubezpieczeniowych na sumę miliona dolarów, a może dostawało się ją, kiedy przekroczyło się kwotę dziesięciu milionów. „Pan Lindabury”, „centrala” - ojciec wymawiał przy mnie te słowa z takim nabożeństwem, jak gdyby mówił o Rooseveltcie w Białym Domu w Waszyngtonie... nie omieszkając wtrącać, jak to on ich wszystkich nienawidzi, zwłaszcza Lindabury'ego, jego płowych, jedwabistych włosów, błyskotliwego języka prosto z Nowej Anglii, jego synów na uniwersytecie Harvarda i córek na prywatnej pensji dla dziewcząt, tej całej bandy szajgeców z Massachusetts, ich polowań na lisa! gry w polo! (takie ryki doszły mnie pewnego wieczora zza drzwi jego sypialni) - bo uniemożliwiają mu, rozumie pan, rolę bohatera w oczach żony i dzieci. Co za gniew! Co za furia! Na dobitkę nie miał jej na kim wyładować, jedynie na sobie.

- Dlaczego nie mogę się wypróżnić, mam już tych suszonych śliwek po dziurki w nosie i gdzie indziej! Dlaczego wciąż cierpię na bóle głowy! Gdzie są moje okulary! Kto mi zabrał kapelusz!

W taki właśnie zawzięty i autodestrukcyjny sposób, w jaki wielu Żydów jego pokolenia służyło swoim rodzinom, ojciec służył mojej matce, mojej siostrze Hannie, ale przede wszystkim mnie. Marzył, że ucieknę z więzienia, na które on był skazany. Z jego marzeń wynikały moje - w swoim wyzwoleniu widziałem jego wyzwolenie: od ciemnoty, od wyzysku, od anonimowości. Do dzisiaj nasze losy splatają się w mojej wyobraźni i nadal zbyt często przy lekturze jakiegoś fragmentu w książce, który urzeka mnie swoją logiką czy mądrością, zaraz bezwiednie myślę: „Gdyby tak ojciec mógł to przeczytać. Właśnie! Preczytać i zrozumieć!” Wciąż nie tracę nadziei,

rozumie pan, wciąż gdybam, chociaż mam trzydzieści trzy lata... Jeszcze na pierwszym roku studiów, kiedy bardziej nawet niż teraz odstawiałem syna walczącego o oświecenie ojca - jeszcze kiedy wydawało się, że w jego, ojca, przypadku stawką jest albo oświecenie, albo życie - przypominam sobie, jak wyrwałem kupon prenumeraty z jednego z tych czasopism intelektualnych, które dopiero sam zacząłem odkrywać w bibliotece uniwersyteckiej, wpisałem jego nazwisko i nasz domowy adres, po czym wysłałem subskrypcję od anonimowego ofiarodawcy. Ale gdy przyjechałem markotny do domu na Boże Narodzenie, żeby ich odwiedzić i pokrzytkować, nigdzie nie znalazłem „Partisan Review”. „Collier's”, „Hygeia”, „Look” - owszem, tylko ani śladu „Partisan Review”. Na pewno go wyrzucił, nie zajrzawszy do środka - myślałem w swojej arogancji i udręce - odłożył, nie przeczytawszy, uznał za makulaturę, ten szmondak, ten kretyn, ten mój drobnomieszczkański ojciec!

Pamiętam - żeby sięgnąć jeszcze głębiej w dzieje mojego rozczarowania - pamiętam, jak pewnej niedzieli po południu grałem z ojcem w baseball i na próżno czekałem, aż odbita przez niego piłka poszybuję wysoko nad moją głową. Mam osiem lat, dostałem właśnie na urodziny pierwszą rękawicę, piłkę baseballową i prawdziwy kij, którym nie mam jeszcze siły dobrze machnąć. Ojciec jest od samego rana na nogach, w kapeluszu, marynarce, muszce, w czarnych półbutach, dźwiga pod pachą masywną czarną księgę inkasenta, w której widnieje, kto jest ile winien panu Lindabury'emu. Zachodzi do dzielnicy kolorowych co niedzielę rano, gdyż, jak twierdzi, to najlepsza pora, żeby zastać tych uparciuchów, co to nie chcą wybulić nędznych dziesięciu czy piętnastu centów, żeby uiścić cotygodniową składkę. Zakrada się tam, gdzie mężowie przesiadują na słońcu, usiłując wyrwać od nich kilka mizernych dziesiątek, zanim panowie upiją się do nieprzytomności winem Morgan Davis; wyskakuje z zaułków jak strzała, żeby złapać w drodze do kościoła pobożne sprzątaczkę, które w ciągu tygodnia pracują za dnia w domach innych ludzi, a wieczorem się przed nim chowają.

- Ludzie - ktoś woła - idzie pan ubezpieczeniowiec! - i nawet dzieci przed nim czmychają, nawet dzieci, mówi z obrzydzeniem, no i sam powiedz, jak te czarnuchy mogą liczyć na poprawę własnego losu? Jak mają się dźwignąć, skoro nie są w stanie docenić znaczenia polisy ubezpieczeniowej na życie? Czy ukochani krewni, których po sobie zostawiają, za cholereę ich nie obchodzą? Bo przecież i oni „uderzą w kalendarz”, sam rozumiesz, mówi gniewnie, „nie ma dwóch zdań”! Zrozum, co to za człowiek,

który ma sumienie zostawić własne dzieci na deszczu, nie zapewniwszy im choćby przyzwoitego parasola!

Jesteśmy na dużym boisku za szkołą. Odkłada księgę inkasenta na ziemię, podchodzi do pola wybicia w marynarce i brązowym pilśniowym kapeluszu. Ma na nosie prostokątne okulary w drucianej oprawie, a włosy (które po nim odziedziczyłem) przypominają niesforne kłębowisko koloru i faktury wiórków aluminiowych; zęby natomiast, które spoczywają przez całą noc w szklance w łazience, wyszczerzone w uśmiechu do miski klozetowej, uśmiechają się teraz do mnie, ukochanego synka, z rodzonej krwi, na którego głowę nigdy nie spadnie kropla deszczu.

- No, dobra, ważniaku - mówi i łapie mój nowy kij gdzieś pośrodku, ale, ku mojemu zdumieniu, lewą ręką zamiast prawą. Potworny smutek chwyta mnie za gardło. Chciałbym mu powiedzieć: „Tato, pomyliły ci się ręce”, ale stoję jak wryty ze strachu, że za chwilę się rozplaczę... albo on zacznie płakać! - No, mistrzu, rzucaj piłkę - woła, a ja rzucam, i oczywiście stwierdzam, pominąwszy wszystkie inne rosnące podejrzenia na temat ojca, że nie jest również gwiazdą baseballu. Też mi parasol!

Matka zaś potrafiła wszystko, sama wręcz przyznawała, że chyba jest po prostu za dobra. A czy małe dziecko z moją inteligencją i moją zdolnością obserwacji mogło w to wątpić? Umiała, na przykład, przyrządzić galaretkę, w której pływały, a właściwie wisiały, plasterki brzoskwini, przecząc prawu grawitacji. Potrafiła upiec ciasto, które smakowało jak banan. Płacząc, cierpiąc sama tarła chrzan, zamiast kupować siuśki, które sprzedawano w słoikach w delikatesach. Pilnowała rzeźnika, jak sama mówiła, „niczym jastrząb”, żeby się upewnić, czy aby nie zapomni przepuścić jej mielonki przez koszerłą maszynkę do mięsa. Obdzwaniała wszystkie kobiety w naszym bloku, suszące pranie na sznurach z tym domu - raz nawet w całej swej wielkoduszności zadzwoniła do goja-rozwodnika z najwyższego piętra - żeby szybko zabrały bieliznę, bo na nasze okno spadła właśnie kropla deszczu. Radar, nie kobieta! I to przed wynalezieniem radaru! Co za niespożyta energia! Co za skrupulatność! Wyszukiwała mi błędy w słupkach, dziury w „skarpetach, brud za paznokciami, na szyi, w każdej fałdzie ciała. Docierała nawet do najgłębszych zakamarków uszu, wlewając w nie zimną wodę utlenioną. Płyn szczypał i musował niczym piwo imbirowe, wypłukiwał na powierzchnię drobinki ukrytych pokładów żółtej woskowiny, zagrażającej ponoć ludzkiemu słuchowi. Taki zabieg medyczny (choćby zgoła poroniony) wymaga



naturalnie czasu, no i oczywiście wysiłku - ale kiedy chodzi o zdrowie i czystość, zarazki i wydzielinę ciała, matka nie oszczędza siebie i poświęca innych. Zapala świece za dusze zmarłych - inni zawsze zapominają, a ona pamięta w całej swej pobożności, i to obywają się bez notatek w kalendarzu. Po prostu ma poświęcenie we krwi. Kiedy znajdzie się na cmentarzu, jest bodaj jedyną osobą, jak twierdzi, której „zdrowy rozsądek”, „najzwyczajniejszy zdrowy rozsądek” każe wypielić chwasty na grobach krewnych. W pierwszy słoneczny dzień wiosny już ma zabezpieczone przed molami wszystkie wełniane ubrania, a dywany zwinięte, związane i wyniesione do składu trofeów ojca. Nigdy nie musi wstydzić się własnego domu - obcy człowiek mógłby wejść i otworzyć każdą szafę, każdą szufladę, a ona nie miałaby się czego wstydzić. Można by nawet jeść z podłogi jej łazienki, gdyby zaszła taka potrzeba. Kiedy przegrywa w mah-jongu, umie się z tym pogodzić, nie-tak-jak-inne-które-mogłaby-wymienić-z-nazwiska-ale-tego-nie-zrobi-nie-wspomni-na-wet-o-TiIly-Hochman-to-zbyt-błaha-sprawa-żeby-się-nią-zajmować-zapomnijmy-że-w-ogóle-poruszyła-ten-temat. Szyje, robi na drutach, ceruje, prasuje nawet lepiej niż ta *szwarce*, którą tylko matka dobrze traktuje, zwłaszcza w porównaniu z innymi znajomymi służącej, na których twarzach maluje się ten sam głupi, dziecinny uśmiech starej Murzynki.

- Tylko ja dobrze ją traktuję. Tylko ja daję jej na obiad całą puszkę tuńczyka, i to nie byle gówno, ale najlepszy gatunek. Wybacz, Aleks, nie potrafię być skąpa. Przepraszam, ale nie umiem tak żyć, nawet jeśli płacę czterdzieści dziewięć centów za dwie puszki. Taka Estera Wasserberg rozrzuca dwadzieścia pięć centów drobnymi po całym domu, kiedy Dorota ma przyjść, a po jej wyjściu liczy, czy wszystkie monety są na miejscu. Może jestem za dobra - szepcze do mnie, zalewając wrzątkiem naczynie, z którego sprzątaczką zjadła właśnie samotnie, jak trędowata, obiad - ale nie ważyłabym się na coś podobnego.

Raz Dorota przypadkiem wróciła do kuchni, kiedy matka Jeszcze stała nad kurkiem z literą C, trzymając pod strugami wody nóż i widelec, którego dotykały grube różowe usta *szwarce*.

- Sama wiesz, Doroto, jak trudno ostatnio zmyć majonez ze sztućców - mówi moja bystra i pomysłowa matka, żeby, jak wyjaśniła później, nie zranić uczuć tej czarnej kobiety.

Kiedy jestem niegrzeczny, wyrzuca mnie z domu. Stoję za drzwiami i walę w nie bez końca, otwiera dopiero, gdy przyrzeknę, że się zmienię. Ale co ja takiego

zrobiłem? Pastuję co wieczór buty na gazecie z poprzedniego dnia rozłożonej starannie na linoleum, zawsze zakręcam porządnie wieczko pudełka pasty i odkładam wszystkie przybory na miejsce. Wyciskam tubkę pasty do zębów od końca, szoruję zęby ruchem okrężnym, a nigdy z góry na dół, mówię wciąż „dziękuję”, „proszę bardzo”, „przepraszam”, pytam, „czy mogę?” Kiedy Hanna jest chora albo przed kolacją zbiera na mieście do niebieskiej blaszanej puszeki datki na Społeczny Fundusz Żydowski, sam, na ochotnika, poza swoją kolejką nakrywam stół, pamiętam zawsze, że nóż i łyżka leżą po prawej, widelec po lewej, a serwetka, złożona w trójkąt, po lewej od widelca. Za nic w świecie nie zjadłbym mlecznej potrawy z mięsnego naczynia, nigdy przenigdy. Mimo to pamiętam taki rok w swoim życiu, kiedy prawie miesiąc w miesiąc robię coś niewybaczalnego, toteż matka każe mi pakować manatki i wynosić się z domu. Co to takiego może być? Mamo, to ja, twój synek, który przed rozpoczęciem szkoły całymi wieczorami pięknie kaligrafuje staroangielskim pismem nazwy przedmiotów na kolorowych kołnotatnikach, który cierpliwie podkleja zeszyty, w linię i gładkie, bo powinny starczyć na cały semestr. Noszę przy sobie grzebień i czystą chustkę do nosa, pilnuję, żeby mi podkolanówki nie opadały na buty, odrabiam pracę domową kilka tygodni przed terminem - mamuś, spójrzmy prawdzie w oczy, jestem najpilniejszym i najporządniejszym uczniem w dziejach szkoły! Nauczycielki (jak sama dobrze wiesz, bo ci powiedziały) wracają dzięki mnie zadowolone do domu do swoich mężów. No więc co ja takiego zrobiłem? Kto zna odpowiedź na to pytanie, niech podniesie palce do góry! Jestem tak okropny, że nie chce mnie widzieć w domu ani chwili dłużej. Kiedy nazwałem raz siostrę piczką-dziewiczką, zaraz wymyło mi buzię szarym mydłem do prania - to jestem w stanie zrozumieć. Ale wygnanie? Co ja takiego mogłem zrobić!

Ponieważ jest dobra, pakuje mi drugie śniadanie do szkoły, ale kiedy znikam w płaszczu i w kaloszach, nic ją więcej nie obchodzi.

W porządku, mówię sobie, skoro tak ci dyktuje sumienie! (Bo ja też uwielbiam melodramaty - nie na darmo wychowuję się w tej rodzinie). Nie potrzebuję drugiego śniadania! Nic mi nie trzeba!

Już cię nie kocham, po co mi synek, który tak się zachowuje. Będę mieszkała sama z tatusem i Hanną - mówi matka (jak zwykle celnie, żeby człowieka zranić do żywego). Hanna może układać kostki mah-jonga dla pań we wtorkowe wieczory. Nie będziesz nam więcej potrzebny.

Co mi tam! Wychodzę za drzwi do długiego mrocznego przedpokoju. Co mi tam! Będę sprzedawał boso gazety na ulicach. Pojadę dokąd oczy poniosą wagonami towarowymi i będę spał pod gołym niebem, tak sobie myślę w duchu - ale wystarczy, że zobaczę puste butelki na mleko stojące przy naszej słomiance, a szybko zdaję sobie sprawę z ogromu tego wszystkiego, co tracę, i zaczynam szaleć.

- Nienawidzę cię - wrzeszczę, kopiąc kaloszem w drzwi - jesteś wstrętna!

W odpowiedzi na te plugastwa, na te herezje niosące się echem po korytarzach naszego bloku, w którym rywalizuje z dwudziestoma innymi Żydówkami o miano patronki poświęcenia, matka jest po prostu zmuszona zaryglować drzwi na podwójną zasuwę. Wtedy dopiero zaczynam łomotać, żeby mnie wpuszczono do środka. Rzucam się na wycieraczkę, żeby błagać o wybaczenie mi grzechu (ale co to takiego było?) i obiecuję jej, że będę grzeczny jak anioł do końca dni naszych, które w owym czasie wydają mi się wiecznością.

Zdarzają się też wieczory, kiedy nie chcę jeść. Moja siostra, starsza ode mnie o cztery lata, potwierdza, że pamięć mnie nie myli - nie brałem nic do ust, a matka nie chciała się pogodzić z tym uporem i z tą głupotą. I to nie chciała dla mojego dobra. Prosi mnie tylko, żebym to zrobił dla swojego dobra, a ja odmawiam? Przecież dla mnie odjęłaby sobie wszystko od ust, już się chyba o tym zdążyłem przekonać? Ale ja nie chcę jeść tego, co ona odejmie sobie od ust. Sęk w tym, że nie chcę jeść nawet z własnego talerza.

Proszę cię! Taki zdolny chłopiec! Z takimi osiągnięciami! Z taką przyszłością! Z tymi wszystkimi darami, którymi Pan Bóg mnie hojnie obsypał, łącznie z urodą i mądrością, czy wyobrażam sobie, że mogę się po prostu zagłodzić na śmierć bez dostatecznego powodu?

Czy chcę, żeby ludzie przez całe życie patrzyli z pogardą na takiego mizeraka, czy wolę, żeby patrzyli z podziwem na prawdziwego mężczyznę?

Czy chcę być popychadłem i pośmiewiskiem, żeby została ze mnie tylko skóra i kości, które każdy łatwo powali jednym kichnięciem, czy też chcę budzić szacunek?

Kim wolę zostać, jak dorosnę - słabym czy silnym, człowiekiem sukcesu czy porażki, mężczyzną czy myszką?

Nie chcę jeść i już, odpowiadam.

Wtedy matka siada na krześle obok mnie z długim nożem do chleba w ręku. Jest zrobiony ze stali nierdzewnej i ma ząbki niczym piła. Kim wolę zostać, słabym czy silnym, mężczyzną czy myszką?

Panie doktorze, dlaczego, no dlaczego, pytam się, dlaczego matka wyciąga nóż na własnego syna? Mam sześć, siedem lat, skąd mogę wiedzieć, czy go naprawdę nie użyje? Co powinienem zrobić, usiłować wywieść ją w pole w wieku siedmiu lat? Nie wyrobiłem sobie dotąd zmysłu taktycznego, jak Boga Kocham, jeszcze chyba nie waży trzydziestu kilo! Kiedy ktoś wymachuje mi nożem przed nosem, uważam, że kryje się za tym zamiar ugodzenia mnie do krwi! Tylko dlaczego? Co ona tam knuje? Jak daleko sięga jej szaleństwo? A gdyby tak pozwoliła mi wygrać, cóż by się takiego stało? Skąd ten nóż, skąd groźba zabójstwa, skąd ta potrzeba całkowitego, druzgocącego zwycięstwa, skoro zaledwie poprzedniego dnia odstawiła żelazko na deskę do prasowania i oklaskiwała mnie, kiedy grzmiałem i miotałem się po kuchni, powtarzając rolę Krzysztofa Kolumba w *Witaj ziemio!*, przygotowanej przez trzecią klasę. Jestem gwiazdorem szkolnym, nie mogą wystawić przedstawienia beze mnie. Och, raz nawet spróbowali, kiedy miałem bronchit, ale nauczycielka później wyznała mamie, że kiepsko im to wyszło. Jak, pytam się, jak ona może spędzać takie wspaniałe popołudnia w kuchni, czyszcząc srebra, siekając wątróbkę, wciągając gumę do moich spodenek gimnastycznych i wygłaszając repliki do mojej roli z odbitego na powielaczu scenariusza, grać królową Izabelę, kiedy ja gram Kolumba, Betsy Ross, kiedy ja gram Waszyngtona, panią Pasteur, kiedy ja gram Ludwika, jak może wspinać się ze mną na wyżyny mojego geniuszu w te piękne godziny o zmierzchu po szkole, a potem wieczorem, tylko dlatego, że nie chcę zjeść fasoli szparagowej czy kartofli w mundurkach, mierzyć nożem kuchennym w moje serce? I dlaczego ojciec jej nie powstrzyma?

## TRZEPANIE

Nadszedł okres dojrzewania - pół dnia spędzałem zamknięty w łazience, strzelając ze swojej armaty do kibla albo do kosza z brudną bielizną, albo plask do lustra na drzwiach apteczki, przed którym stałem w opuszczonych slipach, żeby zobaczyć, jak to wytryskuje. Lub też zginałem się we dwoje nad rozbieganą dłonią, zaciskałem mocno powieki, lecz szeroko otwierałem usta, żeby poczuć na języku i zębach ten lepki płyn, przypominający maślanekę i bielidło - aczkolwiek dość często, w całym swym zaślepieniu i ekstazie, spryskiwałem sobie niechęący fryzurę zupełnie jak brylantyną. Maltretowałem swój obnażony, nabrzmiały członek w świetle skłębionych chustek do nosa, zmiętych ręczników papierowych i zaplamionych piżam, wciąż drżąc ze strachu, że ktoś mnie potajemnie śledzi i że mnie nakryje na tym obrzydliwym uczynku, właśnie gdy będę się gorączkowo spuszczał. Mimo to nie byłem absolutnie w stanie opanować rąk, kiedy mój ptak dawał o sobie znać w okolicy brzucha. W trakcie lekcji podnosiłem palce do góry, pytałem, czy mogę wyjść, biegłem korytarzem do ubikacji i dziesięcioma czy piętnastoma silnymi pociągnięciami brandzłowałem się na stojąco do pisuaru. W kinie w sobotnie popołudnia mówiłem kolegom, że wychodzę do automatu ze słodyczami... i zaszywałem się z tyłu na balkonie, gdzie puszczałem strugę nasienia do opakowania po batoniku. Na pikniku rodzinnym wydrążyłem raz jabłko, zobaczyłem, ku swojemu zdumieniu (i nie bez podszeptu stałej obsesji), jak wygląda środek, po czym pobiegłem do lasu, żeby dopaść jamy owocu, wyobrażając sobie, że ten chłodny, mięsisty otwór znajduje się w rzeczywistości między nogami owej mitycznej istoty, która zawsze mówiła do mnie „duży chłopcze”, kiedy błagała o to, czego żadna dziewczyna, jeśli wierzyć danym historycznym, nigdy dotąd nie zaznała.

- Och, wsadź mi to, duży chłopcze - wołało wydrążone jabłko, które waliłem jak idiota na tamtej majówce. - Chłopcze, duży chłopcze, och, daj mi wszystko, co masz - dopraszała się pusta butelka po mleku, którą trzymałem ukrytą w spiżarni w piwnicy, żeby się po szkole doprowadzać do szaleństwa swoim posmarowanym wazeliną fagasem. - Chodź tu, duży chłopcze, chodź do mnie - wyła jak oszalała wątróbka, którą w swoim obłędzie kupiłem pewnego popołudnia u rzeźnika, a następnie, może mi pan wierzyć albo nie, zgwałciłem za słupem ogłoszeń w drodze na lekcję przed *bar micwą*.

Pod koniec pierwszego roku liceum - i pierwszego roku masturbacji - odkryłem na spodzie penisa, tam, gdzie trzon styka się z główką, małą odbarwioną plamkę, którą nazwałem pieprzykiem. Rak. Doprowadziłem się do raka. Całe to ciągnięcie i szarpanie własnego ciała, całe to tarcie spowodowało nieuleczalną chorobę. A przecież nie mam jeszcze czternastu lat! Wieczorem przed zaśnięciem łyżę same ciekły mi z oczu.

- Nie! - szlochałem. - Nie chcę umierać! Błagam, nie!

Ale ponieważ wkrótce i tak będę trupem, zabierałem się do dzieła i jak zwykle onanizowałem się w skarpetkę. Zacząłem brać ze sobą do łóżka parę brudnych skarpet, żeby mieć jedną w charakterze zbiornika przed snem, a drugą po obudzeniu.

Gdybym umiał się ograniczyć do jednego trzepania dziennie albo poprzestał na dwóch czy choćby nawet trzech! Ale żyjąc ze świadomością własnego końca, zacząłem wprost ustanawiać coraz to nowe rekordy. Przed posiłkami. Po posiłkach. Podczas posiłków. Zrywam się od stołu przy obiedzie, łapię się dramatycznie za brzuch - rozwolnienie! - wołam - dostałem rozwolnienia! - a kiedy zamykam za sobą drzwi łazienki, wkładam na głowę parę majtek, ukradzionych z bielizniarki siostry, które zawsze noszę w kieszeni zawinięte w chustkę do nosa. Bawełniane majtki na twarzy wywołują tak galwaniczny efekt - podobnie jak samo słowo „majtki” - że trajektoria wytrysku osiąga nowy zaskakujący pułap; strzelając z penisa niczym z rakiety, sperma trafia prosto w żarówkę pod sufitem, gdzie zawisa ku mojemu zaskoczeniu i przerażeniu. W pierwszej chwili gwałtownie zasłaniam głowę, pewien, że szkło rozprysnie się i buchną płomienie - poczucie zagrożenia, jak pan widzi, nigdy mnie nie opuszczało. Następnie jak najciszej wspinam się na kaloryfer i wycieram skwierczące gluty kawałkiem papieru toaletowego. Dokładnie przeszukuję zasłone prysznic, wannę, kafelki na podłodze, cztery szczoteczki do zębów - uchowaj Boże! - i kiedy już mam otworzyć drzwi, przekonany, że zatarłem za sobą wszelkie ślady, serce aż mi podskakuje na widok czegoś, co przyczepiło się niczym gil z nosa do czubka mojego buta. Jestem Raskolnikowem masturbacji - lepkie dowody winy są wszędzie! Czy również na moich mankietach? *We włosach! W uchu!* Nie przestaję nad tym rozmyślać, kiedy wracam do kuchennego stołu, nachmurzony i ze zboląłą miną, żeby odburknąć obłudnie ojcu, który otwiera buzię pełną czerwonej galaretki i mówi:

- Nie rozumiem, dlaczego zamykasz się w łazience. Nie mogę tego pojąć. Co to jest, dom rodzinny czy dworzec centralny?

- ... życie prywatne ... istota ludzka ... nikt tu nie przestrzega - odpowiadam, po czym odsuwam deser z krzykiem - źle się czuję, dajcie mi wszyscy spokój!

Po deserze - który jednak kończę, bo tak się składa, że lubię galaretkę, chociaż nienawidzę całej rodziny - po deserze znów wracam do łazienki. Grzebię w brudach z całego tygodnia, dopóki nie znajdę przepoconego stanika siostry. Naciągam jedno ramiączko na gałkę drzwi łazienkowych, a drugie na gałkę bielizniarki, niczym stracha na wróble, który przybliży mi kolejne marzenia.

- Bij go, duży chłopcze, zbij go na czerwoną miazgę - tak mnie zachęcają miseczki biustonosza Hanny, kiedy raptem zwinięta gazeta wali do drzwi. Aż odskakuję z zajęętą ręką kilka centymetrów od deski klozetowej.

- Daj innym też sobie huknąć na tronie - mówi ojciec. - Już od tygodnia nie miałem stolca.

Z właściwym sobie talentem odzyskuję równowagę i wybucham urażony:

- Mam straszne rozwolnienie! Czy nikogo w tym domu to nie obchodzi? - równocześnie wznawiam ruch posuwisty, a nawet przyśpieszam tempo, gdy tylko mój dotknięty rakiem organ znów ożywa i zaczyna cały wibrować.

Wówczas biustonosz Hanny wchodzi w drzenie. Huśta się na obie strony! Przymykam oczy i oto... Lenora Lapidus! Ma największe bufory w całej klasie, a kiedy biegnie po lekcjach do autobusu, ten wielki nietykalny towar podskakuje pod bluzką, och, zaklinam je, żeby wyszły z tych misek tu do mnie, PRAWDZIWE CYCKI LENORY LAPIDUS, i w tym samym ułamku sekundy uświadamiam sobie, że matka szarpie energicznie za gałkę drzwi. Drzwi, które tym razem zapomniałem zamknąć na zatrzask! Wiedziałem, że kiedyś to się musi stać! Przyłapano mnie! To tak jakbym umarł!

- Otwórz, Aleks, otwórz w tej chwili. Zamknięte, nie przyłapano mnie! I widzę po tym, co kołacze się w mojej dłoni, że jeszcze nie umarłem. Walić go! Walić!

- Liź mnie, chłopczyku, wyliź mnie do ostatka! Jestem gruby, wielki, rozpalony do czerwoności biustonosz Lenory Lapidus!

- Aleks, odpowiedz mi. Jadłeś frytki po szkole? Dlatego jesteś chory?

- Nnnnie, nnnnie.

- Aleks, masz bóle? Chcesz, żebym wezwała lekarza? Masz bóle czy nie? Muszę wiedzieć dokładnie, gdzie cię boli. Odpowiedz zaraz.

- Aha, aha.

- Aleks, nie spuszczaaj wody - mówi matka surowym tonem. - Chcę zobaczyć, co zrobiłeś. Nie podobają mi się te odgłosy.

- Ani mnie - dodaje ojciec, poruszony jak zwykle moimi osiągnięciami, czując zarówno podziw jak i zazdrość. - Już od tygodnia nie miałem stolca - w tym samym momencie chybozę się na wyżynach deski klozetowej i ze skowyttem batożonego zwierzęcia wydałam trzy krople ledwie kleistej cieczy w skrawek materiału, którego dotykała sutkami moja osiemnastoletnia siostra z płaskim biustem, bo tylko taki ma. To mój czwarty orgazm tego dnia. Kiedy zacznę tryskać krwią?

- Chodź no tutaj - mówi matka. - Dlaczego spuściłeś wodę, chociaż cię prosiłam, żebyś nie spuszczał?

- Zapomniałem.

- Co tam było, że musiałeś tak szybko spuścić?

- Rozwolnienie.

- Bardziej płynne czy bardziej kaka?

- Nie zaglądam! Nie zajrzałem! Przestań mówić do mnie „kaka”, jestem już w szkole średniej!

- Aleks, tylko nie podnoś na mnie głosu. Zapewniam cię, że to nie przeze mnie masz rozwolnienie. Gdybyś jadł tylko to, co dostajesz w domu, nie latałbyś pięćdziesiąt razy dziennie do łazienki. Hanna mi powiedziała, co ty wyprawiasz, więc nie myśl, że nie wiem.

Zauważyła, że zginęły jej majtki! Przyłapano mnie! Niech więc umrę. Naprawdę wołałbym umrzeć!

- Taak... i co ja takiego robię?

- Chodzisz po szkole z Melvinem Weinerem na frytki do baru Harolda, gdzie sprzedają hot dogi i inne świństwa. Może to nieprawda? Tylko mi nie kłam. Objadasz się po szkole frytkami z ketchupem przy Hawthorne Avenue? Jack, chodź no tutaj, chcę, żebyś to usłyszał - woła ojca, który zajmuje teraz łazienkę.

- Usiłuję się właśnie wypróżnić - pada odpowiedź. - Mam dość kłopotów i bez tego, żeby krzyczano na mnie, kiedy usiłuję się wypróżnić.



- Wiesz, co twój syn robi po szkole, ten prymus, przy którym rodzona matka nie może już mówić „kaka”, bo jest taki dorosły? Jak sądzisz, co robi twój dorosły syn, kiedy nikt go nie pilnuje?

- Błagam cię, zostaw mnie w spokoju - woła ojciec. - Dajcie mi na chwilę święty spokój, żebym mógł tu coś zrobić!

- Poczekaj tylko, aż ojciec usłyszy, co ty wyprawiasz, na przekór wszelkim wymogom zdrowotnym. Aleks, odpowiedz mi. Jesteś taki mądry, masz już odpowiedź na wszystko, odpowiedz mi tylko na jedno: dlaczego twoim zdaniem Melvin Weiner nabawił się nieżyty kiszek? Dlaczego ten dzieciak spędził pół życia w szpitalach?

- Bo je świństwa.

- Nie waż się ze mnie kpić!

- No dobrze - wrzeszczę - to jak się nabawił nieżyty kiszek?

- Bo je świństwa! Ale to nie są żarty! Bo dla niego posiłek to batonik splukany butelką pepsi. Wiesz, jak wygląda jego śniadanie? Najważniejszy posiłek dnia, i to nie tylko zdaniem twojej matki, Aleks, ale też zdaniem najwybitniejszych dietetyków, wiesz, co ten dzieciak je?

- Pączka.

- Żebyś wiedział, że pączka, mądralo. I popija kawą. Pączek z kawą, i tak ten trzynastoletni bachor, któremu zostało pół żołądka, zaczyna dzień. Ale ty, chwała Bogu, zostałeś wychowany inaczej. Twoja matka nie szlaja się po mieście przez cały dzień, od Bama do Hahnego i do Kresgego, jak nie powiem kto. Aleks, wytłumacz mi, zdradź tajemnicę, a może to ja jestem po prostu głupia, wytłumacz mi jedno, do czego ty zmierzasz, co chcesz udowodnić tym, że objadasz się takimi świństwami, zamiast wrócić do domu na herbatniki z makiem i szklankę pysznego mleka? Chcę się dowiedzieć prawdy. Nie powiem ojcu - mówi, ścisząc wymownie głos - ale muszę się od ciebie dowiedzieć prawdy. - Pauza. Również wymowna. - Jesz tylko frytki, kochanie, czy coś więcej? ... Powiedz mi, proszę cię, czym jeszcze zaśmiecasz żołądek, żebyśmy mogli się wspólnie zastanowić nad twoim rozwolnieniem! Aleks, przyznaj się. Jesz na mieście hamburgery? Odpowiedz, dlatego spuściłeś wodę, że tam były hamburgery?

- Już ci powiedziałem, nie zaglądam do klozetu, kiedy spuszczam wodę! Nie jestem ciekaw, tak jak ty, ludzkiego kaka!

- Oj, oj, oj, ledwo skończył trzynaście lat, a już tak pyskuje! I to komuś, kto pyta o jego zdrowie, dla jego dobra! - Ponieważ nie może tego absolutnie pojąć, oczy zachodzą jej łzami. - Aleks, dlaczego tak postępujesz, wytłumacz mi. Błagam cię, powiedz, co myśmy ci takiego straszego zrobili w ciągu naszego życia, żebyś tak nam odpłacał?

Pewno uważa, że zadaje oryginalne pytanie. Pewno uważa, że nie ma na nie odpowiedzi. Co gorsza, ja też tak uważam. Co oni mi dawali przez całe życie prócz poświęcenia? Tylko zupełnie nie jestem w stanie pojąć, dlaczego właśnie to miałyby być takie straszne... i to do dzisiaj, panie doktorze! Do dzisiaj tego nie pojmuję!

Spinam się teraz cały, bo zaraz się zacznę szeptać. Wyczuwam ten jej szeptać choćby na milę. Przechodzimy właśnie do omówienia migren ojca.

- Aleks, weź pod uwagę, że miał dziś oślepiający ból głowy. - Sprawdza, czy ojciec jest poza zasięgiem głosu. Nie daj Boże, żeby usłyszał o swoim krytycznym stanie, bo gotów uznać to za przesadę. - Weź pod uwagę, że wybiera się w przyszłym tygodniu na badania onkologiczne.

- Naprawdę?

- Proszę go przyprowadzić, powiedział lekarz. Zrobię mu badania, czy nie ma raka.

Udało się, zaczynam płakać. Nie mam właściwie powodu do płaczu, ale w tym domu każdy stara się porządnie wypłakać przynajmniej raz dziennie. Ojciec, musi pan zrozumieć - na pewno pan zrozumie, bo szantażyści stanowią niebagatelny procent ludzkości, a więc, jak sądzę, i pańskiej klienteli - ojciec „wybierał się” na te badania, odkąd sięgam pamięcią. Wciąż go boli głowa, bo wciąż ma zatwardzenie, a zatwardzenie ma dlatego, że jego układ jelitowy pozostaje własnością firmy „Zmartwienie, Strach & Frustracja”. Istotnie, jakiś lekarz obiecał raz matce, że zrobi jej mężowi badania onkologiczne, jeżeli to ją uszczęśliwi, tak to bodaj sformułował; polecił wszakże znacznie tańszą inwestycję, lepszą dla owego pana w skutkach, a mianowicie lewatywę. Wszystkie te świetnie mi znane fakty nie umniejszają wcale mojej udreki, kiedy wyobrażam sobie, jak czaszka ojca pęka od złośliwego nowotworu.

Właśnie, matka zawsze znajdzie na mnie sposób i dobrze o tym wie. Na śmierć zapominam o swoim raku wobec ogarniającego mnie smutku - który ogarnia mnie dziś tak samo jak wtedy - na myśl o tym, ilu rzeczy w życiu ojciec (jak sam to celnie ujmuje) nie może pojąć. I jak wielu nie zdołał osiągnąć. Brak mu pieniędzy,

wykształcenia, języka, wiedzy, ciekawość nie idzie w parze z kulturą, za chęciami nie kryją się możliwości, za doświadczeniem mądrość... Jak łatwo jego ułomności doprowadzają mnie do łez. Równie łatwo, jak doprowadzają mnie do szału!

Człowiek, którego ojciec często stawiał mi za wzór do naśladowania, to producent teatralny Billy Rose. Walter Winchell oświadczył, że Bernard Baruch zatrudnił Billy Rose'a jako swojego sekretarza tylko dzięki jego znajomości stenografii - dlatego też ojciec molestował mnie przez całą szkołę średnią, żebym się zapisał na kurs stenografii.

- Aleks, kim byłby dzisiaj Billy Rose bez znajomości stenografii? Nikim! To dlaczego tak ze mną wojujesz?

Przedtem spieraliśmy się o fortepian. Chociaż w domu tego człowieka nie było gramofonu ani płyt, miał wyjątkowego bzika na punkcie instrumentów muzycznych.

- Nie rozumiem, dlaczego nie uczysz się grać na jakimś instrumencie muzycznym, nie mogę tego pojąć. Twoja kuzyneczka Toby siada do fortepianu i gra, co tylko zechcesz. Wystarczy, że siądziesz do fortepianu i zagra *Herbatkę we dwoje*, natychmiast zdobywa sobie sympatię wszystkich obecnych. Nigdy nie zabraknie jej towarzystwa, nigdy nie straci na popularności. Powiedz mi tylko, Aleks, że chcesz grać na fortepianie, a jutro z samego rana będziesz miał w domu instrument. Aleks, słyszysz, co do ciebie mówię? Proponuję ci coś, co może odmienić całe twoje życie!

Nie chciałem jednak tego, co mi proponował, a tego, co chciałem, nie mógł mi zaproponować. Ale czy to takie niezwykle? I dlaczego wciąż musi to tak ranić? Aż do dzisiaj! Panie doktorze, proszę mi powiedzieć, czego mam się najpierw pozbyć - nienawiści... czy miłości? Bo nie doszedłem jeszcze do wspomnień, które sprawiają mi przyjemność, to znaczy wywołują błogie, dotkliwe poczucie nostalgii! Wszystkie te obrazy wiążą się zwykle z konkretną pogodą i porą dnia, a bombardują mój umysł tak natarczywie, że przez chwilę zapominam, gdzie jestem - w metrze, w swoim gabinecie czy na obiedzie z piękną kobietą - gdyż myślą wracam do nich, do dzieciństwa. Niby to tylko błahostki, a przecież stanowią chwile równie przełomowe dla dziejów mojego istnienia jak chwila poczęcia; czyżbym pamiętał, jak jego sperma dotarła do jej jaja? Bo tak przenikliwa jest moja wdzięczność - owszem, moja wdzięczność'. - tak wielka i bezgraniczna jest moja miłość. Też, ja z tą swoją wielką i bezgraniczną miłością! Stoję w kuchni (możliwe, że po raz pierwszy w życiu), matka wskazuje palcem.

- Wyrzyj przez okno, skarbie. - Patrzą, a ona mówi: - Spójrz na ten fiolet. Prawdziwe zmierzchłe niebo.

Pierwsza linijka poezji, jaką w ogóle słyszę! I zapamiętuję! *Prawdziwe zmierzchłe niebo...* Jest styczeń, na dworze siarczysty mróz, zapada zmrok - och, te wspomnienia zapadającego zmroku jeszcze mnie kiedyś wpędzą do grobu, wspomnienia chleba razowego z kurzym tłuszczem, żebym wytrzymał do obiadu, a za kuchennym oknem widać już księżyc - wróciłem właśnie do domu z rozpalonymi policzkami i dolarem w kieszeni zarobionym przy odgarnianiu śniegu.

- Wiesz, co dostaniesz dziś na obiad - mama grucha do mnie czule - za to, że się tak napracowałeś? Twoje ulubione zimowe danie. Potrawkę jagnięcą.

Niedziela wieczór, po całym dniu spędzonym w Nowym Jorku, w Radio City i Chinatown, wracamy do domu mostem Jerzego Waszyngtona - najkrótsza trasa z Peł Street do Jersey City prowadzi przez Tunel Holenderski, lecz ja dopominam się o most, a ponieważ mama mówi, że to „pouczające”, ojciec zbacza z drogi, nakładając blisko dziesięć mil. Z przodu siostra liczy na głos słupy, na których rozpięte są wspaniałe, pouczające druty telefoniczne, tymczasem ja zasypiam na tylnym siedzeniu wtulając twarz w matki czarne futro z fok. W Lakewood, dokąd udajemy się pewnej zimy na weekend z niedzielnym klubem karcianym rodziców, śpię w podwójnym łóżku z ojcem, a matka i Hanna zajmują drugie. O świcie ojciec mnie budzi, ubieramy się bezszelestnie niczym skazańcy podczas ucieczki, i wymykamy się z pokoju.

- Chodź - szepcze, pokazując na migi, żebym włożył nauszniki i palto - chcę ci coś pokazać. Wiesz, że byłem kelnerem w Lakewood, kiedy miałem szesnaście lat? - Przed hotelem wyciąga rękę w kierunku pięknego, cichego lasu. - I co ty na to? - pyta. Obchodzimy razem „szybkim, raźnym krokiem” srebrne jezioro. - Oddychaj głęboko. Nałykaj się zapachu sosen. To najzdrowsze powietrze na świecie, cudna zimowa woń sośniny.

*Cudna zimowa woń sośniny* - drugi poeta w rodzinie! Nie doznawałbym chyba większych wrażeń, gdybym był synem samego Wordswortha!... Latem zostaje w mieście, a nasza trójka wyjeżdża na miesiąc do wynajętego pokoju nad morzem. Przyjedzie do nas na ostatnie dwa tygodnie, kiedy dostanie urlop... jednakże raz na jakiś czas, kiedy Jersey City aż puchnie od wilgoci, aż się roi od komarów, urządzających naloty dywanowe znad mokradeł, jedzie po pracy samochodem

sześćdziesiąt pięć mil starą autostradą Cheesequake - mój Boże! Cheesequake! Jakie cuda można tam odkryć! - jedzie sześćdziesiąt pięć mil, żeby spędzić z nami noc w owianym bryzą morską pokoju na wybrzeżu Bradley.

Przyjeżdża po obiedzie, ale jego porcja już czeka, gdy on ściąga najpierw przewiśnięte miejskie ubranie, w którym przez cały dzień obchodził wierzący firmy, i przebiera się w spodenki kąpielowe. Niosę za nim ręcznik, kiedy człapie na plażę w rozsznurowanych butach. Mam na sobie czyste szorty i nieskazitelną koszulkę polo, splukano ze mnie pod prysznicem morską sól, a włosy - nadal chłopięce, wełniste, jeszcze nie druciane, miękkie, łatwe do rozczesania - są pięknie rozdzielone przedziałkiem i ulizane. Wzdłuż deptaku ciągnie się przerdzewiała żelazna balustrada; sadowię się na niej, a ojciec, nie zdjawszy butów, idzie przez pustą plażę. Obserwuję, jak równo układa ręcznik na brzegu. Wkłada zegarek do jednego buta, okulary do drugiego, i już jest gotów wejść do morza. Po dziś dzień wchodzę do wody zgodnie z jego radami - najpierw zanurzam dłonie, potem pryskam się pod pachami, następnie polewam sobie skronie i kark... tylko powoli, koniecznie powoli. W ten sposób człowiek się odświeża i zapobiega wstrząsowi organizmu. Odświeżywszy się i zapobiegłszy wstrząsowi, odwraca się do mnie, żartobliwie macha na pożegnanie w moim, jak sądzi, kierunku i rzuca się na plecy z wyciągniętymi rękami. Unosi się na fali tak spokojnie - a pracuje tak ciężko, i to dla kogo, jeśli nie dla mnie? - wreszcie przekręca się na brzuch, siecze kilka razy wodę, choć wcale się przy tym nie posuwa naprzód, po czym brnie przez fale do brzegu, jego ociekająca, umięśniona pierś lśni od ostatnich igiełek światła migocącego ponad moim ramieniem z głębi dusznego New Jersey, gdzie nie muszę teraz tkwić.

Pamiętam więcej podobnych chwil, panie doktorze. Znacznie więcej. I też dotyczą moich rodziców.

Ale... ale... ale... muszę zebrać myśli... mam go też przed oczyma, jak staje wściekły w drzwiach łazienki, masuje sobie kark i ze skwaszoną miną tłumi bekanie.

- Ciekawe, co to takiego pilnego, że nie mogłaś poczekać, aż wyjdę, żeby mi powiedzieć?

- Nic - mówi matka. - Już załatwione. Patrzy na mnie zawiedzionym wzrokiem. Jestem celem jego życia i dobrze o tym wiem.

- Co on zrobił?

- Co zrobił, to zrobił. Skończył z tym, chwała Bogu, raz na zawsze. A ty, miałeś stolec? - pyta matka.

- Oczywiście, że nie miałem.

- Jack, co z tobą będzie, z tymi twoimi kiszkami?

- Zamuruje je na amen, ot co.

- Bo za szybko jesz.

- Wcale nie jem za szybko.

- A co, może wolno?

- Normalnie.

- Jesz jak świnia i ktoś ci to wreszcie powinien powiedzieć.

- Ładnie się wyrażasz, nie ma co.

- Mówię tylko prawdę - odcina się matka. - Cały dzień stoję na nogach przy tych garach, a ty jesz, jak gdyby się paliło, na dobitkę ten... ten smarkacz uznał, że moja kuchnia mu nie odpowiada. Woli być chory, a ja się mogę zamartwić na śmierć.

- Co on takiego zrobił?

- Nie chcę cię denerwować - mówi matka. - Zapomnijmy o całej sprawie.

Ale sama nie może zapomnieć, więc teraz ona zaczyna płakać. Też chyba nie jest najszczęśliwszą osobą na świecie. Niegdyś była dziewczyną smukłą jak strączek fasoli, którą chłopcy w ogólniaku przezywali „rudzielcem”. Kiedy miałem kolejno dziewięć i dziesięć lat, ubóstwiałem wprost jej szkolny album. Przez pewien czas trzymałem go w jednej szufladzie z inną egzotyczną księgą, z klaserem znaczków.

*Sophie Ginsky zwana „rudzielcem”*

*przez chłopaków*

*Daleko zajdzie, bo ma duże piwne oczy*

*i głowę nie byle jaką.*

Taka była moja mama!

Pełniła też funkcję sekretarki trenera piłki nożnej, stanowisko pozbawione w moich czasach laurów, ale chyba najbardziej godne pozazdroszczenia wśród młodych dziewcząt z Jersey City podczas pierwszej wojny światowej. Tak przynajmniej sądziłem, kiedy przeglądałem jej album szkolny i matka pokazywała mi przystojnego

bruneta, wówczas kapitana drużyny, a dzisiaj, wedle Sophie, „największego producenta musztardy w Nowym Jorku”.

- Pomyśleć, że mogłam wyjść za niego za mąż, zamiast za twojego ojca - wyznawała mi niejedną raz w sekrecie. Zastanawiałem się czasem, jak by się wówczas ułożyło moje i jej życie, a już regularnie przypominałem to sobie, kiedy ojciec zabierał nas na obiad do narożnych delikatesów. Rozglądałem się i mówiłem sobie w duchu: „Wyrabialibyśmy wszystką tę musztardę”. Podejrzewam, że podobne myśli musiały i jej chodzić po głowie.

- On je frytki - mówi matka i opada na kuchenne krzesło, żeby raz a dobrze wypłakać wszystkie łzy. - Chodzi po szkole z Melvinem Weinerem i napycha się frytkami. Jack, powiedz mu, ja jestem tylko matką. Powiedz mu, jaki go czeka smutny koniec. Aleks - matka przybiera dramatyczny ton, widząc, że się wycofuję w stronę drzwi - *tatele*, zaczyna się od biegunki, a wiesz, czym się kończy? Jeśli ktoś ma taki wrażliwy żołądek jak ty, wiesz, czym się to kończy? Trzeba nosić *plastikowy woreczek do załatwiania swoich potrzeb*.

Kto w dziejach całego świata najgorzej znosił kobiece łzy? Mój ojciec. A po nim ja. Ojciec zwraca się do mnie:

- Słyszałeś, co powiedziała matka. Nie jedz frytek z Melvinem Weinerem po szkole.

- Ani kiedy indziej - błaga matka.

- Ani kiedy indziej - powtarza ojciec.

- Ani hamburgerów na mieście - dorzuca matka.

- Ani hamburgerów na mieście - wtóruje ojciec.

- *Hamburgery* - stwierdza z całą zawziętością, zupełnie jak gdyby mówiła o Hitlerze - takie świństwo, mogą tam włożyć, co im się żywnie podoba, a on to je. Jack, każ mu obiecać, zanim wpakuje się w okropne curesy, zanim będzie za późno.

- Obiecuję! - wołam. - Obiecuję - i wylatuję pędem z kuchni... dokąd? Dokąd by indziej.

Zdzieram spodnie, chwytam jak oszalały swój zmaltretowany taran w walce o wolność, swój rozpalony pał, chociaż zza drzwi łazienki dobiega wołanie matki:

- Tylko tym razem nie spuszczaaj, Aleks, słyszysz? Muszę zobaczyć, co jest w muszli.

Panie doktorze, czy pan rozumie, przeciwko czemu wznosiłem oręż? Mój kindybał to jedyna rzecz, którą mogłem nazwać swoją własnością. Trzeba było widzieć matkę w akcji podczas sezonu heinemediny! Należał jej się medal od Towarzystwa do Walki z Chorobą Heinego-Medina! Otwórz buzię. Dlaczego masz zaczerwienione gardło? Boli cię głowa, ale nie chcesz się przyznać? Aleks, nie pójdziesz na żaden mecz baseballu, dopóki nie zobaczę, jak ruszasz szyją. Zesztywniała ci szyja? To dlaczego tak nią kręcisz? Jadłeś, jakby cię mdliło, powiedz, mdli cię? Bo jadłeś, jakby cię mdliło. Tylko nie pij wody z fontanny na boisku. Jak ci się zechce pić, poczekaj, aż wrócisz do domu. Masz chore gardło, co? Widzę przecież, jak przełykasz. Wiesz, co ci powiem, mój ty panie Joe Di Maggio, najlepiej odłóż tę rękawicę i marsz do łóżka. Nie ma mowy, żebyś wychodził na taki upał i biegał zziązany z tym chorym gardłem, nie ma mowy. Zmierzę ci gorączkę. Nie podoba mi się to twoje chrząkanie. Szczerze mówiąc, nie mogę wprost pojąć, że przez cały dzień chodziłeś z chorym gardłem i nie powiedziałaś ani słowa własnej matce. Dlaczego to przede mną ukrywałaś? Aleks, choroba Heinego-Medina nie zna się na meczach baseballowych. Zna tylko respirator i kalectwo do końca życia! Nie pozwolę, żebyś biegał zdyszany, to jest moje ostatnie słowo. Albo żebyś jadł hamburgery na mieście. Albo majonez. Albo siekaną wątróbkę. Albo tuńczyka. Mało kto tak dba o świeżość jedzenia jak twoja matka. Przywykłeś w domu do idealnej czystości, nie masz zielonego pojęcia, co się dzieje w restauracjach. Wiesz, dlaczego twoja matka, kiedy idziemy do Chińczyka, za nic nie usiądzie twarzą do kuchni? Bo nie chcę widzieć, co się tam dzieje. Aleks, musisz wszystko myć, rozumiesz? Wszyściutko! Bóg raczy wiedzieć, kto tego dotykał przed tobą.

Czy pana zdaniem przesadzam, jeśli uważam, że cudem ominął mnie dom wariatów? Ta histeria i te przesady! Te przestrogi i środki ostrożności! Nie wolno ci tego, wystrzegaj się tamtego, uważaj! Łamiesz bardzo ważne prawo! Jakie prawo? Czyje prawo? Mogliby równie dobrze nosić blaszki w wargach, kółka w nosach i malować się na niebiesko, bo tyle mieli wspólnego z cywilizowanymi ludźmi! A jeszcze te ich naczynia mleczne i mięsne, wszystkie meszugene przepisy i normy wieńczące ich własny, prywatny obłęd! Anegdota rodzinna głosi, że kiedy byłem malutki, odwróciłem się od okna, przez które obserwowałem zawieję śnieżną, i zapytałem z nadzieją w głosie:

- Mamuś, czy my wierzymy w zimę?

Rozumie pan, co to znaczy? Wychowali mnie Hotentoci i Zulusi! Przez myśl by mi nie przeszło, żeby popić mlekiem kanapkę z salami, bo już bym obraził śmiertelnie



Pana Boga Wszechmogącego. Proszę więc sobie wyobrazić, jak masturbacja odbiła się na moim sumieniu! Poczuciem winy, ustawicznym lękiem, strachem, który przeniknął mnie do szpiku kości! Co w ich świecie nie graniczyło z niebezpieczeństwem, nie roilo się od zarazków, nie niosło zagrożenia? Gdzie się podziały radość, śmiałość i odwaga? Kto zaszczepił tym moim rodzicom tak przerażające nastawienie do życia? Ojciec, już na emeryturze, ma teraz właściwie jeden jedyny temat, którym jest w stanie się zająć, a mianowicie autostrada New Jersey - Turnpike.

- Nie wjechałbym na to diabelstwo, nawet gdyby mi dopłacano. Trzeba mieć źle w głowie, żeby tamtędy jeździć, to istna fabryka śmierci, zalegalizowana forma morderstwa... - Wie pan, co on mi powtarza trzy razy na tydzień, liczę tylko te telefony, kiedy podniosę słuchawkę, a nie wszystkie dzwonki codziennie między szóstą i dziesiątą wieczór. - Proszę cię, sprzedaj ten samochód. Zrób to dla mnie, sprzedaj ten samochód, żebym choć raz mógł spokojnie zasnąć. Nie mogę pojąć, po co ci samochód w mieście. Nie jestem w stanie zrozumieć, po co płacisz ubezpieczenie, garaż i utrzymanie. Nie rozumiem zresztą, dlaczego w ogóle wolisz mieszkać sam w tej dżungli. Ile w końcu płacisz tym złodziejom za tę klitkę? Jeśli płacisz choć centa ponad pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, to chyba straciłeś rozum. Zachodzę w głowę, dlaczego nie chcesz się z powrotem przeprowadzić do North Jersey, dlaczego wolisz ten hałas, zbrodnie i spaliny...

A moja matka nie przestaje szeptać. Sophie znów szepcze! Raz w miesiącu bywam u nich na obiedzie, chociaż musiałem użyć całego sprytu, podstępny i siły na przestrzeni tych wielu lat, i to w nie sprzyjających okolicznościach, żeby ograniczyć swoje wizyty do jednej miesięcznie. Dzwonię do drzwi, matka otwiera i z miejsca zaczyna się szeptanie!

- Nie pytaj nawet, co ja z nim wczoraj miałam. - No więc nie pytam. - Aleks - ciągnie *sotto voce* - w taki dzień, nawet sobie nie wyobrażasz, co by dla niego znaczył telefon od ciebie. - Kiwam głową. - Jeszcze jedno, Aleks - nie przestaję kiwać głową, bo to nic nie kosztuje, a może uda mi się wykręcić - w przyszłym tygodniu są jego urodziny. To że Dzień Matki przeszedł bez kartki, no i moje urodziny, pogodziłam się z tym. Ale on kończy sześćdziesiąt sześć lat. Aleks, to nie żarty, to ważna chwila w życiu człowieka. Wyślij mu kartkę. Korona ci z głowy nie spadnie.

Panie doktorze, co za niesłychani ludzie! Nieprawdopodobni! Para niezrównanych producentów i pakowaczy poczucia winy w naszych czasach! Wytapiają to ze mnie niczym tłuszcz z kurczaka!

- Aleks, zadzwoń. Aleks, przyjeźdź. Aleks, informuj nas. Błagam cię, nigdy więcej nie wyjeżdżaj bez uprzedzenia. Ostatnio, kiedy wyjechałeś bez uprzedzenia, ojciec już miał dzwonić na policję. Wiesz, ile razy dziennie wykręcał twój numer i nikt się nie zgłaszał? No, zgadnij?

- Mamo - cedzę przez zęby - jeżeli padnę trupem, wyczują smród w ciągu siedemdziesięciu dwu godzin, zapewniam cię!

- Nie waż się tak mówić! Boże uchwaj! - woła matka. No i teraz rzuca argument śliczności, który zadziała jak amen w pacierzu. A czego się niby spodziewałem? Czy podobna wymagać rzeczy niemożliwych od rodzonej matki? - Aleks, nie prostszego, jak wykręcić nasz numer. Przecież i tak już niedługo zejdziemy ci z drogi.

Doktorze Spielvogel, tak wygląda moje życie, jedyne, które mam, zupełnie jak ze szmoncesu! Gram rolę syna ze szmoncesu - tyle że *to nie jest żart!* Błagam, niech pan mi powie, kto nas tak okaleczył? Kto nam przyprawił tę patologię, histerię i słabość? Dlaczego, no dlaczego oni wciąż krzyczą: „Uważaj! Przestań! Aleks, nie!”, i dlaczego leżąc samotnie w łóżku w Nowym Jorku wciąż rozpaczliwie trzępię kapucyna? Panie doktorze, jak się nazywa moja choroba? Czy to jest właśnie żydowskie cierpienie, o którym tyle się nasłuchałem? Czy to przeszło na mnie z pogromów i prześladowań? Z pośmiewiska i pogardy gojów przez te cudowne dwa tysiące lat? O, moje tajemnice, mój wstyd, moje drzenie, moje rumieńce, mój pot! Tak reaguję na zwykłe koleje życia ludzkiego! Panie doktorze, nie zniosę dłużej tego strachu o nic! Niech mi pan ześle wymarzoną męskość! Niech mi pan doda odwagi! Niech mi pan doda siły! Niech mnie pan pozbiera do kupy! Mam dość roli grzecznego chłopca, który publicznie sprawia przyjemność rodzicom, a prywatnie wali konia! Dostyc!

## ŻYDOWSKI BLUES

W dziewiątym roku życia jedno z moich jąder najwidoczniej uznało, że ma dosyć życia w mosznie, i zaczęło wędrować na północ. Z początku czułem, jak huśta się niepewnie na obrzeżu miednicy, po czym, jak gdyby minęła chwila wahania, osunęło się w jamę ciała niczym topielec wyłowiony z morza i wciągnięty przez burzę do łodzi ratunkowej. Tam też się zagnieździło, znalazłszy wreszcie bezpieczne schronienie w fortecy moich kości, zostawiając swego nieroztropnego towarzysza na łasce i nielasce chłopięcego świata korków futbolowych, kołków w płocie, patyków, scyzoryków i kamieni, słowem, wszystkich niebezpieczeństw, na których punkcie matka, pełna złych przeczuc, dosłownie szalała i nie przestawała mnie przestrzegać. Przestrzegała mnie i przestrzegała. I jeszcze raz. I jeszcze.

I jeszcze.

Tak więc moje lewe jądro zadomowiło się w pobliżu przewodu pachwinowego. Wciskając palec w zagłębienie między pachwiną a udem w pierwszych tygodniach tej ucieczki, czułem jeszcze ową galaretowatą kulistość, lecz potem przyszły koszmarne noce, kiedy nadaremno obmacywałem brzuch, obmacywałem się cały w górę aż do klatki piersiowej - niestety, podróżnik udał się w nieznane i nie oznaczone na mapie regiony. Gdzie ono się podziewa! Jak wysoko i jak daleko dotrze w swej podróży! Może pewnego dnia, kiedy otworzę usta, żeby zabrać głos na lekcji, stwierdzą, iż moje lewe jajo znajduje się na czubku języka? W szkole recytowaliśmy za nauczycielem: „Jestem kapitanem swego losu, jestem panem swej duszy”, a tymczasem, w moim własnym ciele, jeden z narządów wszczął anarchiczną rewoltę, której nie byłem w stanie opanować!

Przez dobre pół roku, zanim nasz lekarz domowy podczas corocznych badań odkrył jego nieobecność, dumałem nad swoją tajemnicą, zastanawiając się nieraz - gdyż rozważyłem wszystkie, ale to wszystkie ewentualności - czy jądro mogło dać nura do tyłu w kierunku kiszki stolcowej, by następnie przekształcić się w takie jajo, jakie widywałem, kiedy matka wyszarpywała oślizłą żółtą kiść z ciemnego wnętrza kurczaka, którego jelita wyrzucała do śmieci. A jeżeli wyrosną mi również piersi? Jeżeli penis wyschnie i skruszy się, a pewnego dnia, kiedy będę się odlewał, zostanie mi w ręce? Czy zmieniam się w dziewczynę? Albo, co gorsza, w takiego chłopca,

któremu - jeżeli dobrze zrozumiałem (z podwórkowych sensacji) - Robert Ripley w *Kto chce, niech wierzy* obiecał wypłacić „nagrodę” w wysokości stu tysięcy dolarów? Kto chce, niech wierzy, w New Jersey mieszka dziewięcioletni chłopiec, który jest w każdym calu chłopcem, tyle że może mieć dzieci.

Kto dostanie nagrodę? Ja czy też osoba, która mnie zgłosi?

Doktor Icek przesunął mój worek mosznowy w palcach, jak gdyby sprawdzał materiał na ubranie, który ma zamiar kupić, po czym powiedział ojcu, że muszę wziąć serię zastrzyków z męskimi hormonami. Jedno z jąder nie wykształciło się w pełni - to niezwykle, wprost niesłychane... A jeżeli zastrzyki nie pomogą - pyta zaniepokojony ojciec. Co wtedy...? W tym momencie wysyłają mnie do poczekalni, żebym przejrzał pisma ilustrowane.

Zastrzyki pomagają. Omija mnie nóż. (Po raz wtóry!)

Ach, ten mój ojciec! Dobry, troskliwy, nie pojmujący, wiecznie walczący z zatwardzeniem! Skazany na obstrukcję przez to Święte Imperium Protestantów! Pewność siebie i spryt, władczość i kontakty - które umożliwiały blondynom i błękitnookim reprezentantom jego pokolenia przywództwo, wpływy, rządy, a w razie potrzeby ucisk - były nie dla niego, nie zdobyłby się na ich setną część. Jak mógłby uciskać bliźnich? Sam był uciskany. Jak mógłby dzierżyć władzę? Sam był bezwładny. Jak mógłby rozkoszować się zwycięstwem, skoro tak gardził zwycięzcami, a pewno i samą myślą o zwycięstwie.

- Wiesz, Aleks, że oni czczą Żyda? Ta ich cała nadęta religia opiera się na czci dla kogoś, kto był wówczas znany jako Żyd. Jak ci się podoba ich głupota? Jak ci się podoba to mydlenie ludziom oczu? Jezus Chrystus, którego ogłaszają wszem i wobec Bogiem, był w istocie Żydem! I chociaż sama myśl o tym dosłownie mnie wpędza do grobu, nikt już na to nie zwraca uwagi. Że był Żydem jak ty czy ja, że wzięli sobie Żyda i dopiero po jego śmierci zrobili z niego Boga, a potem, i to mnie naprawdę doprowadza do szału, potem te parszywe dranie odwracają kota ogonem, i kto trafia na pierwsze miejsce ich listy prześladowań? Kto pada ofiarą mordów i nienawiści, pozostaje w ich łapskach przez dwa tysiące lat? Żydzi Ci sami, którzy dali im na dobry początek ukochanego Jezusa! Zapewniam cię, Aleks, że do końca życia nie usłyszysz większego steku bzdur i obrzydliwych bredni niż religia chrześcijańska. I na tym właśnie polega wiara tych niby to ważniaków!

Niestety, na froncie domowym strategia obronna w postaci pogardy dla silnego wroga nie przychodziła tak łatwo - bo z czasem jego ukochany syn stawał się coraz bardziej tym wrogiem. Proszę mi wierzyć, w czasie moich uporczywych napadów wściekłości, które podciągnięto pod tak zwany okres dojrzewania, najbardziej przerażała mnie nie tyle furia ojca, która mogła mnie w każdej chwili osiągnąć, ile furia, jaką co wieczór przy obiedzie pragnąłem wyładować na jego głupich, barbarzyńskich zwłokach. Och, jak bardzo chciałem wypędzić skowyczącego z krainy żywych, kiedy sięgał do półmiska swoim widelcem albo siorbał zupę z łyżki, zamiast elegancko poczekać, aż wystygnie, albo kiedy nie daj Boże usiłował wypowiedzieć się na jakikolwiek temat... A już najbardziej przerażało mnie w tym pragnieniu zabójstwa jedno - gdybym spróbował, przypuszczalnie by mi się udało! Przypuszczalnie sam by mi w tym dopomógł! Wystarczyłoby się rzucić przez zastawiony stół z palcami wymierzonymi w jego tchawicę, a on by zaraz spadł z wywalonym językiem pod stół. Krzyżeć to on potrafił, handryczyć się też potrafił, a jojczyć, jeszcze jak! Ale obronić się? Przede mną?

- Aleks, jak tak dalej będziesz pyskował - ostrzega matka, kiedy niczym Attyła, król Hunów, wybiegam z wrzaskiem w połowie kolejnego nie dojedzonego obiadu - jak nie będziesz okazywał mu szacunku, doprowadzisz tego człowieka do zawału serca!

- Świetnie! - krzyczę, trzaskając jej przed nosem drzwiami do mojego pokoju. - Cudownie! - wrzeszczę, wyciągając z szafy nylonową wiatrówkę, którą noszę jedynie z podniesionym kołnierzem (czego matka nie znosi, podobnie jak całej ohydnej kurtki).

- Wspaniale! - drę się i zapłakany pędzę na róg, żeby wyładować gniew na automacie do gry.

Jezu, w obliczu mojego buntu - gdyby tak ojciec był matką! A matka ojcem! Co za pomieszanie płci w mojej rodzinie! Kto powinien, zgodnie z prawem, atakować mnie i cofać się... a kto powinien cofać się i atakować z ukrycia! Kto powinien zrzedzić, załamywać się w bezsilności, obezwładniony przez czułe serce! A kto powinien załamywać się, zamiast zrzedzić, karcić mnie, napominać, krytykować, wytykać mi bez końca błędy! Kto ma wypełniać patriarchalną próżnię! O, dzięki Ci, Boże, dzięki Ci, Panie Boże, że przynajmniej ma kutasa i jaja! Chociaż w tym świecie gojów o złotych włosach i mowie jak srebro jego męskość jest (delikatnie mówiąc) narażona na szwank, przynajmniej między nogami ma (chwała Bogu!) wyposażenie

jak prawdziwy mężczyzna - dwa zdrowe jądra, z którymi nie powstydziliby się paradować żaden król, oraz buca monarszej długości i szerokości. Były jego własnością, tak, z całą pewnością, zwisały mu, należały do niego, nie sposób go było ich pozbawić!

Naturalnie w domu znacznie rzadziej widywałem jego seksualne oprzyrządowanie niż jej strefy erogenne. A raz widziałem krew menstrualną... widziałem ciemną lśniącą plamę na wytartym linoleum pod zlewem kuchennym. Zaledwie dwie czerwone krople, i to przeszło ćwierć wieku temu, ale nadal połyskują w jej ikonie, która wisi wiecznie oświetlona w moim Muzeum Współczesnym Żalów i Zażaleń (razem z paczką podpasek higienicznych i nylonowymi pończochami, do których za chwilę dojdę). Z ikony tej kapią również strugi krwi ciekącej bez końca przez cedzak do miski. Odsąca krew z mięsa, żeby było koszerne i nadawało się do jedzenia. Może coś mi się pomieszało - zupełnie jakbym był synem z domu Atreusza, bo tyle mówię o krwi - ale widzę, jak stoi nad zlewem i soli mięso, żeby upuścić z niego krew, kiedy w przyprawie „kobiecej niedyspozycji” wybiega z nader niepokojącym jękiem do sypialni. Miałem najwyżej cztery lub pięć lat, a jednak te dwie krople krwi, ujrzane na podłodze w kuchni, mam nadal przed oczyma... podobnie jak paczkę podpasek higienicznych... podobnie jak pończochy wciągane na nogi... podobnie jak - nie muszę chyba dodawać? - nóż do chleba, którym ani chybi utoczy moją krew, jeżeli odmówię zjedzenia obiadu. Ten nóż! Ten nóż! Najbardziej boli mnie to, że matce nie przyszło do głowy wstydzić się tego czy się z tym kryć. Słyszę z łóżka, jak szczebiocze o swoich kłopotach paniom podczas gry w mah-jonga:

*- Mój Aleks stał się raptem takim niejadkiem, że muszę stać nad nim z nożem.*

Przy czym żadna z nich nie uważa widocznie, że matka przesadza w swojej taktyce. Muszę stać nad nim z nożem! I ani jedna nie wstaje od stolika do mah-jonga i nie opuszcza jej domu! Bo w ich świecie tak się właśnie postępuje z niejadkami - trzeba stać nad nimi z nożem!

Kilka lat później zawołała do mnie z łazienki: - Leć do drogerii! Kup mi paczkę podpasek! Szybko! - I to z jaką paniką w głosie. O mało nóg nie połamałem! Migiem wróciłem z powrotem i bez tchu wręczyłem paczkę białym palcom, które wysunęły się do mnie przez wążutką szparę w drzwiach łazienki... Chociaż menstrualne dolegliwości musiano koniec końców zlikwidować za pomocą zabiegu chirurgicznego, i tak

trudno jej wybaczyć, że wysłała mnie z tą misją miłosierdzia. Powinna się była raczej wykrwawić na śmierć na zimną posadzkę łazienki, już lepsze to, niż wysłać jak na alarm jedenastoletniego chłopca po podpaski! Gdzie, na miłość boską, podziewała się moja siostra? Gdzie podziały się zapasy matki? Dlaczego ta kobieta była tak potwornie nieczuła na wrażliwość rodzzonego syna - z jednej strony tak nieczuła na mój wstyd, z drugiej zaś wychodząca naprzeciw moim najskrytszym pragnieniom!

Jestem tak mały, że nie bardzo zdaję sobie sprawę z własnej płci, tak pan pewno sądzi. Jest wczesne popołudnie, czwarta wiosna mojego życia. Na skrawku ziemi przed naszym budynkiem prężą się kwiaty na fioletowych łodygach. Przez otwarte na oścież okna wpada delikatne, aromatyczne powietrze tej pory roku, ale też zelektryzowane energią matki - skończyła pranie z całego tygodnia i rozwiesiła na sznurze, upiekła na deser marmurkowe ciasto, krewko wpuszczając nożem czekoladę - znów ta krew! znów ten nóż! - mniejsza o to, zręcznie wpuszczając czekoladę w masę waniliową, co graniczyło dla mnie z cudem, podobnie jak umiejętność zatapiania brzoskwiń w lśniącej salaterce galaretki. Zrobiła pranie, upiekła ciasto, wyszorowała posadzkę w kuchni i w łazience, wyłożyła ją gazetami, odkurzyła, a jakże, mieszkanie, nie muszę chyba dodawać, że przejechała wszędzie elektroluksem, sprzątnęła ze stołu po drugim śniadaniu, umyła naczynia i (ze swym dzielnym, małym pomocnikiem) poustawiała je na miejsce do kredensu z naczyniami mlecznymi w spiżarni... pogwizdując przy tym całe rano jak kanarek niemelodyjną piosenkę zdrowia i radości, beztroski i samowystarczalności. Kiedy rysuję dla niej obrazek, ona bierze prysznic... a teraz w słonecznym blasku sypialni ubiera się, żeby zabrać mnie do miasta. Siedzi na krawędzi łóżka w wypchanym biustonoszu i pasie elastycznym, wciąga pończochy i gawędzi sobie pod nosem. Kto jest grzecznym synkiem mamusi? Kto jest najlepszym synkiem, jakiego mamusia kiedykolwiek miała? Kogo mamusia kocha najbardziej na świecie? Nie posiadam się wprost ze szczęścia, a zarazem śledzę obcisłą, powolną, cudowną w swej udręce wędrówkę przezroczystych nylonów, które nadają jej ciału podniecający odcień. Przysuwam się bliżej, żeby móc wachać talk na jej szyi i żeby się lepiej przyjrzeć elastycznym splotom zwisających podwiązek, do których za chwilę przypnie pończochy (niewątpliwie przy dźwięku fanfar). Czuję zapach pasty, jaką wypolerowała cztery błyszczące podpórki mahoniowego łóżka, gdzie sypia z mężczyzną, który spędza z nami noce i niedzielne popołudnia. Podobno to mój ojciec. Na końcach palców, chociaż wymyła każdy z tych świntuszków ciepłą, wilgotną ściereczką, czuję woń drugiego śniadania, sałatki z tuńczyka. A może to woń jej

kobiecości? Może! Chce mi się mrużyć z zadowolenia. Mam dopiero cztery lata, a już czuję we krwi - aha, znów ta krew - jak ta chwila pulsuje namiętnością, obfituje w możliwości. Gruba, długowłosa istota, którą nazywają moją siostrą, jest w szkole. Ten facet, mój ojciec, też bawi poza domem, stara się jak umie, żeby zarobić na życie. W każdym razie tych dwojga nie ma w domu, i kto wie, jeśli będę miał szczęście, może nigdy nie wróca... Tymczasem jest popołudnie, wiosna, a ta kobieta dla mnie i tylko dla mnie wkłada pończochy i śpiewa piosenkę o miłości. Kto zostanie z mamusią na zawsze? Ja. Kto pójdzie z mamusią choćby na koniec świata? Oczywiście ja. Co za głupie pytanie, ale proszę mnie źle nie zrozumieć, podejmuję uczciwą grę! Kto zjadł pyszne drugie śniadanie z mamusią, kto wybiera się z mamusią autobusem do miasta jak grzeczny chłopczyk, kto wybiera się z mamusią do domu towarowego... i tak dalej i dalej... aż do dziś, bo jakiś tydzień temu, kiedy wróciłem cały i zdrow z Europy, mamusia tak mnie powitała:

- Czujesz?

- Co? - chociaż bierze moją rękę i przyciąga ją do swojego ciała. - Mamo...

- Nie przybyło mi nawet dwa kilo - mówi - od twojego urodzenia. Czujesz? - pyta i przytyka moje sztywne palce do krągłości swoich bioder, które są całkiem niezłe...

No i te pończochy. Minęło przeszło dwadzieścia lat (cała zabawa powinna się była dawno skończyć!), ale mamusia nadal przypina sobie pończochy w obecności synka. Teraz jednak on już dba o to, żeby odwrócić wzrok, kiedy flaga wjeżdża łopocząc na maszt - i to nie tylko z troski o swoje zdrowie psychiczne. Spójrzmy prawdzie w oczy, odwracam wzrok nie tyle z własnego powodu, ile z powodu tego biedaka, mojego ojca! Ale co ojciec naprawdę woli? Gdyby raptem ich dorosły synalek rzucił się z mamusią na dywan w salonie, jak by tatuś zareagował? Oblałby wiadrem wrzątku szalejącą, obłąkaną parę? Wyciągnąłby swój nóż czy też wyszedłby do drugiego pokoju oglądać telewizję, dopóki nie skończą?

- Dlaczego odwracasz wzrok...? - pyta rozbawiona matka, wyrównując szwy. - Myślałby kto, że jestem młodą dziewczyną, myślałby kto, że nie podcierałam ci pupy i nie całowałam twojego dyndaska przez tyle lat. Patrzcie go... - to już do ojca, w razie gdyby nie zwracał dostatecznej uwagi na rozgrywający się właśnie spektakl - patrzcie, zachowuje się, jak gdyby jego sześćdziesięcioletnia matka była królową piękności.



Raz na miesiąc ojciec zabierał mnie do łaźni parowej, żeby zburzyć - za pomocą oparów, masażu i długiego głębokiego snu - piramidę irytacji, w której sam się zamurował przez kilka tygodni pracy. Zamykamy ubrania w sali sypialnej na najwyższym piętrze. Na rzędach żelaznych pryczy ustawionych prostopadle do szafek leżą pokotem mężczyźni, którzy już przeszli przez dzwonek na dole, zakryci białymi prześcieradłami niczym ofiary straszliwej katastrofy. Gdyby nie nagły grzmot pierdnięcia albo chrapanie odbywające się sporadycznie wokół mnie niby seria z karabinu maszynowego, myślałbym, że jesteśmy w kostnicy i z nie znanego bliżej powodu rozbieramy się przy zmarłych. Nie patrzę na ciała, tylko jak myszka skaczę nerwowo na palcach, usiłując wyzwolić nogi ze spodenek, zanim ktokolwiek zdąży tam zajrzeć, gdzie, ku mojemu strapieniu, ku mojemu zdumieniu, ku mojemu przerażeniu, zawsze dostrzegam na szwie w kroku blady, nikły ślad kału. Och, panie doktorze, podcieram się i podcieram bez końca, podcieranie zabiera mi tyle samo czasu co sranie, a może nawet więcej. Zużywam mnóstwo papieru toaletowego, jak gdyby rósł na drzewach - tak twierdzi mój zazdrosny ojciec - podcieram się, aż ta moja dziurka przybiera kolor truskawki, ale i tak, chociaż chciałbym sprawić przyjemność matce i wrzucić pod koniec dnia do kosza z brudną bielizną slipy, które mogły okrywać tyłek anioła, zostawiam jedynie (umyślnie, Herr Doktor? - czy po prostu dlatego, że nie ma na to rady?) śmierdzące majtki chłopca.

Ale czemu tutaj, w łaźni tureckiej, skaczę jak oparzony? Nie ma tu przecież kobiet. Nie ma kobiet... i nie ma gojów. Czy to możliwe? Nie ma się czego bać!

Podążając za zmarszczkami na spodzie jego białych pośladek, opuszczam sypialnię i schodzę żelaznymi schodami do czyścica, gdzie cierpienia związane z rolą agenta ubezpieczeniowego, głowy rodziny i Żyda zostaną odparowane i wysiekane z ciała ojca. Na najniższym podeście omijamy stos białych prześcieradeł i stertę mokrych ręczników, ojciec popycha barkiem ciężkie, nie oszklone drzwi i wchodzimy do mrocznego, cichego przybytku pachnącego zimową zielenią. Dobiegają mnie odgłosy niezbyt licznej, pozbawionej entuzjazmu publiczności oklaskującej scenę śmierci w jakiejś tragedii - to dwóch masażystów łupie i łoi skórę swoich ofiar, mężczyzn owiniętych do pasa prześcieradłami, wyciągniętych na marmurowych podestach. Walą ich, ugniatają i szarpią, powoli wykręcają im kończyny, jak gdyby chcieli je wyciągnąć w jednym kawałku ze stawów - patrzę jak urzeczony, ale nadal sunę za ojcem, idziemy wzdłuż basenu, niewielkiego zielonego sześcianu lodowatej wody zapierającej dech w piersi, i docieramy wreszcie do łaźni parowej.

Z chwilą gdy ojciec otwiera drzwi, sala zaczyna snuć mi opowieść o czasach prehistorycznych, wcześniejszych nawet niż epoki jaskiniowców i mieszkańców jezior, przerabiane przeze mnie w szkole, kiedy to nad mulistymi trzęsawiskami, ówczesną ziemią, kłęby białych gazów dławiły promienie słońca, i musiały minąć całe eony, zanim planeta osuszyła się dla Człowieka. Natychmiast rozstaję się z tym maminsynkiem, co biegnie do domu po lekcjach z piątkami w rękę, z tym aż za szczerym niewiniątkiem nie ustającym w poszukiwaniu klucza do niezgłębionej tajemnicy, czyli aprobaty matki, i cofam się do owych błotnistych, wodnych czasów, jeszcze przed nastaniem rodzin takich, jakie znamy dzisiaj, przed powstaniem znanych nam dzisiaj toalet i tragedii, do epoki stworzeń amfibiopodobnych, nurkujących bezmózgich niezdarnych istot z oślizgłymi, mięsistymi płetwami i parującymi tułowiami. Zupełnie jak gdyby ci wszyscy Żydzi pluszczący się pod zimnymi strużkami prysznicu w kącie sali parowej, następnie człapiący z powrotem po nową porcję gęstych, przenikliwych, duszących wyziewów, cofnęli wehikuł czasu aż do ery, gdy istnieli jako stado żydowskich zwierząt, które wydawały z siebie jeden odgłos: oj, oj, oj ... bo taki właśnie dźwięk dobywa się z ich gardeł, kiedy wylażą spod natrysku pod ciężkie bicze pary. Odnoszę wrażenie, że ojciec i jego towarzysze niedoli powrócili wreszcie do upragnionego otoczenia w którym czują się swobodnie. Do oazy bez gojów i bez kobiet.

Stoję na baczność między jego nogami, kiedy pokrywa mnie od stóp do głów grubą warstwą piany mydlanej ... i patrzę z podziwem na solidny worek, zwisający z marmurowej ławy, na której ojciec siedzi. Jego moszna przypomina wydłużoną, zmarszczoną twarz starca, przy czym pod każdym z obwisłych policzków tkwi jajko - tymczasem moja mogłaby równie dobrze dyndać u przegubu lalki dla dziewcząt niczym miniaturowa różowa torebka. Jeśli chodzi o jego szlong, w porównaniu z moim członkiem jak palec, z tym „maluszkiem”, jak matka z upodobaniem określa go publicznie (mniejsza o jeden raz, ale ten raz przeciąga się w nieskończoność), jego szlong przywodzi na myśl węże strażackie zwinięte na korytarzach w szkole. Szlong - sama nazwa oddaje trafnie brutalność i mięsistość, tak przeze mnie podziwiane, całą niedbałość, ciężar i pewność siebie zwisające w tym żywym wężu gumowym, z którego tryskają strumienie wody grube i silne jak powróż, tymczasem ja puszczam cienkie żółte niteczki, na które moja eufemistyczna matka mówi „psi psi”. Psi psi z pewnością robi moja siostra, małe żółte niteczki, którymi można by szyc...

- Chcesz zrobić psi psi? - pyta matka, kiedy ja marzę o tym, żeby puścić strugę, wywołać potop, spowodować, tak jak on, przyływ w muszli klozetowej. - Jack - woła do niego matka - może byś tak zamknął za sobą drzwi? Niezły dajesz przykład, no wiesz komu.

Gdyby to była prawda, mamó! Gdyby tylko „no wiesz kto” znalazł inspirację w tego „jak mu tam” ordynarności. Gdybym potrafił wznieść się na szczyty jego wulgarności, która u mnie stanowi kolejne źródło poczucia wstydu. Wstyd, wstyd i jeszcze raz wstyd - gdziekolwiek się ruszę, muszę się czegoś wstydząć.

Jesteśmy w sklepie wujka Nata przy Springfield Avenue w Newark. Marzę o slipach kąpielowych z wszytym suspensorium. Mam jedenaście lat i to jest mój sekret - chcę mieć suspensorium. Wiem, że nie trzeba się odzywać, wiem, że należy trzymać język za zębami, ale jak je zdobyć, jeżeli nie poprosić? Wuj Nat, fajny wąsaty krawiec, zdejmuje z półki parę chłopięcych spodenek, takich jakie noszę od dawna. Mówi, że to najlepsze kąpielówki dla mnie, szybko schną i nie będą obcierać.

- Jaki jest twój ulubiony kolor? - pyta wuj Nat. - A może wolisz spodenki w barwach szkoły, co?

Oblewam się rumieńcem, chociaż to nie jest jeszcze moja odpowiedź.

- Nie chcę takich kąpielówek - i już czuję w powietrzu upokorzenie, słyszę, jak dudni w oddali, lada chwila spadnie na moją niedojrzałą głowę.

- Dlaczego? - pyta ojciec. - Nie słyszałeś, jak wuj mówił, że to najlepsze...

- Bo chcę spodenki z suspensorium!

No tak, niewiele więcej potrzeba mojej matce:

- Dla twojego maluszka? - pyta z rozbawionym uśmiechem.

Tak, mamó, wyobraź sobie, że dla mojego maluszka.

Potentatem rodzinnym - człowiekiem sukcesu w interesach, tyranem w domu - był najstarszy brat ojca, Hymie, jedyny spośród moich ciotek i wujów, który urodził się za oceanem i mówił z akcentem. Stryj Hymie pracował w branży napojów chłodzących, butelkował i dostarczał słodki, gazowany napój Squeeze, zastępujący nam wino stołowe do obiadu. Stryj mieszkał wraz z neurasteniczną żoną Klarą, synem Haroldem i córką Marcją w zdecydowanie żydowskiej dzielnicy Newark, zajmował

piętro dwurodzinnego domku, którego był właścicielem, i na którego parter wprowadziliśmy się w roku 1941, kiedy ojciec przeniósł się do biura Towarzystwa Ubezpieczeń na Boston i Okręg Północno-Wschodni w hrabstwie Essex.

Wynieśliśmy się z Jersey City z powodu antysemityzmu. Tuż przed wojną, kiedy Bund poszedł na całego, naziści urządzali sobie pikniki w piwiarni na wolnym powietrzu kilka przecznic od naszego domu. Gdy w niedzielę przejeżdżaliśmy tamtędy samochodem, ojciec kłął na tyle głośno, żebym go usłyszał, ale nie na tyle, żeby usłyszeli tamci. Pewnej nocy wymalowano swastykę na naszym domu. Następnie znaleziono swastykę wyrytą na ławce jednego z uczniów żydowskich w klasie Hanny. A Hannę raz goniła do domu po szkole banda chłopców, którzy wedle naszych podejrzeń byli rozbestwionymi antysemitami. Rodzice odchodzili od zmysłów. A stryj Hymie na wieść o tych historiach tylko się roześmiał:

- I to was dziwi? Mieszkacie otoczeni ze wszystkich czterech stron przez gojów i to was dziwi?

Żyd może mieszkać tylko i wyłącznie wśród Żydów, zwłaszcza, powiedział z naciskiem, którego znaczenie nie całkiem mi umknęło, zwłaszcza jeżeli jego dzieci dorastają wśród przedstawicieli odmiennej płci. Stryj Hymie lubił się wywyższać nad ojca i ze szczególnym upodobaniem wytykał mu, że w Jersey City tylko nasz budynek jest zamieszkiwany wyłącznie przez Żydów, tymczasem w Newark, w jego mieście, cała dzielnica Weequahic jest żydowska. W liceum Weequahic, w klasie maturalnej mojej kuzynki Marcii, na dwustu pięćdziesięciu uczniów przypadało zaledwie jedenastu gojów i jeden kolorowy. Bierzcie nogi za pas, radził stryj Hymie... Toteż ojciec, po wielu deliberacjach, złożył podanie o przeniesienie z powrotem do rodzinnego miasta i chociaż jego bezpośredni zwierzchnik nie chciał się pogodzić ze stratą tak oddanego pracownika (i naturalnie odłożył jego prośbę ad acta), matka w końcu na własną rękę zamówiła międzymiastową do Centrali w Bostonie i po wielkich perypetiach, w których szczegóły nie chcę się nawet wdawać, udzielono zezwolenia - w roku 1941 przenieśliśmy się do Newark.

Kuzyn Harold był niski, krępy jak byczek - zresztą jak wszyscy mężczyźni w rodzinie poza mną - i łudząco podobny z wyglądu do aktora Johna Garfielda. Moja matka go ubóstwiała i zawsze przyprawiała go o rumieniec (ma do tego wyjątkowy talent), oznajmiając w jego obecności:

- Gdyby dziewczyna miała takie ciemne rzęsy jak Heszele, mówię wam, dostałaby natychmiast kontrakt w Hollywood na milion dolarów.

W kącie piwnicy, naprzeciwko kartonów Squeeze stryja Hymiego piętrzących się pod sufit, Hesze trzymał sztangielki, którymi ćwiczył codziennie przed rozpoczęciem sezonu lekkoatletycznego. Był jednym z gwiazdorów drużyny, miał mistrzostwo miasta w rzucie oszczepem, startował w pchnięciu kulą, w rzucie dyskiem i oszczepem, ale pewnego razu podczas zawodów na szkolnym stadionie, gdy trener wystawił go, w zastępstwie chorego kolegi, do biegu przez płotki, Hesze upadł przy ostatniej przeszkodzie i złamał rękę w przegubie. Ciotka Klara przechodziła wówczas, a może przez cały czas?, „atak nerwowy” - w porównaniu z ciotką Klarą moja energiczna matka jest doprawdy Gary Cooperem - i kiedy Hesze przyszedł pod wieczór do domu z ręką na temblaku, zemdląła, osuwając się na posadzkę w kuchni. O temblaku Heszego mówiono później, że było to „źdźbło, które złamało kark wielbłądowi”, cokolwiek to miało znaczyć.

Dla mnie Hesze był wszystkim - to znaczy przez ten krótki okres, kiedy go znałem. Marzyłem, że pewnego pięknego dnia też zostanę członkiem drużyny lekkoatletycznej i będę nosił białe krótkie szorty z rozcięciami po obu stronach, żeby mięśnie ud mogły się prężyć i napinać.

Tuż przed pójściem do wojska w roku 1943 Hesze postanowił zaręczyć się z dziewczyną nazwiskiem Alice Dembosky, dyrygentką w orkiestrze szkolnej. Talent Alice pozwalał jej kręcić niejedną, lecz dwiema srebrnymi batutami naraz - żonglować nimi nad głową, przerzucać je wężowatym ruchem między nogami, wreszcie ciskać pięć albo i sześć metrów w górę, łapać jedną, a następnie drugą za plecami. Nader rzadko zdarzało się jej upuścić batutę na murawę, a wtedy potrzasała w rozdrażnieniu głową i wołała cienkim głosikiem: - Och, Alice! - za co Hesze kochał ją chyba jeszcze bardziej, przynajmniej taką reakcję wywoływało to u mnie. Och-Alice z tymi długimi włosami blond opadającymi jej na szyję i na twarz! Śmigająca z taką werwą przez połowę boiska! Och-Alice w tej swojej kusej białej spódnicy, w białych atlasowych szortach i w białych botkach opinających mięśnie jej smukłych, silnych łydek! O Jezusie, „Długonoga” Dembosky, w całej swej głupiej, blond, gojowatej piękności! Kolejna ikona!

W domu Heszego, a nawet i w moim, zamartwiano się na śmierć z tego powodu, że Alice jest taką wyzywającą sziksą; cała zaś społeczność czerpała chyba

swoistą obywatelską dumę z faktu, iż Aryjka zdołała osiągnąć tak wysoką pozycję w naszej szkole, której wykładowcy i uczniowie byli w dziewięćdziesięciu pięciu procentach żydowskiego pochodzenia. Z drugiej strony, kiedy Alice prezentowała to, co zapowiadano przez megafon jako jej „popisowy numer” - kręcąc batutą owiniętą z obu stron nasączonymi benzyną i podpalonymi szmatami - mimo entuzjastycznego aplauzu kibiców Weequahic na cześć odwagi i zręczności dziewczyny, mimo uroczystego *bum bum bum* naszego bębna basowego oraz achów i ochów wzbijających się w powietrze, kiedy zdawało się, że lada chwila zajmą się ogniem jej cudowne piersi - mimo szczerego podziwu i przejęcia, wyczuwało się też chyba po naszej stronie boiska pewną komiczną rezerwę, wynikłą z przekonania, że tylko i wyłącznie gojka mogła się zająć wyrabianiem w sobie takiej zdolności.

Tak zresztą rodzice z naszej dzielnicy podchodzili przeważnie do sportu, a zwłaszcza do futbolu amerykańskiego - to w sam raz dla gojów. Niech się biorą za łby dla „chwały”, dla zwycięstwa w meczu piłkarskim! Jak mawiała ciotka Klara tym swoim wysiłonym, piskliwym tonem:

- Hesze! Błagam cię! Nie potrzeba mi tych gojowskich smakołyków!

Nie potrzebowała, nie chciała tych śmiechu wartych rozrywek i satysfakcji, które sprawiały przyjemność Aryjczykom... W futbolu amerykańskim nasza żydowska szkoła średnia ponosiła notorycznie porażki (choć orkiestra, muszę powiedzieć, zawsze zbierała nagrody i pochwały); niechlubne wyniki wywoływały oczywiście rozgoryczenie u młodzieży, niezależnie od stanowiska rodziców, ale nawet jako dzieci potrafiliśmy zrozumieć, że przegrana w meczu futbolowym nie oznacza największej katastrofy. Świadczył o tym hymn, który mój kuzyn i jego kumple śpiewali na podium po meczu, kiedy Weequahic kolejny raz doznała pozornie druzgocącej klęski. Śpiewałem go razem z nimi.

*Icek, Micek, Sam i Kuba,*

*Szynka to jest dla nas zguba.*

*Gramy w piłkę, mecz tuż tuż...*

*I bez macy ani rusz!*

*Hurra, hip, hip, tup. Niech żyje szkoła Weequahic!*

No i co z tego, że przegraliśmy? Okazało się, że mamy inne powody do dumy. Nie tykamy szynki. Jemy macę przed meczem. Tak naprawdę to nie jedliśmy, ale

moglibyśmy, gdybyśmy tylko chcieli, i nie wstydziłyśmy się do tego przyznać. Byliśmy Żydami i nie wstydziłyśmy się do tego przyznać! Byliśmy Żydami... i nie tylko nie byliśmy gorsi od gojów, którzy ogrywali nas w futbolu, ale też można uznać, że skoro nie wkładaliśmy dość serca, żeby zwyciężyć w takim bandyckim meczu, byliśmy wręcz od nich lepsi! Byliśmy Żydami... i byliśmy górą!

*Biała bułka, razowiec,  
Pumpernikiel, chałka,  
Kto jest za Weequahic,  
Niech wstanie i klaska!*

To kolejna przyśpiewka, której nauczyłem się od kuzyna Heszego, dalsze cztery linijki poezji, pogłębiające moje poczucie niesprawiedliwości, jaka nas dotykała... Wściekłość i obrzydzenie moich rodziców wobec Aryjczyków stawały się poniekąd zrozumiałe - goje uważali się za coś wyjątkowego, gdy tymczasem to my byliśmy moralnie górą. A byliśmy górą właśnie z powodu owej nienawiści i braku szacunku, którymi nas tak hojnie darzyli!

Tylko jak wytłumaczyć nienawiść, którą my darzyliśmy ich tak hojnie?

No i jak wytłumaczyć sprawę Heszego i Alice? Jak na to patrzeć?

Kiedy inne metody zawiodły, poproszono rabina Warshawa, żeby odwiedził rodzinę w pewne niedzielne popołudnie i przekonał Heszego, żeby nie marnował młodości i nie oddawał jej największemu wrogowi. Podglądałem zza kotary w salonie, jak rabin wstępuje dumnie w obszernej czarnej pelerynie na frontowy ganek. Udzielał niegdyś Heszemu lekcji przed bar micwą, a ja drżałem na myśl o tym, że pewnego dnia przyjdzie kolej na mnie. Przeszło godzinę pertraktował ze zbuntowanym chłopcem i z jego znękaną rodziną.

- Poświęcił przeszło godzinę swojego cennego czasu - podkreślano później, jak gdyby sam ten fakt powinien był odwieść Heszego od powziętej decyzji. Ale gdy tylko rabin wyszedł, płyty tynku znów zaczęły odpadać z sufitu nad naszymi głowami. Otworzyły się z trzaskiem drzwi... a ja pobiegłem na drugą stronę domu, żeby przykucnąć pod oknem sypialni rodziców. Na podwórku stał Hesse i rwał z głowy czarne włosy. Po chwili zjawił się łysy stryj Hymie, wymachując gwałtownie pięścią - wypisz wymaluj jak Lenin! Za nimi ciągnął tłum ciotek, wujków i starszych kuzynów,

którzy uwijali się między tymi dwoma, żeby ci nie starli siebie nawzajem na żydowską miazgę.

Pewnej soboty na początku maja, po całym dniu stanowych mistrzostw lekkoatletycznych w New Brunswick, Hesze wrócił o zmroku ze szkoły i natychmiast pobiegł do baru naprzeciwko, żeby zadzwonić do Alice i zawiadomić ją, że zajął trzecie miejsce w rzucie oszczepem w całym stanie. Alice odparła, że nigdy w życiu już się z nim nie spotka, i odłożyła słuchawkę.

W domu stryj Hymie czekał już w stanie gotowości - do tego kroku, jak oznajmił, Hesze go po prostu zmusił, Harold sam to ściągnął na swoją głupią, upartą głowę. Zupełnie jak gdyby bomba burząca spadła koniec końców na Newark, tak przeraźliwy hałas rozległ się na klatce - Hesze wypadł zlorzecząc z mieszkania rodziców, zbiegł po schodach, mijając nasze drzwi, aż do piwnicy, i tylko jeden długi huk przetoczył się za nim. Zobaczyliśmy później, że wyrwał drzwi piwnicy z górnego zawiasu; tak silnie walił w nie barkiem, że wnosząc z dowodów rzeczowych można go było z całą pewnością uznać za co najmniej trzeci pod względem siły bark w całym stanie. Niemal równocześnie doszedł nas spod podłogi brzęk tłuczonego szkła - to Hesze ciskał butelkę po butelce napoju Squeeze z jednego ciemnego kąta pobielanej piwnicy w drugi.

Kiedy na szczycie schodów piwnicznych stanął mój stryj, Hesze podniósł butelkę nad głowę i zagroził, że rzuci ją ojcu w twarz, jeżeli zejdzie choć jeden schodek niżej. Stryj Hymie zlekceważył ostrzeżenie i ruszył w jego stronę. Hesze zaczął więc slalom między piecami, krążył wokół pralek i nie wypuszczał przy tym butelki z ręki. Ale ojciec zapędził go w kąt, powalił na podłogę i trzymał go tam, dopóki Hesze nie wykrzyczał ostatniego przekleństwa - trzymał go tam (jak głosi legenda Portnoyów) całe piętnaście minut, dopóki łzy kapitulacji nie ukazały się wreszcie na długich, ciemnych, hollywoodzkich rzęsach Heszego. Nie jesteśmy rodziną, która łatwo przetyka porażki.

Owego ranka stryj Hymie zadzwonił do Alice Dembosky (do mieszkania w suterenie budynku przy Goldsmith Avenue, gdzie jej ojciec był stróżem) i powiedział, że chciałby się z nią spotkać w południe nad jeziorem w parku Weequahic; miał bardzo pilną sprawę dotyczącą zdrowia Harolda - nie mógł jej wyniszczyć przez telefon, bo nawet jego żona, pani Portnoy, nie знаła wszystkich szczegółów. W parku



zaciągnął szczuplutek blondynkę w chustce na głowie zawiązanej pod brodą na przednie siedzenie samochodu i przy zamkniętych oknach oznajmił, że jego syn cierpi na nieuleczalną chorobę krwi, chorobę, o której nieszczęsny chłopak sam nawet nie wie. Tak brzmiała jego opowieść, zła krew, można sobie wyobrazić, co się chce... Zgodnie z zaleceniem lekarzy nie powinien się w ogóle żenić. Nikt dokładnie nie wie, ile życia Harold ma przed sobą, lecz jeśli chodzi o niego, pana Portnoya, nie chciałby, żeby taka niewinna młoda osóbką jak ona miała przejść cierpienia, z których nadzieją trzeba się liczyć. Pragnąc złagodzić cios, przygotował dla dziewczyny drobny upominek, którym może dowolnie zadysponować, chociażby po to, żeby znalazła sobie kogoś nowego. Wyciągnął z kieszeni kopertę zawierającą pięć banknotów dwudziestodolarowych. A głupia, wystraszona Alice Dembosky wzięła. W ten sposób dowiódł czegoś, o co wszyscy prócz Heszego (i mnie) podejrzewali tę Polkę od samego początku - że miała zamiar oskubać Heszego z pieniędzy ojca, a następnie złamać mu życie.

Kiedy Heszego zginął na wojnie, jedyne słowa pociechy, na jakie stać było ludzi, żeby jakoś uśmierzyć cierpienie ciotki Klary i stryja Hymiego, żeby jakoś ukoić ich ból, brzmiały:

- Przynajmniej nie zostawił wam żony sziksy. Przynajmniej nie zostawił wam gojowskich dzieci.

Koniec Heszego i jego historii.

Skoro już jestem zbyt ważny, żeby przestąpić próg synagogi choćby na kwadrans - bo o nic więcej nie proszę - mógłbym okazać przynajmniej tyle szacunku, aby się przebrać tego dnia w porządne ubranie i nie urządzać kpin z siebie, rodziny i swojej religii.

- Przykro mi - mamrocę, pokazując mu (jak zwykle, kiedy do mnie mówi) plecy - ale ta religia wcale nie musi być moja tylko dlatego, że jest twoja.

- Coś ty powiedział? Odwróć się, mój panie, chcę usłyszeć z twoich ust grzeczną odpowiedź.

- Nie jestem wierzący - mówię i posłusznie odwracam się do niego o jakiś ułamek stopnia.

- Nie jesteś, hę?

- Nie mogę.

- Niby dlaczego? Jesteś ulepiony z innej gliny? Spójrz mi w oczy! Jesteś z innej gliny?

- Nie wierzę w Boga.

- Wyskakuj z tych drelichów, Aleks, i włóż porządne ubranie.

- To nie są drelichy, tylko levisy.

- Dziś jest Rosz Haszana, Aleks, a ty paradujesz w kombinezonie! Włóż zaraz krawat, marynarkę, porządne spodnie, czystą koszulę, masz wyglądać jak człowiek. I buty, mój panie, półbuty.

- Ta koszula jest czysta...

- Za dużo sobie pozwalasz, ważniaku. Masz dopiero czternaście lat, i możesz mi wierzyć, że nie zjadłeś wszystkich rozumów. Wyskakuj z tych mokasynów! Kogo ty, do diaska, udajesz, jakiegoś Indianina?

- Posłuchaj, nie wierzę w Boga i nie wyznaję żydowskiej religii... ani żadnej innej. To wszystko kłamstwa.

- Ach tak?

- Nie będę udawał, że te święta coś dla mnie znaczą, skoro nie znaczą! I tylko o to mi chodzi!

- Może nic nie znaczą, bo nic o nich nie wiesz, ważniaku. Co ty wiesz o historii Rosz Haszana? Podaj mi choć jeden fakt. Albo dwa. Co ty wiesz o historii narodu żydowskiego, żebyś miał prawo nazywać tę religię, która przez dwa tysiące lat była wystarczająco dobra dla ludzi znacznie mądrzejszych i znacznie starszych od ciebie, żebyś miał prawo nazywać kłamstwem to cierpienie i rozdarcie serca!

- Nie ma niczego takiego jak Bóg i nigdy nie było, przykro mi, ale w moim słowniku to się nazywa kłamstwem.

- Kto w takim razie stworzył świat, co, Aleks? - pyta z pogardą w głosie. - Według ciebie pewno sam się po prostu stworzył.

- Aleks - odzywa się moja siostra - tatuś cię tylko prosi, skoro nie chcesz z nim iść, żebyś się przebrał...

- Ale po co? - wrzeszczy. - Dla czegoś, co nigdy nie istniało? Dlaczego nie każecie mi się przebrać dla jakiegoś ulicznego kota albo dla jakiegoś drzewa... bo one przynajmniej istnieją?

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, wykształcony mądralo - mówi ojciec. - Chcesz zmienić temat. Kto stworzył świat i ludzi? Nikt?

- Właśnie! Nikt!

- No, tak - przygaduje ojciec. – Inteligentna odpowiedź. Cieszę się, że nie chodziłem do szkoły średniej, jeżeli tam uczą takich rzeczy.

- Aleks - prosi mnie siostra czule, jak zwykle czule, bo też już się trochę łamie - może być tylko włożył porządne buty...

- Wiesz co, Hanna, jesteś tyle samo warta co on! Skoro Bóg nie istnieje, co mają do tego buty!

- Raz do roku proszę go, żeby coś dla mnie zrobił, ale on jest za ważny. I to jest cały twój brat, Hanno, jego szacunek i miłość...

- Tatusiu, Aleks jest dobry. Szanuje cię przecież, kocha...

- A naród żydowski? - Zaczyna już krzyczeć i machać rękoma, w nadziei, że to powstrzyma jego płacz, ponieważ na dźwięk słowa „miłość”, chociażby powiedzianego szeptem, oczy wszystkich członków mojej rodziny natychmiast zachodzą łzami. - Czy on szanuje nasz naród? Tak jak szanuje mnie, tak jak szanuje... - Naraz zaczyna syczeć, zwraca się do mnie z nową, genialną myślą. - Powiedz mi jedno, czy ty znasz Talmud, mój wykształcony synu? Znasz historię? Raz, dwa, trzy odbębniłeś bar micwę i na tym się skończyła twoja edukacja religijna. Wiesz, że ludzie przez całe życie badają religię żydowską i umierają nie doszedłszy do końca? Powiedz mi, skoro w wieku lat czternastu przestałeś być Żydem, czy znasz chociaż jeden fakt ze wspaniałej historii, dziedzictwa i sagi swojego narodu?

Ale już po policzkach ciekną łzy, a dalsze tryskają mu z oczu.

- W szkole same piątki - ciągnie - a w życiu równie ciemny jak w dniu urodzenia.

Wygląda na to, że przyszła wreszcie pora... a więc mówię, co mi leży na sercu. Coś, co wiem od dawna.

- To ty jesteś ciemny! Ty!

- Aleks! - woła siostra, chwytając mnie za rękę, jak gdyby się bała, że ją na niego podniosę.

- Bo jest! Z tymi bredniami o sadze!

- Dość tego! Cicho bądź! Przestań! - krzyczy Hanna. - Idź do swojego pokoju...

Tymczasem ojciec podchodzi ciężkim krokiem do stołu kuchennego, ze zwieszoną głową, skulony we dwoje, jak gdyby właśnie dostał granatem w brzuch. Bo dostał. Z czego zdają sobie sprawę.

- Dla mnie możesz sobie chodzić w łachach, możesz się ubierać jak żebrak, możesz mi robić wstyd ile wlezie, przeklinać mnie, Aleksandrze, buntować się, uderzyć mnie, nienawidzić mnie...

Tak się to zwykle kończy, że matka płacze w kuchni, ojciec płacze w salonie - chowając oczy za „Wiadomościami Newark” - Hanna płacze w łazience, ja zaś płaczę pokonując biegiem odcinek między domem a narożnym automatem do gry. Lecz w Rosz Haszana tego konkretnego roku wszystko odbywa się inaczej, zatem ojciec, a nie matka, płacze w kuchni - szłocha bez osłony gazety, i to z taką żalosną pasją - dlatego że matka jest w szpitalu na rekonwalescencji po zabiegu; stąd się właśnie bierze jego przeraźliwe osamotnienie w to święto Rosz Haszana i jego szczególna potrzeba mojej czułości i posłuszeństwa. Ale też w tym momencie historii naszej rodziny można się śmiało założyć o każde pieniądze, że nie dostanie tego ode mnie, nawet jeżeli mu bardzo zależy. Bo mnie zależy, żeby mu tego nie okazać! O, tak, teraz mu dopieprzymy, co, Aleks, ty mały chujku! Owszem, Aleks, ten mały chujek, widzi, jak zwykła ojcowska podatność na ciosy wzmogła się dlatego, że jego żona (przynajmniej tak mi mówią) omal nie zesłała z tego świata, no więc Aleks, ten mały chujek, korzysta z okazji, żeby pchnąć sztylet swojej złości kilka centymetrów głębiej w i tak już krwawiące serce. Aleksander Wielki!

Nie! Kryje się za tym coś więcej niż tylko złość wieku dojrzewania i gniew edypalny... mianowicie uczciwość wobec samego siebie. Nie pójdę za przykładem Heszego! Bo przez całe dzieciństwo nie opuszcza mnie przekonanie, że gdyby mój mocarny kuzyn Hesz, trzeci oszczepnik w stanie New Jersey (zaszczyt wielce chyba symboliczny dla takiego dorastającego chłopca, któremu wizja suspensorium chodzi po głowie), tylko zechciał, mógłby z łatwością powalić mojego pięćdziesięcioletniego stryja na łopatki i przyszpilić go do podłogi w piwnicy. A zatem (wnioskuję) musiał celowo przegrać. Dlaczego? Przecież wiedział - nie miałem co do tego żadnych wątpliwości nawet jako dziecko - że jego ojciec postąpił haniebnie. Może więc bał się wygrać? Ale dlaczego, skoro rodzony ojciec dopuścił się takiej podłości, i to w imieniu Heszego? Czy to było tchórzostwo? strach? - a może po prostu mądrość Heszego? Zawsze kiedy słyszę opowieść o tym, co stryj był zmuszony zrobić, żeby mój nieboszczyk kuzyn przejrzał na oczy, albo kiedy sam się z jakiegoś powodu nad tym

zastanawiam, wyczuwam tu pewną tajemnicę, głęboką prawdę moralną, która - gdybym ją zdołał pojąć - mogłaby uchronić ojca i mnie od ostatecznej, choć niewyobrażalnej konfrontacji. Dlaczego Hesze skapitulował? I czy ja powinienem pójść w jego ślady? Tylko jak to zrobić, żeby równocześnie pozostać „w zgodzie z własnym sumieniem”? A może by tak spróbować? Spróbuj, ty mały chujku! No to przez pół godziny nie bądź w zgodzie z własnym sumieniem!

Tak, muszę się poddać, muszę, zwłaszcza teraz, skoro wiem, co ojciec przeszedł, wiem, jak minuta po minucie znosił katusze przez te dziesiątki tysięcy minut, kiedy to lekarz musiał po pierwsze ustalić, że coś rośnie w macicy matki, a po wtóre, czy narodził, którą wreszcie zlokalizowano, nie jest złośliwa... czy nie jest przypadkiem... och, unikamy w ogóle tego słowa w swojej obecności! Nie wymawiamy go nawet w jego przerażającym brzmieniu! Słowa, zastępowanego jedynie eufemistycznym skrótem, który nam podsunęła matka, zanim poszła do szpitala na badania: N-o. I szlus! Za żadne skarby nie chcemy słyszeć ani „w”, ani „o”, ani „t”, ani „w”, ani „ó”, ani „r”, żeby się nie przerazić jak na Sądzie Ostatecznym! Ale ona jest dzielna, przyznają wszyscy krewni, że potrafiła wymówić te dwie litery! I czyż nie starczy i tak całych słów, które się szepcze do siebie za zamkniętymi drzwiami? Aż nadto! Aż nadto! Ohydne, zimne słówka cuchnące eterem i spirytusem korytarzy szpitalnych, słowa brzęczące niby sterylizowane narzędzia chirurgiczne, słowa takie, jak „rozmaz” i „biopsja”... Są też inne słowa, które ukradkiem, samotnie w domu sprawdzałem w słowniku, po prostu żeby zobaczyć w druku, ujrzeć czarno na białym przejaw tej najbardziej odległej rzeczywistości, słowa takie, jak „srom”, „pochwa” i „szyjka macicy”, słowa, których definicje już nigdy mi nie posłużą za źródło zakazanych przyjemności... No i jest wreszcie słowo, na które czekamy bez końca, słowo, którego dźwięk przywróciłby naszej rodzinie najwspanialsze i najlepsze - jak się teraz wydaje - życie, słowo, które w moich uszach brzmi jakby z hebrajska, coś jak *bnei* albo *boruch*, czyli angielskie słowo *benign!* *Benign!* *Boruch ato Adonai*, niech będzie łagodny! Błogosławionyś jest, Panie, Boże nasz, *niech będzie łagodny!* Słuchaj, Izraelu, ześlij światłość oblicza twego, jest jeden Bóg, czcij ojca swego i matkę swoją, przyrzekam, przyrzekam - tylko niech będzie łagodny!

I był. Egzemplarz powieści *Dragon Seed* Pearl S. Buck leży otwarty na stoliku przy łóżku, obok stoi szklanka z resztką zwiędzłego piwa imbirowego. Jest gorąco, chce mi się pić, i matka, która czyta w moich myślach, proponuje, żebym dopił to piwo, bo bardziej mi się należy niż jej. Ale chociaż zasycha mi w gardle, nie mam

zamiaru pić ze szklanki, której matka dotknęła ustami - po raz pierwszy w życiu na samą myśl o tym czuję obrzydzenie!

- Wypij.

- Nie chce mi się pić.

- Zobacz, jaki jesteś spocony.

- Nie chce mi się pić.

- Coś ty się zrobił taki uprzejmy?

- Ale ja nie lubię piwa imbirowego.

- Ty? Nie lubisz piwa imbirowego?

- Nie.

- Od kiedy to?

O, Boże! Ona żyje i znów się powtarza stara historia. Żyje i znów się to wszystko zaczyna od nowa!

Opowiada mi, jak rabin Warsaw przyszedł, usiadł przy niej i rozmawiał z nią bite pół godziny, zanim - jak ujmuje to nader obrazowo - poszła pod nóż. Czy to nie wrzeszczące? Czy nie miło z jego strony! (Ledwo upłynęła doba, jak wyszła spod narkozy, a już wie, że nie chciałem zmienić lewisów z okazji święta!) Leżąca z nią na sali kobieta, której życzliwego, pozerającego wzroku staram się unikać, chociaż nikt, o ile pamiętam, nie pytał jej o zdanie, gorliwie dodaje od siebie, że rabin Warsaw to najbardziej czcigodny człowiek w całym Newark. Czci-god-ny. Trzy sylaby, jak by to wyrzekł sam rabin, swoim władczym anglo-proroczym tonem. Zaczynam delikatnie bębnić w rękawicę baseballową, znak, że zbieram się do odejścia, jeżeli tylko ktoś mi na to pozwoli.

- On uwielbia baseball, mógłby grać dwanaście miesięcy w roku - informuje matka panią Czci-god-ną. Mamroczę, że wybieram się akurat na „mecz ligowy”.

- To finał. O mistrzostwo.

- No, dobrze - mówi matka serdecznym tonem - przyszedłeś, spełniłeś swój obowiązek, a teraz biegnij, biegnij na swój mecz ligowy.

Słyszę w jej głosie wielkie szczęście i ulgę, że jest przy życiu w owo piękne wrześnie popołudnie... A czy ja też nie odczuwam ulgi? Czy nie o to modliłem się do Boga, w którego istnienie nic a nic nie wierzę? Czy podobna wyobrazić sobie życie bez niej, która dla nas gotuje, sprząta... jest dla nas wszystkim'. O to się właśnie

modliłem i płakałem - żeby wyszła cała z tej operacji i pozostała przy życiu. A potem wróciła do domu, żeby znów być naszą jedyną matką.

- Biegnij już, synku - grucha do mnie czule... potrafi być dla mnie taka czuła i dobra, taka matczyzna! Godzinami gra ze mną w kanastę, kiedy leżę chory w łóżku tak jak ona teraz; proszę sobie wyobrazić, piwo imbirowe, które pielęgniarka przyniosła dla niej, bo przeszła ciężką operację, podsuwa mnie, dlatego że jestem zgrzany! Tak, odejmuje sobie dla mnie od ust, już tego dowiodła! A ja nie potrafię usiedzieć pięciu minut przy jej łóżku!

- Biegnij - wypycha mnie, a pani Czci-god-na, która w niewiarygodnie krótkim czasie zdołała zrobić z siebie mojego wroga, i to na całe życie, pani Czci-god-na mówi:

- Niedługo mama będzie w domu, niedługo wszystko wróci do normy... Pewno, biegnij już, biegnij, oni wszyscy ostatnio tylko biegają - mówi owa życzliwa i wyrozumiała pani, one wszystkie są tak życzliwe i wyrozumiałe, że chętnie bym je udusił! - o chodzeniu żaden z nich nawet nie słyszał, mój Boże!

No więc biegnę. I to jak! Spędziłem z nią najwyżej dwie nerwowe minuty, dwie minuty mojego cennego czasu, chociaż zaledwie poprzedniego dnia lekarze wsadzili jej pod sukienkę (tak to sobie wyobrażałem, zanim matka przypomniała mi o „nożu”, naszym nożu) jakąś potworną szufłę, żeby wygarnąć to, co zaczęło gnąć w jej ciele. Sięgnęli głęboko i wyciągnęli z niej to samo, co ona wyciągała z martwego kurczaka. I wyrzucili na śmietnik. Tam, gdzie ja się pocałem i wynosiłem, nie ma teraz nic. Próżnia! Biedna mama! Jak mogę uciekać od niej w takim pośpiechu, po tym co właśnie przeszła? Dała mi przecież... życie! Jak mogę być taki okrutny?

- Opuścisz mnie, syneczku, opuścisz kiedykolwiek mamusię?

-Nigdy, odpowiadałem, nigdy, przenigdy... A teraz, kiedy jest wydrążona w środku, nie potrafię jej nawet spojrzeć w oczy! I do dziś unikam jej wzroku! Na poduszce leżą jej jasnorude włosy, długie kosmyki skręcone w pierścionki, których mógłbym już nigdy więcej nie zobaczyć. Przedemną blade księżycy piegów, które, jak mówi, pokrywały jej całą twarz, kiedy była mała, ich też mógłbym nigdy nie zobaczyć. No i te rudawopiwne oczy, oczy koloru skórki piernika, nadal otwarte, nadal pełne miłości do mnie! A obok jej piwo imbirowe, i chociaż bardzo chciało mi się pić, nie mogłem się zmusić, żeby je wziąć do ust!

No więc biegnę, gnam ze szpitala prosto na środkowe pole boiska, na moją pozycję w drużynie softballu, która nosi błękitno-złote kurtki z nazwą klubu wypisaną

w poprzek na piersiach wielkimi białymi literami z filcu: KLUB SEABEES. Dzięki Ci, Boże, za Klub Seabees! Dzięki Ci, Boże, za środkowe pole! Panie doktorze, nie wyobraża pan sobie, jak człowiek wspaniale się czuje sam jak palec na tej wielkiej przestrzeni... Czy pan się w ogóle zna na baseballu? Bo środkowe pole przypomina wieżę obserwacyjną, skąd widzi się wszystkich i wszystko, łatwo się natychmiast zorientować, co się dzieje na boisku, nie tylko po dźwięku wybijającego kija, lecz również po iskrze, jaka przechodzi zawodników pola wewnętrznego, gdy tylko piłka zaczyna lecieć w ich kierunku, a kiedy ich mija, krzyczy się „moja, moja” i pędzi się za nią. Bo na środkowym polu, skoro człowiek już się tam dostanie, piłka jest jego. Och, jak to środkowe pole różni się od mojego domu, gdzie nikt nie przyzna, że cokolwiek, do czego zgłaszam pretensje, jest moje!

Niestety, byłem zbyt nerwowym strzelcem, żeby wejść do reprezentacji szkoły - brałem zamach i chybiałem tak często podczas selekcji do drużyny uczniów pierwszej licealnej, że w końcu trener wziął mnie na stronę i zapytał z ironią w głosie:

- Synku, a może tyś powinien nosić okulary? - po czym mnie odrzucił. Ale jaką miałem kondycję! Jaki styl! A na swoim boisku softballu, gdzie nieco większa piłka nadlatuje trochę wolniej, jestem gwiazdorem, którym pragnąłem być przed całą szkołą. Oczywiście w swej nadgorliwości nadal zbyt często biorę zamach i chybiam, ale kiedy trafię, piłka leci bardzo daleko, panie doktorze, mija ogrodzenie boiska, nazywa się to pełny bieg. Nie ma nic, dosłownie nic miłszego w całym moim życiu, co by się dało porównać z radością, kiedy okrążam drugą bazę wolniutkim biegiem, bo już nie trzeba się śpieszyć, gdyż piłka rzucona przeze mnie poszybowała poza zasięg wzroku... Mogłem też grać na polu wewnętrznym, a im dalej musiałem biec, tym lepiej. - Mam ją! Mam ją! Mam ją! - i skaczę w tej samej sekundzie po drugą, żeby usidlić w pajęczynie rękawicy - zaledwie kilka centymetrów nad ziemią - piłkę uderzoną twardo, nisko, celnie, pewno zawodnik wybijający sądził, że zyskuje bieg... Albo cofam się: - Mam ją, mam ją - wycofuję się zgrabnie aż do drucianego ogrodzenia, poruszając się w gruncie rzeczy dość powoli, i wtedy ogarnia mnie rozkoszne poczucie mistrza Di Maggio, kiedy chwytam ją nad głową niczym dar zesłany z nieba... Albo biegnę! Odwracam się! Skaczę! Niczym mały Al Gionfriddo - zawodnik baseballu, panie doktorze, który ma na swoim koncie niesłychany wyczyn... Albo po prostu stoję najspokojniej w świecie - nie trzęsę się, jestem absolutnie opanowany - stoję sobie na słońcu (jak gdybym się znajdował na środku pustego boiska albo tkwił na rogu ulicy dla zabicia czasu), stoję sobie beztrąsko w słońcu,



niczym mój Król nad królami, mój Bóg, Księżę we własnej osobie (Snider, panie doktorze, to nazwisko może się jeszcze powtórzyć), stoję tam rozluźniony i swobodny, szczęśliwy jak nigdy, po prostu czekam sam jeden na lecącą wysoko piłkę („lecząca pod niebo piłkę”, słyszę, jak komentuje Red Barber, który obserwuje to zza mikrofonu - wystrzeloną do Portnoya; na Aleksa, na Aleksa), najzwyczajniej czekam, aż piłka wpadnie mi w rękawicę, którą ku niej podnoszę, i oto siup, już ją mam, ba bach, trzeci punkt kończący rundę („i Aleks łapie ją, trzeci punkt, koniec rundy, proszę państwa”), i jednym ruchem, kiedy Connie przynosi nam wiadomość od drużyny Old Golds, ruszam w kierunku ławki, trzymając teraz piłkę pięcioma palcami gołej lewej ręki, a kiedy już się znajdę na polu wewnętrznym - nastąpiwszy jedną nogą na worek znakujący drugą bazę - posyłam piłkę lekko, jednym ruchem nadgarstka do stopera przeciwnej drużyny, który wbiega truchtem na pole, ale ja nie przystaję ani na chwilę, sadzę susami przez całą drogę, z podniesionymi ramionami, z opuszczoną głową, stawiając nogi nieco do środka, tylko kolana śmigają góra-dół w genialnej wprost imitacji Księcia. Och, niezmacona nonszalancja tej gry! Nie ma takiego ruchu, którego bym do tej pory nie czuł w mięśniach i w stawach. Jak się pochylić, żeby podnieść rękawicę, i jak ją odrzucić, jak ocenić ciężar kija, jak go trzymać, prowadzić i młynkować nim poziomo, jak go wznosić nad głową, rozluźniać ramiona i szyję przed zrobieniem kroku i postawieniem obu nóg dokładnie w miejscu, czyli na stanowisku strzelca - i jak, przy odbiorze wywołanego wybicia (do czego mam skłonność, bo piłka ładnie się odbija kręcąc się po złych rzutach), wyprostować się godnie i wyrazić, chociażby tylko lekkim muśnięciem ziemi kijem, stosowne zdenerwowanie, tak umiejętnie, że... właśnie, rozpracowałem i opanowałem każdy, najdrobniejszy nawet szczegół, toteż jest wprost nie do pomyślenia, aby powstała jakakolwiek sytuacja, w której nie wiedziałbym, jak czy dokąd mam się ruszyć, co powiedzieć, a co przemilczeć... A przecież faktem jest, o ile się nie mylę - nie do wiary, ale to podobno fakt - że zdarzają się ludzie, co czują w życiu swobodę, pewność siebie, normalną, zasadniczą więź z otoczeniem, które ja odczuwałem na środkowym polu w drużynie Seabees? Bo, widzi pan, nie o to chodzi, że się jest najlepszym zawodnikiem na środkowym polu, lecz że wie się dokładnie, z wszystkimi niuansami, jak środkowy zawodnik powinien się zachowywać. I tacy ludzie chodzą sobie ulicami Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej? Pytam pana, dlaczego nie mogę być jednym z nich? Dlaczego nie mogę funkcjonować teraz tak, jak funkcjonowałem w drużynie

Seabeesów na polu środkowym? Och, gdybym tak mógł być zawodnikiem środkowym, zawodnikiem środkowym i nikim więcej!

Ale jestem kimś więcej, przynajmniej to mi wbijają do głowy. Żydem. Nie! Nie! Jestem ateistą - wołam. Jestem nikim, gdy chodzi o religię, i nie zamierzam udawać kogoś, kim nie jestem! Nie obchodzą mnie potrzeby i samotność ojca, ja to ja, i niestety będzie musiał przelknąć w całości moje odstępstwo od wiary. Nie obchodzi mnie też, że o mały włos nie odprawiliśmy sziwy za matkę - teraz się nawet zastanawiam, czy całe wycięcie macicy nie zostało dramatycznie nazwane N-O (z czego się potem wycofano) tylko i wyłącznie po to, żebym się wystraszył jak mały G-Ó! Tylko po to, żeby mnie upokorzyć i przerazić, znów zrobić ze mnie posłusznego i bezradnego synka! A ja nie potrafię się dopatrzeć dowodu na istnienie Boga ani na dobroczynność i cnoty Żydów w tym, że najbardziej czci-god-ny mieszkaniec Newark posiedział „bite pół godziny” przy łóżku matki. Gdyby wypróżniał jej basen, gdyby ją karmił, to co innego, ale że pół godziny spędził przy jej łóżku? Co on ma innego do roboty, mamó? Dla niego wygłaszanie pięknych frazesów przed śmiertelnie przerażonymi ludźmi znaczy tyle samo, co dla mnie gra w baseball! On to uwielbia! Bo któż by nie lubił? Mamó, rabin Warshaw to gruby, nadęty, niecierpliwy szarlatan, z komicznym wprost kompleksem wyższości, postać rodem z Dickensa, gdyby stał obok ciebie w autobusie, a ty byś nie wiedziała, że jest taki czcigodny, powiedziałaabyś: - Czuć od niego niemiłosiernie papierochami - i nic więcej. Ten człowiek raz na zawsze ubzdurał sobie, że podstawową jednostką semantyczną w języku angielskim jest sylaba. Toteż każde słowo w jego ustach ma co najmniej trzy sylaby, nawet słowo „Bóg”. Gdybyś tylko słyszała, jaką polkę wyprawia ze słowem „Izrael”. U niego brzmi ono równie długo jak „akumulator”! A pamiętasz go przy mojej bar micwie, jakie święcił triumfy nad Aleksandrem Portnoyem? Dlaczego, mamó, wciąż się do mnie zwracał pełnym imieniem i nazwiskiem? Chyba dlatego, żeby zaimponować wam, zebranych tam kretynom, tymi wszystkimi sylabami! I udało mu się! Naprawdę mu się udało! Zrozum, że w synagodze zarabia na utrzymanie i nie ma się co nad tym rozwodzić. Przychodzi do szpitala, żeby się wymądrzać na temat życia (cedząc sylaby) przy ludziach, którzy trzęsą się w piżamach ze strachu przed śmiercią, bo to jest jego psi obowiązek, podobnie jak do obowiązków ojca należy sprzedaż polis ubezpieczeniowych na życie! Każdy z nich w ten sposób zarabia na utrzymanie, skoro więc już musisz koniecznie mówić o kimś z takim nabożeństwem, mów tak, do diabła, o ojcu, i

klękaj przed nim, jak klękasz przed tym tłustym, groteskowym skurwysynem, bo ojciec naprawdę haruje jak wół i w dodatku nie uważa, że jest specjalnym wysłannikiem Boga. No i nie stęka tak sylab! „Chcia-ał-bym po-o-wi-tać wa-as w te-jej sy-na-a-go-o-dze”. O Boże, o Bo-och-że, jeżeli ześlesz światłość oblicza Twego, może byś tak uchronił nas od dykcji rabinów! A może byś tak uchronił nas od nich samych! Może byś nas w ogóle uchronił od religii, chociażby tylko w imię godności ludzkiej! Jezu, mamó, cały świat już wie o tym, a ty jeszcze nie? Religia to opium dla ludu! A jeśli żyjąc z tym przekonaniem, staję się czternastoletnim komunistą, to chcę nim być i jestem z tego dumny. Wolę być komunistą w Rosji niż Żydem w synagodze - powtarzam to zresztą ojcu w twarz. Okazuje się, że trafiam go kolejnym granatem w brzuch (czego się spodziewałem), ale niestety tak się składa, że wierzę w prawa człowieka, prawa, które w Związku Radzieckim stosuje się do wszystkich ludzi, niezależnie od rasy, wyznania i koloru skóry. Mój komunizm każe mi teraz upierać się przy tym, żeby jeść razem ze sprzątaczką, kiedy w poniedziałki wracam do domu na drugie śniadanie i zastaję ją w domu - będę z nią jadł, mamó, przy jednym stole, i to samo jedzenie. Jasne? Jeżeli dostanę odgrzane resztki pieczeni, ona też ma dostać odgrzane resztki pieczeni, a nie ser Muenster czy tuńczyka, podane na specjalnym szklanym talerzu, który nie wchłania jej zarazków! Ale nie, matka najwyraźniej nie rozumie. Najwyraźniej zakrawa to dla niej na dziwactwo. Jeść ze *szwarce*. Co też mi strzeliło do głowy? Szepcze do mnie w przedpokoju, kiedy wracam ze szkoły:

- Poczekaj, dziewczyna za kilka minut skończy...

Ale ja nie mam zamiaru traktować żadnego człowieka (poza własną rodziną) jak istotę niższą! Nie możesz, do cholery ciężkiej, pojąć zasady równości! I ostrzegam, jeżeli on jeszcze raz użyje w mojej obecności słowa „czarnuch”, wsadzę mu prawdziwy sztylet w to jego pierdolone serce bigota! Zrozumiano? Gównu mnie obchodzi, że jego ubranie cuchnie tak obrzydliwie, kiedy wraca do domu po pobraniu składek od Murzynów, że trzeba je potem wietrzyć w piwnicy. Nie interesuje mnie, że ojca krew zalewa, kiedy pozwalają, aby wygasła ich polisa ubezpieczeniowa. To tylko kolejny powód do współczucia, niech to diabli, do sympatii i wyrozumiałości, czas najwyższy przestać traktować sprzątaczkę, jak gdyby była mułem, pozbawionym poczucia godności osobistej właściwego innym ludziom! To samo dotyczy gojów! Nie wszyscy mieli szczęście urodzić się Żydami. Może więc okażmy trochę litości tym mniejszym szczęśliwcom, co? Bo słabo mi się robi od tych waszych podziałów: „gojowskie to, gojowskie tamto”! Jak tylko coś złego, to goje, wszystko co dobre, to Żydzi! Nie

widzicie, kochani rodzice, z których lędzwi się bądź co bądź począłem, że takie myślenie jest odrobinę barbarzyńskie? Że wyraża jedynie wasz strach? Pierwsze rozróżnienie, jakiego się od was nauczyłem, to z pewnością nie różnica między dniem a nocą, ciepłem a zimnem, lecz między gojami a Żydami! A teraz okazuje się, kochani rodzice, krewni i znajomi, którzy zgromadziliście się tu z okazji mojej bar micwy, okazuje się, wy szmondaki, tępogłowe szmondaki! - Och, jak ja was nienawidzę za wasze żydowskie tępe głowy! Z tobą na czele, rebe Sylaba, któremu po raz ostatni w życiu udało się wysłać mnie na róg po paczkę Pall Malli, którymi cuchniesz, choć może nikt ci tego wcześniej nie powiedział - okazuje się, że życie ludzkie zawiera w sobie coś więcej niż to, co głoszą wasze obrzydliwe, bezużyteczne kategorie! Zamiast więc rozpaczać nad kimś, kto w wieku lat czternastu nie chce więcej postawić nogi w synagodze, zamiast jęczeć nad kimś, kto się wypiął na sagę swojego narodu, może byście tak zapłakali nad własnymi żalonymi duszami, wyssali do końca kwaśne winogrona waszej religii! Żyd Żyd Żyd Żyd Żyd Żyd! Już mi uszy puchną od tej całej sagi cierpiących Żydów! Bądźcie tak łaskawi, moi kochani, i wsadźcie sobie to dziedzictwo cierpienia w swoje cierpiące dupy! Ja też jestem człowiekiem!

Przecież jesteś Żydem - mówi siostra. Jesteś żydowskim chłopcem bardziej, niż sobie wyobrazasz, i tylko użalasz się nad sobą, i tylko niepotrzebnie pomstujesz... Widzę przez łzy, jak z drugiego końca łóżka wyjaśnia mi cierpliwie mój los. Skoro ja mam czternaście lat, ona musi mieć osiemnaście i być na pierwszym roku Stanowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Newark. Duża dziewczyna o ziemistej cerze, a smutek wyziera ze wszystkich porów skóry. Czasem chodzi na potańcówki ludowe do klubu „Y” z inną wysoką brzydulą nazwiskiem Edna Tepper (która ma jednak, trzeba przyznać, cycki wielkości mojej głowy). Tego lata będzie wychowawczynią prowadzącą zajęcia praktyczne na półkoloniach Ośrodka Społeczności Żydowskiej. Widziałem, jak czytała książkę w zielonkawej okładce pod tytułem *Portret artysty z czasów młodości*. Cała moja wiedza o niej sprowadza się do tych kilku faktów, no i oczywiście rozmiarów i zapachu jej biustonosza i majtek. Co za dramatyczny okres! Kiedy on się skończy? Czy mógłby mi pan podać datę, chociażby w przybliżeniu? Kiedy się wyleczę z tego, co mam?

- Czy wiesz - pyta mnie - gdzie byłbyś teraz, gdybyś urodził się w Europie, a nie w Ameryce?

- Hanna, to nie ma nic do rzeczy.

- Byłbyś martwy.

- To nie ma nic do rzeczy!

- Martwy. Zagazowany, zastrzelony, spalony, zmasakrowany albo pogrzebany żywcem. Zdajesz sobie z tego sprawę? I mógłbyś sobie wrzeszczeć ile wlezie, że nie jesteś Żydem, że jesteś człowiekiem i nic cię nie łączy z tym głupim dziedzictwem cierpienia, a i tak zabrano by cię na rozwałkę. Byłbyś martwy, i ja byłabym martwa, i...

- Ale ja mówię o czym innym!

- ... i matka, i ojciec byliby martwi.

- Dlaczego bierzesz ich stronę?

- Nie biorę niczyjej strony - tłumaczy Hanna. - Chcę ci tylko powiedzieć, że on nie jest taki głupi, jak ci się zdaje.

- Ona też pewno nie jest! Pewno faszyci są odpowiedzialni za wszystko, co mówi, za jej mądrość i inteligencję! Pewno faszyci są wymówką na wszystko, co się dzieje w tym domu!

- Nie wiem, może i są - mówi siostra i też zaczyna płakać, a ja się czuję obrzydliwie, bo ona roni łzy za owe sześć milionów, przynajmniej tak mi się zdaje, a ja płacę tylko za siebie. Przynajmniej tak mi się zdaje.

## OCIPIAŁY

Czy wspomniałem już panu, że kiedy miałem piętnaście lat, rozpiąłem rozporek i wybrandzlowałem się w autobusie linii 107 z Nowego Jorku?

Moja siostra i Morty Feibish, jej narzeczony, zafundowali mi wspaniały dzień - najpierw dwa mecze baseballowe między tymi samymi drużynami na stadionie Ebbets Field, a wieczorem kolacja z morskich przysmaków w Sheepshead Bay. Wyborny dzień. Hanna i Morty mieli przenocować w Flatbush u rodziny Morty'ego, wsadzili mnie więc koło dziesiątej do metra na Manhattan, gdzie przesiadłem się w autobus do New Jersey, w którym wziąłem w swoje ręce nie tylko kutasa, ale, jak się tak dobrze zastanowić, całe życie. Większość pasażerów zapadła w drzemkę, jeszcze zanim wyjechaliśmy z Tunelu Lincolna - podobnie i dziewczyna siedząca obok mnie, o której fałdy spódnicy w szkocką kratę jałem trzeć sztruksem nogawek - toteż, kiedy zaczęliśmy wjeżdżać pod górę, na autostradę Pułaskiego, już go trzymałem w zaciśniętej pięści.

Można by sądzić, że skoro dzień obfitował w tyle przyjemności, miałem za sobą dość wrażeń i mój członek powinien być ostatnią rzeczą, która budziłaby moje zainteresowanie owego wieczoru w drodze do domu. Bruce Edwards, nowy łapacz przeniesiony z juniorów - chłopak, który spadł nam z nieba (nam, to znaczy Morty'emu, mnie i Burtowi Shottonowi, prezesowi Dodgersów) - wygrał bodajże sześć rund na osiem podczas pierwszych dwóch meczów w kadrze seniorów (A może to Furillo? W każdym razie, co za idiotyzm, żeby tak walić konia! Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby mnie złapano na gorącym uczynku! Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdybym dokończył dzieła i opryskał złocistą rękę tamtej śpiącej sziksy!), i dlatego Morty zamówił dla mnie przy obiedzie ni mniej, ni więcej tylko homara, pierwszego w moim życiu.

Może to wszystko przez tego homara. Skoro tak łatwo, bez skrupułów złamałem owo tabu, może cała mroczna, samobójcza, dionizyjska strona mojego charakteru nabrała śmiałości; może wyniosłem naukę, że aby naruszyć prawo, wystarczy tylko podjąć decyzję i droga wolna! Wystarczy przestać się trząść, drzeć i wynajdywać różne przeszkody nie do pokonania - wystarczy ruszyć do akcji! Bo po co, pytam się, były te wszystkie dietetyczne zakazy i nakazy, po co, jeśli nie po to, żeby

nas, małe dzieci żydowskie, przyzwyczać do roli prześladowanych? Trening, kochanie, trening, i tylko trening. Zahamowania nie rosną na drzewach - wymagają cierpliwości, skupienia, oddanych i pełnych poświęcenia rodziców, no i posłusznego, pracowitego dziecka, a już po kilku latach wyrośnie z niego wiecznie spięty, zablokowany człowiek. Bo niby po co mieliśmy dwa osobne komplety talerzy? Po co koszerne mydło i sól? Po co, pytam się, jeśli nie po to, aby nam przypominać trzy razy dziennie, że życie składa się wyłącznie z restrykcji i ograniczeń, z setek tysięcy drobnych zasad, których nie ustanowił nikt inny jak tylko Nikt Inny, zasad, których albo się przestrzega bez zastrzeżeń, chociażby wydawały się zgoła idiotyczne (zaskarbiając sobie posłuszeństwem Jego łaskę), albo się je łamie, najczęściej w imię rozjuszonego zdrowego rozsądku - bo nawet dziecko nie chce zwykle uchodzić za ostatniego durnia i pętaka - tak, łamie się je bez względu na duże prawdopodobieństwo (jak mnie zapewnia ojciec), że z nastaniem kolejnego święta Jom Kippur imiona zostaną wpisane do wielkiej księgi, gdzie Pan zapisuje imiona tych, którzy dożyją przyszłego września (ta scena wyryła się na trwałe w mojej wyobraźni), i co, nie znajdzie się pośród nich twoje najdroższe imię. No i kto wychodzi teraz na pętaka, he? A wtedy nie liczy się (nie miałem cienia wątpliwości co do tego, jak rozumuje ten Bóg, administrator wszechrzeczy), czy złamało się duże, czy też małe prawo - bo sam fakt dotyka Go do żywego; Bóg nie może wprost znieść ani przebaczyć najmniejszego wiarołomstwa, toteż zasiada gniewny (prawdopodobnie w świętym oburzeniu, a już na pewno z potwornym, oślepiającym bólem głowy jak mój ojciec u szczytu zatwardzenia) i zaczyna wykreślać imiona z księgi.

Tam, gdzie kończy się obowiązek, dyscyplina i posłuszeństwo - och, taką, taką właśnie lekcję dostaję rokrocznie w święto Pesach od matki razem z *mace braj* - nie sposób niczego przewidzieć. Pozostają tylko wyrzeczenia - woła koszerne, bezkrwisty befsztyk, do którego zasiadam wraz z rodziną przy obiedzie. Samokontrola, stateczność, sankcje - oto klucz do żywota ludzkiego, głoszą niezliczone prawa dietetyczne. Niech sobie goje zatapiają zęby we wszelkim przyziemnym stworzeniu, które pełza i chrząka na powierzchni brudnej ziemi, my nie będziemy tak kłać swojego człowieczeństwa. Niech oni (jeśli pan wie, kogo mam na myśli) obżerają się wszystkim, co się rusza, bodaj najbardziej obmierzłym i nędznym zwierzęciem, śmiesznym, głupim czy plugawym. Niech zajadają węgorze, żaby, świnie, kraby i homary, niech jedzą sępy, małpy, skunksy, jeśli mają życzenie - ten obrzydliwy jadłospis w sam raz pasuje do tego gatunku ludzkości, odznaczającego się tak

beznadziejną pływaczka i pustogłowie, że pije, rozwodzi się i walczy na pięści. Ci skretyniali zjadacze świństw umieją tylko zadzierać nosa, obrażać, szydzić i prędzej czy później bić. O, umieją też wybrać się do lasu ze strzelbą, ci geniusze, żeby zabijać niewinne sarny i jelenie, które skubią spokojnie jagody i trawy, po czym udają się w swoją stronę nie wadząc nikomu. Wy głupi goje! Cuchnąc piwem i już bez amunicji wracacie do domów, z martwymi zwierzętami (jeszcze do niedawna żywymi) przytwierdzonymi do błotników, żeby wszyscy kierowcy po drodze widzieli, jacy to jesteście silni i męscy, a następnie w zaciszu domowym bierzecie te jelenie - które ani wam, ani całej przyrodzie nie zrobiły nic złego, nie wyrządziły najmniejszej krzywdy - bierzecie te jelenie, kroicie na kawałki i gotujecie w garnku. Jakby nie dość było żywności na świecie, muszą też jeść jelenie! Zjedzą wszystko, dosłownie wszystko, co im wpadnie w ich gojowskie łapska! I przerażający wniosek: są zatem zdolni do wszystkiego. Jelenie jedzą to, co jedzą jelenie, Żydzi jedzą to, co jedzą Żydzi, tylko nie ci goje. Stworzenia pełzające, tarzające się w błocie, skaczące i stworzenia anielskie - to dla nich bez różnicy; goje biorą, co im się żywnie podoba, i gównem ich obchodzą uczucia innych istot (nie mówiąc już o życzliwości czy współczuciu). Tak, wszystko jest spisane w historii, wyliczone są czyny naszych przykładowych sąsiadów, którzy władają światem, lecz nie wiedzą o granicach i restrykcjach człowieczeństwa.

Tak mówiły prawa koszerne, przynajmniej do tego małego dziecka, jakim byłem, kiedy wychowywałem się u Sophie i Jacka P. oraz w szkole w Newark, gdzie w całej klasie było tylko dwoje dzieci z chrześcijańskich rodzin, mieszkających hen na krańcach naszej dzielnicy, w domach, których w ogóle nie odwiedzałem... tak mówiły prawa koszerne, a kimże ja byłem, żeby dowodzić ich mylności? Proszę się tylko przyjrzeć Aleksowi, o którym mowa w każdej naszej sylabie - jako piętnastoletni chłopak po raz pierwszy wysysa kleszcze homara, a już za godzinę kutas wyłazi mu na wierzch i celuje w sziksę jadącą autobusem linii podmiejskiej. Zupełnie jakby ta jego genialna żydowska głowa była wypchana *mace braj!*

Nie muszę chyba dodawać, że w naszym domu nigdy nie ugotowano żywcem takiego stworzenia - mam na myśli homara. Żadna sziksa nie przestąpiła też progu naszego domu, kropka, można więc tylko snuć domysły, w jakim stanie wyszłaby z kuchni mojej matki. Sprzątaczką jest naturalnie sziksą, ale nie liczy się, bo jest czarna.

Cha, cha. Nie przestąpiła progu naszego domu sziksa, którą bym ja przyprowadził, to chciałem powiedzieć. Bo pamiętam, że kiedy byłem mały, ojciec



przyprował z biura jedną taką do nas na obiad - chudą, spiętą, nieśmiałą, ugrzecznią, cichą, podstarzałą kasjerkę nazwiskiem Anne McCaffery.

Panie doktorze, czy to możliwe, że on ją pstrykał? Nie chce mi się wierzyć! Dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Czy to możliwe, że mój ojciec pstrykał tę panią na boku? Do dziś pamiętam, jak usiadła obok mnie na sofie i nerwowo podjęła długi wywód na temat pisowni swojego imienia, zwracając uwagę, że kończy się na „e”, chociaż nie wszystkie Anny tak się pisze, i tak dalej, i tak dalej... a tymczasem, chociaż miała długie, białe, chude, piegowate ręce (irlandzkie, pomyślałem sobie), pod gładką białą bluzką dostrzegłem ładne, pełne piersi, zerkałem też wciąż na jej nogi. Liczyłem sobie zaledwie osiem albo dziewięć lat, ale ona miała naprawdę tak wspaniałą parę nóg, że nie mogłem oderwać od nich oczu, takie nogi, co to człowiek zawsze się dziwi na ich widok, kiedy noszą jakąś bladą starą pannę z dziobatą twarzą... Z takimi nogami - no, jasne, na pewno ją rznął... A może nie!

Przyprował ją do domu, jak twierdził, na „prawdziwą żydowską kuchnię”. Przez kilka tygodni paplał o nowej kasjerce gojce (mdłej brzyduli - jak mówił - chodzącej w łachach), która od pierwszego dnia pracy w biurze Towarzystwa na Boston i Okręg Północno-Wschodni wciąż go zadręczała, tak przynajmniej opowiadał bez końca, prośbą o poznanie prawdziwej żydowskiej kuchni. Wreszcie matka nie wytrzymała.

- No to już ją przyprował. Jak jej tak bardzo tego brakuje do szczęścia, mogę ją poczęstować.

Może ojciec nie spodziewał się takiego obrotu spraw? Kto wie?

W każdym razie tamta poznała najprawdziwszą żydowską kuchnię. Nie przypominam sobie, żebym przez całe życie sływał tyle razy słowo „żydowski” w ciągu jednego wieczora, a niech mi pan wierzy, że należę do osób nieźle osłuchanych z tym słowem.

- Anne, to prawdziwa żydowska siekana wątróbka. Czy jadła pani kiedyś prawdziwą żydowską siekaną wątróbkę? Zapewniat panią, że moja żona robi najprawdziwszą w świecie. Proszę, i do tego chleb. Prawdziwy żydowski chleb razowy, z ziarnami zboża. O właśnie, Anne, świetnie pani sobie radzi, prawda, Sophie, że jak na pierwszy raz świetnie sobie radzi? Otóż to, proszę wziąć kromkę prawdziwego żydowskiego razowca, teraz proszę nabrać na widelec dużą porcję prawdziwej żydowskiej siekanej wątróbki - i tak dalej aż do galaretki. - Tak, tak, Anne, galaretka

też jest koszerna, a jakże, jak najbardziej... ale skąd, nie ma mowy o śmietance do kawy, skoro się przedtem jadło mięso, cha, cha. Aleks, słyszysz, o co Anne prosiła...?

Trele-morele, tatusiu kochany, mnie po dwudziestu pięciu latach przyszło do głowy pytanie (wprawdzie nie mam najmniejszego dowodu, nigdy też dotąd nie wyobrażałem sobie, że ojciec jest zdolny do minimalnego bodaj naruszenia praw domowych... ale skoro już naruszenie praw tak mnie fascynuje), na widowni zrodziło się pytanie - dlaczego w ogóle przyprowadziłeś sziksę do domu? Bo nie mogłeś pogodzić się z myślą, że jakaś Aryjka przeżyje życie nie zjadłszy na deser żydowskiej galaretki? Czy też dlatego, że nie mogłeś dalej żyć bez żydowskiej spowiedzi? Nie konfrontując żony z obiektem swojego przestępstwa, żeby cię mogła oskarżać, karcić, upokarzać, wreszcie ukarać, a zatem upuścić raz na zawsze krew z twoich zakazanych namiętności! Oto prawdziwy żydowski desperat, mój ojciec. Świetnie poznaję ten syndrom. Niech ktoś przyjdzie, ktokolwiek, nakryje mnie i potępi - dopuściłem się najstraszliwszej zbrodni: wziąłem coś, czego nie powinienem był brać pod żadnym pozorem! Stawiałem wyżej przyjemność niż obowiązek wobec ukochanej rodziny! Złapcie mnie, wtrąćcie do więzienia, zanim, uchoвай Boże, pogrążę się po uszy... i znów zrobię coś, na co po prostu będę miał ochotę!

Ale czy matka usłuchała? Czy Sophie dodała dwie piersi, dwie nogi i wyszło jej cztery? Bo mnie ten karkołomny rachunek zabrał dwadzieścia pięć lat. Och, chyba mnie ponosi fantazja. Mój ojciec... z jakąś sziksą? Wykluczone. To do niego niepodobne. Mój rodzony ojciec... pierdoli sziksy? Przyznałbym pod przymusem, że pierdolił moją matkę... ale sziksy? Już prędzej wyobraziłbym go sobie, jak robi skok na stację benzynową.

No to dlaczego matka tak na niego krzyczy, skąd te wymówki i tłumaczenia, kary, groźby, strumienie łez... o co tu chodzi, jeżeli nie o to, że dopuścił się czegoś strasznego, może wręcz niewybaczalnego? Cała ta scena utkwiała mi w pamięci niczym ciężki mebel, który ani drgnie, z czego wnoszę, że wszystko dokładnie tak wyglądało. Widzę, jak siostra chowa się za matką, trzyma ją w pasie i piszczy, a tymczasem po twarzy matki płyną łzy wielkie jak groch i kapią na linoleum. Mimo płaczu krzyczy na niego tak głośno, że nabrzmiewają jej żyły... na mnie zresztą też, bo przyglądając się bliżej tej scenie widzę, że kiedy Hanna chowa się za matką, ja szukam schronienia za winowajcą. Och, to zwykłe urojenie, wyjęte prosto z historii choroby! Nie, skąd, przecież to mój rodzony ojciec wali pięścią w kuchenny stół i wykrzykuje:

- Nic podobnego nie zrobiłem! To kłamstwo!

Zaraz, chwileczkę, przecież to ja wrzeszczę:

- Nic podobnego!

Winowajca to ja! A matka płacze, bo ojciec nie chce złożyć mi tyłka, który zgodnie z jej obietnicą miał być złożony „ile wlezie”, kiedy odkryła moje straszliwe przestępstwo.

Kiedy dopuszczam się małych draństw, sama daje sobie ze mną radę, wystarczy (jeśli pan pamięta, bo ja pamiętam świetnie!), że ubierze mnie w palto i kalosze - miło z twojej strony, mamusiu, że pamiętałaś o kaloszach - wyrzuci mnie z domu (wyrzuci mnie z domu!) i oznajmi przez zamknięte drzwi, że już nigdy mnie nie wpuści, mogę więc rozpocząć nowe życie; wystarczy, że podejmie taką prostą, szybką akcję, a zaraz dostaje ode mnie wyznanie, samopotępienie, czy nawet, gdyby jej zależało, podpisany cyrograf, że do końca życia będę na sto procent grzeczny i posłuszny - jeśli mnie tylko wpuści za próg, gdzie znajdują się moje ubrania, łóżko i lodówka. Ale kiedy zachowuję się naprawdę niegodziwie, tak podle, iż matce nie pozostaje nic innego, jak wzniesć ręce do Pana Boga Wszechmogącego i zapytać Go, co takiego zrobiła, że pokarał ją takim dzieckiem, wtedy prosi ojca, aby wymierzył mi sprawiedliwość; jak się okazuje, matka jest z natury zbyt wrażliwa i zbyt delikatna, by wymierzyć karę cielesną:

- To mnie boli - słyszę, jak wyjaśnia ciotce Klarze - bardziej niż jego. Już taka jestem. Nie potrafię go bić i tyle. - Biedna mama.

Spróbujmy jednak ustalić, co tu się naprawdę dzieje? Przecież dwóch takich spryciarzy żydowskich jak pan i ja z pewnością dojdzie prawdy... Popełniono straszliwy czyn, dopuścił się go ojciec albo ja. Innymi słowy, złoczyńcą jest jeden z dwóch członków rodziny w posiadaniu penisa. W porządku. Tyle przynajmniej wiadomo. A teraz - czy to on pieprzył aryjską kasjerkę między tymi jej ponętnymi nogami, czy może ja zjadłem budyń czekoladowy siostry? Widzi pan, nie zjadła go po obiedzie, ale podobno zostawiła sobie na później, żeby go zjeść przed pójściem do łóżka. Je-zuniu, Hanno, skąd miałem wiedzieć? Kto zwraca uwagę na niuanse, kiedy jest głodny? Mam osiem lat i szaleję na punkcie budynku czekoladowego. Wystarczy, że lśniącą czekoladową polewą zamruga do mnie z lodówki, a tracę nad sobą panowanie. Zresztą sądziłem, że nikt go nie chce! Taka jest prawda! Chryste, cały ten rwetes tylko dlatego, że zjadłem budyń czekoladowy tego smętnego tłuściocha? Nawet jeżeli zjadłem, to naprawdę nie chciałem! Sądziłem, że jest niczyj! Przysięgam,

przysięgam, nie chciałem nikogo skrzywdzić!... Ale czy to ja, czy też mój ojciec krzyczy na swoją obronę przed sądem? Tak, to on - on to zrobił, no dobrze, już dobrze, Sophie, daj mi święty spokój, zrobiłem, ale nie chciałem. Cholera, za chwilę jej powie, że zasłużył na przebaczenie, bo nie miał z tego żadnej przyjemności. Co znaczy nie chciałeś, ty szmato, przecież ją zerznąłeś. Trzymaj się teraz jak mężczyzna! Powiedz jej, powiedz: - To prawda, Sophie, rznąłem tę sziknę, ale gównu mnie obchodzi, co ty na ten temat myślisz. Bo tak się składa, jeżeli nigdy wcześniej o tym nie słyszałaś, że ja tu jestem mężczyzną i ja tu rządę!

I rznij ją, jeśli musisz! Wal ją, Jake! Tak by z pewnością postąpił goj, no nie? Czy, twoim zdaniem, taki wielki łowca jeleni ze strzelbą zapada się w fotel, kiedy się go złapie na grzechu przeciw szóstemu przykazaniu, zalewa się łzami i błaga żonę o przebaczenie? Przebaczenie za co? Bo w końcu na czym to polega? Włożyłeś gdzieś kutasa, poruszałeś nim w przód i w tył, aż coś ci z przodu wytrysnęło. No i co takiego, Jake? Jak długo to wszystko trwało, żebyś znosił takie przekleństwa z jej ust, wciąż się poczuwał do winy, obwinał i nienawidził samego siebie! Tatku, dlaczego musimy czuć taką winę i uległość wobec kobiet, skoro jej nie czujemy! Nie powinniśmy! Tatku, to my powinniśmy dzierżyć władzę, my!

- Tatusz zrobił coś strasznego - krzyczy matka... a może to moja wyobraźnia? Brzmi to chyba raczej:

- Och, tatusiu, mały Aleks znów zrobił coś strasznego.

W każdym razie podnosi Hannę (też nie miała kogo wybrać, tylko Hannę!), której aż do tej chwili nigdy na serio nie uważałem za prawdziwy obiekt czyjejkolwiek miłości, bierze ją na ręce i zaczyna całować smutną, nie kochaną twarz, mówiąc, że jej mała córeczka to jedyna osoba na całym Bożym świecie, której może ufać... A skoro ja mam osiem lat, Hanna musi mieć dwanaście, nikt jej nie podrywa, zapewniam pana, bo to biedne dziecko cierpi na nadwagę - „i to jaką”, mówi matka. Nie powinna nawet jeść budyniu czekoladowego. No właśnie, dlatego ja go zjadłem? Jasny gwint, Hanno, to zalecenie lekarza, a nie moje. Nie moja wina, że jesteś gruba i niemrawa, a ja szczupły i bystry. Nic na to nie poradzę, że jestem taki śliczny, aż zatrzymują mamę, kiedy wiezie mnie w wózku, żeby się przyjrzeć mojej cudnej buzi - sama słyszysz, jak opowiada tę historię, to nie zależy ode mnie, to po prostu fakt przyrodniczy, że urodziłem się śliczny, a tyś się urodziła, jeżeli już nie brzydka, to w każdym razie taka, że ludzie niezbyt chcą cię oglądać. Czy to też moja wina? Żeś się taka urodziła całe

cztery lata wcześniej, nim ja przyszedłem na świat? Widocznie tak chciał Bóg! Tak było napisane w wielkiej księdze!

Ale niezaprzeczalnym faktem jest to, że Hanna o nic mnie nie obwinia, po prostu wciąż i bez przerwy jest dobra dla swojego ukochanego braciszka, ani razu nie podnosi na mnie ręki, ani razu mnie nie wyzywa. Ja jej zabieram budyń czekoladowy, a ona znosi to pokornie, bez słowa skargi. Całuje mnie tylko na dobranoc i przeprowadza przez ulicę, gdy idę do szkoły, po czym wycofuje się i grzecznie znika w ścianie (bo chyba tam tkwi), kiedy naśladowuję przed rozbawionymi rodzicami odgłosy z „Zaułka Al-lena” albo kiedy wszyscy krewni, jak Północne Jersey długie i szerokie, podziwiają moje idealne stopnie na okres. Bo kiedy się mnie za nic nie karze, panie doktorze, obnosi się mnie po całym domu niczym papieża po ulicach Rzymu...

Widzi pan, z tych wczesnych lat dzieciństwa potrafię zebrać najwyżej tuzin wspomnień dotyczących siostry. Tak jest, na ogół biorąc, aż do okresu dojrzewania, kiedy to siostra jawi mi się jako jedyna osoba przy zdrowych zmysłach, z którą mogę się dogadać w tym domu wariatów, przedtem zaś jak gdyby była kimś, kogo widuje się kilka razy do roku - raz czy drugi odwiedza nas wieczorem, je z nami kolację, śpi w jednym z naszych łóżek, po czym nieszczęsna grubaska znika nam dzięki Bogu z oczu.

Nawet w chińskiej restauracji, gdzie Pan Bóg udzielił posłusznym dzieciom Izraela dyspensy na potrawy z wieprzowiny, jedzenie homara po kantońsku ten sam Bóg (którego ziemską wyrocznią w kwestii żywności jest moja mama) uważa za absolutnie niedopuszczalne. Możemy jeść wieprzowinę na Pell Street, a nie możemy w domu, bo... szczerze mówiąc, nadal tego nie pojmuję, ale wówczas brało się to pewno stąd, że podstarzały właściciel owej restauracji, nazywany przez nas „Szmendrykiem”, nie był człowiekiem, z którego zdaniem na nasz temat musielibyśmy się liczyć. Tak, jedyny naród na świecie, którego według mnie Żydzi nie muszą się obawiać, to Chińczycy. Gdyż po pierwsze, w porównaniu z ich angielszczyzną mój ojciec mówił po angielsku jak lord Chesterfield, po drugie, w głowach mają chyba tylko prażony ryż i nic więcej, a po trzecie, nie jesteśmy dla nich Żydami, tylko białymi... a może nawet Anglosasami. Proszę sobie wyobrazić! Nic dziwnego, że nie peszą nas tamci kelnerzy. Dla nich jesteśmy wielkonosą odmianą rdzennych Amerykanów! O rany, jak my tam jemy! Raptem nawet świnia przestaje być groźna, aczkolwiek zostaje najpierw tak drobno posiekana i zmielona, a potem podana na talerzach w takich oceanach sosu

sojowego, że nie przypomina wcale kotleta schabowego ani szynki, ani - uchowaj Boże! - kielbasy (pfe!)... Ale czemu nie możemy jeść również homara ukrytego pod inną postacią? Pozwólmy matce na logiczne wyjaśnienie. Sylogizm, panie doktorze, w ustach niejkiej Sophie Portnoy. Gotów? Oto dlaczego nie możemy jeść homara:

- Bo mógłbyś się przejechać na tamten świat! Bo raz zjadłam i omal nie umarłam!

Tak, ona też się dopuściła wykroczenia, które zostało odpowiednio ukarane. W buńczucznej młodości (zanim ją poznałem) dała się podejść (co wywołało zarazem jej próżność i wstyd) i namówić na zjedzenie homara à la Newburg przez pewnego dowcipnisa, przystojnego agenta ubezpieczeniowego, który pracował z ojcem w firmie Boston i Okręg Północno-Wschodni, pijaczną nazwiskiem (kto by wymyślił lepsze?) Doyle.

Otóż na zjeździe towarzystwa ubezpieczeniowego w Atlantic City, podczas hałaśliwego bankietu pożegnalnego, Doyle przekonał mamę, że chociaż danie, które kelner postawił przed jej dekoltem, pachnie zupełnie inaczej, to tylko najzwyklejsze w świecie kurczę po królewsku. Matka naturalnie i tak wyczuła, że coś tu nie gra, nawet kiedy atrakcyjny, podpity Doyle usiłował ją karmić jej widelcem, podejrzewała, że tragedia, jak to określiła, wisi w powietrzu. Ale jej też szumiało w głowie od owoców z dwóch koktajli na whisky, nierozważnie więc zlekceważyła myśl o podstępie, jaki słusznie zwietrzyła swym długim żydowskim nosem, i - och! co za gorąca dziewucha! rozwydrzona łajdaczka! lekkomyślna awanturnica! - poddała się bez reszty duchowi szaleńczego zapomnienia, który najwyraźniej udzielił się całej sali pełnej agentów ubezpieczeniowych i ich żon. Dopiero kiedy szербet wjechał na stół, Doyle - wedle opisu matki „z wyglądu drugi Errol Flynn, i to nie tylko z wyglądu” - Doyle zdradził jej, co naprawdę zjadła.

Skutek był taki, że później całą noc wymiotowała w łazience.

- Kiszki mi się dosłownie przewracały! Niezły z niego żartowniś! Dlatego po dziś dzień powtarzam ci, Aleks, nie rób tego typu żartów, bo konsekwencje mogą okazać się tragiczne! Byłam taka chora, Aleks - uwielbiała przypominać to sobie, mnie i ojcu pięć, dziesięć, piętnaście lat po owej katastrofie - że mój ojciec, domowy Pan Śmiałek, musiał wyrwać lekarza hotelowego z głębokiego snu, żeby przyszedł do naszego pokoju. Widzisz, jak trzymam palce? Tak wymiotowałam, że zeszywniały w ten sposób, zupełnie jakby mnie sparaliżowało, zapytaj tylko ojca... Jack, powiedz mu,

powiedz, co sobie pomyślałeś, kiedy zobaczyłeś, jak mi wykręciło palce od tamtego homara à la Newburg.

- Jakiego znowu homara?

- Którego wmusił we mnie twój kolega Doyle.

- Doyle? Jaki Doyle?

- Doyle, ten pijus, którego musieli przenieść na odludzie Południowego Jersey, bo taki był z niego kobieciarz. Doyle! Ten wykapany Errol Flynn! Powiedz Aleksowi, co się stało z moimi palcami, że sądziłeś wtedy...

- Nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz - pewno szczerze, bo nie wszyscy uważają życie mamy za taki straszny dramat jak ona sama, zresztą nie można wykluczyć, że jej opowieść zawiera więcej fantazji niż prawdy (nie trzeba dodawać, że bardziej dotyczy groźnego Doyle'a niż zakazanego homara). Poza tym ojciec ma codziennie sporo kłopotów na głowie, czasem więc musi puścić mimo uszu rozmowy toczące się wokół niego, żeby utrzymać nerwy na wodzy i wypełnić rzetelnie swoje obowiązki. Może po prostu nie dotarło do niego ani jedno jej słowo.

Ale monolog matki ciągnie się dalej. Tak jak inne dzieci słyszą rok w rok *Opowieść wigilijną* Dickensa albo wysłuchują co wieczór fragmentów ulubionej książki, ja jestem bez przerwy bombardowany mrozącymi krew w żyłach rozdziałami z jej życia pełnego niebezpieczeństw. Składają się one w gruncie rzeczy na literaturę mojego dzieciństwa, owe opowieści matki - bo jedyne prawdziwe książki, nie licząc podręczników szkolnych, to prezenty otrzymane przez rodziców, kiedy któreś z nich leżało w szpitalu na rekonwalescencji. Jedna trzecia naszej biblioteki to *Dragon Seed* (usunięcie jej macicy, morał: nigdzie nie ma ironii, zawsze gdzieś się czai śmiech), a pozostałe dwie trzecie to *Dziennik argentyński* Williama L. Shirera i (morał ten sam) *Pamiętniki Casanovy* (usunięcie jego wyrostka robaczkowego). Reszta naszych książek jest napisana przez Sophie Portnoy, a każda to kolejna sekwencja jej słynnego cyklu zatytułowanego: Znacnie mnie przecież, wszystkiego muszę spróbować. Albowiem koncepcja inspirująca, kształtująca jej dzieła polega na tym, że matka, odważna jak diabli, idzie przez życie w poszukiwaniu nowości i ryzyka, ale za każdym razem zostaje stłamszona i ukarana za swego pionierskiego ducha. Uważa się za kobietę na straży przedniej doświadczenia, za skazaną z góry na porażkę olśniewającą kombinację Marii Curie, Anny Kareniny i Amelii Earhart. W każdym razie z takim romantycznym wizerunkiem jej synek kładzie się co dzień do łóżka, gdy już zapnie mu

piżamę i utuli na dobranoc, opowiadając, jak nauczyła się prowadzić samochód, kiedy była w ciąży z moją siostrą, i w dniu uzyskania prawa jazdy - dosłownie godzinę potem - „jakiś wariat” stuknął ją w tylny zderzak, dlatego już nigdy nie usiadła za kierownicą. Albo opowiada, jak szukała złotej rybki w stawie w Saratoga Springs, w stanie Nowy Jork, gdzie zabrano ją, kiedy miała dziesięć lat, z wizytą do starej, chorej ciotki, jak to niechcący wpadła do wody, na samo dno brudnego stawu, i od tamtej pory ani razu nie weszła do wody, nawet przy brzegu, podczas odpływu, kiedy fala jest mała, a opodal czuwa ratownik. No i o homarze, kiedy mimo rauszu poznała, że to nie jest kurczak po królewsku, ale wmusiła go w siebie, „żeby zamknąć buzię temu Doyle'owi”, i omal się to nie skończyło tragicznie, toteż od tamtej pory nie wzięła do ust nic, co by choć trochę przypominało homara. Co i mnie poleca. Na zawsze. O ile tylko, mówi, dbam o siebie.

- Aleks, na świecie jest tyle dobrych rzeczy do jedzenia i bez homarów, od których może ci sparaliżować ręce do końca życia.

Fiu! Ale ja mam tych skarg! Ile ja żywię nienawiści, z której ogromu nie zdawałem sobie nawet sprawy! Czy to już terapia, panie doktorze, czy dopiero tak zwane „zbieranie materiału”? Wciąż tylko narzekam, moja zapiekłość jest chyba bez dna, zaczynam się już zastanawiać, czy na tym nie poprzestać. Coraz głębiej wierzę tę rytualną dziurę w brzuchu, co w opinii publicznej tak przysparza złej sławy pacjentom psychoanalitycznym. Czy istotnie nienawidziłem swojego dzieciństwa i biednych rodziców aż tak bardzo jak teraz, kiedy oglądam się wstecz z punktu widzenia tego, kim dzisiaj jestem..., a kim nie jestem? Czy wyciągam na światło dzienne prawdę, czy też po prostu biadolę? A może biadolenie to dla ludzi mojego pokroju swoista prawda? W każdym razie sumienie każe mi oznajmić, nim znów się zacznie to jojczenie, że ów szczeniący okres nie wydawał mi się wtedy tak odpychający i obcy jak dzisiaj. Chociaż tak bardzo miotałem się wewnątrz, chociaż targające mną sprzeczności wydają się z perspektywy nader dramatyczne, nie przypominam sobie, żebym należał do tych dzieci, co to pragną mieszkać w innym domu z inną rodziną, nawet jeżeli moje nieświadome pragnienia szły w tym kierunku. Bo gdzie bym znalazł dla swoich parodii taką publiczność jak tych dwoje? Przy obiedzie sadzałem ich w rzędach - matka raz się zsikała w majtki, panie doktorze, i musiała biec do łazienki zanosząc się histerycznym śmiechem po moim skeczu pana Kitzla z „Programu Jacka Benny'ego”. Co jeszcze? Niedzielne spacerunki z ojcem po parku Weequahic, których



dotąd nie zapomniałem. Wie pan, do dziś, kiedy wyjadę na wieś i znajdę żołądź na ziemi, zawsze myślę o nim i o tamtych spacerach. A to nie byle co po blisko trzydziestu latach.

A czy wspominałem już, mówiąc o matce, nie kończąc się rozmowy, które prowadziliśmy, nim zacząłem sam chodzić do szkoły? Przez te pięć lat, kiedy mieliśmy dla siebie cały dzień, poruszyliśmy chyba wszystkie tematy dostępne człowiekowi.

- Kiedy rozmawiam z Alekssem - mówiła ojcu, gdy wieczorem wracał skonany do domu - mogę prasować całe popołudnie i czas mi mija jak z bicia trzasnął.

Proszę pamiętać, że mam dopiero cztery lata. Jeżeli zaś chodzi o jej krzyki, drżenie, płacz, nawet one przebiegały w godnej uwagi aurze ożywienia; ponadto nie było po prostu niczym, tylko zawsze CZYMŚ! Najwyklesze zdarzenie mogło nieoczekiwanie eksplodować i przerodzić się w STRASZLIWY KRYZYS - wyobrażałem sobie, że tak to już w życiu jest. Pewien pisarz, jak on się nazywa, Markfield, napisał w jednym opowiadaniu, iż do ukończenia czternastu lat uważał, że „irytacja” to słowo żydowskie. Ja tak samo myślałem o słowach „tumul” i „harmider” - dwóch ulubionych rzeczownikach mamy. Podobnie było z „warząchwią”. Kochany syneczek chodził już do pierwszej klasy, każdy konkurs szkolny wygrywał z palcem w uchu, aż tu pewnego razu nauczycielka spytała mnie, co widzę na obrazku, na którym bez trudu zidentyfikowałem tak zwaną przez mamę „warząchew”. Tylko za żadne skarby nie mogłem znaleźć odpowiednika w języku angielskim. Jąkając się i rumieniąc, usiadłem pokonany w ławce, bez porównania mniej zdumiony niż nauczycielka, ale i tak porządnie roztrzęsiony... tak daleko wstecz sięga mój los, tak wcześnie uznawałem za „normę” stan ducha przypominający katusze - w tym konkretnym przypadku z powodu czegoś tak monumentalnego jak kuchenna łyżka.

*Och, cała ta draka z warząchwią, mamusiu,*

*Wyobraź sobie, kim ty dla mnie jesteś!*

Przy tym zabawnym dramaciku przypomina mi się, jak mieszkałem w Jersey City, wciąż jeszcze byłem maleństwem matki, nadal wahałem do upojenia zapachy jej ciała i byłem bez reszty niewolnikiem jej kugła, skwarków z kurzego tłuszczu i rugele - kiedy w naszym bloku zdarzyło się samobójstwo. Piętnastoletni chłopak, Ronald Nimkin, obwołany przez kobiety z całego budynku wirtuozem „José Iturbi drugim”, powiesił się na prysznicu we własnej łazience.

- Takie złote ręce! - łkały kobiety, mając oczywiście na myśli jego grę na fortepianie. - Taki talent! - A za chwilę: - Nie było drugiego chłopca tak zakochanego w matce jak Ronald!

Przysięgam panu, że to nie żadne brednie ani wspomnienie porywcze, tylko ich własne słowa. Wzniosłe, mroczne, operowe tematy ludzkiego cierpienia i namiętności prześlizgiwały im się przez buzie niczym ceny mydła Oxydol czy kukurydzy Del Monte w puszkach! Moja rodzona matka, że panu przypomnę, kiedy wróciłem zeszłego lata z podróży po Europie, powitała mnie przez telefon tymi słowy:

- No i jak się miewa mój kochanek?

Tak się do mnie zwraca, podczas gdy mąż słucha przy drugim telefonie! I nigdy jej nie przyjdzie do głowy, że jeśli ja jestem jej kochankiem, to kim jest on, ten szmaciarz, z którym żyje? Nie, przy tych ludziach nie trzeba się daleko zagłębiać... starą poczciwą nieświadomość widać jak na dłoni!

Pani Nimkin wypłakiwała oczy w naszej kuchni:

- Dlaczego? Dlaczego? Ale dlaczego on nam to zrobił?

Słyszysz pan? Nigdy, dlaczego myśmy mu coś zrobili, co to to nie, tylko: dlaczego on nam to zrobił? Nam! Którzy urobilibyśmy sobie ręce i nogi, żeby dać mu szczęście i na dodatek zrobić z niego sławnego pianistę! Czy oni są naprawdę aż tak ślepi? Jak można żyć z tak bezdenną głupotą? Rozumie pan? Czy to możliwe, że są wyposażeni w całą tę maszynę: mózg, rdzeń kręgowy, cztery otwory na uszy i oczy - ekwipunek, droga pani Nimkin, niemal równie imponujący jak kolorowy telewizor - a mimo to idą przez życie bez żadnego pojęcia o uczuciach i pragnieniach innych ludzi poza nimi samymi? Pani Nimkin, ty ścierwo, pamiętam panią, miałem zaledwie sześć lat, ale pamiętam panią i dobrze wiem, co zabiło pani Ronalda, niedoszłego pianistę:

**PANI CHOLERNY EGOIZM I GŁUPOTA!**

- Płaciliśmy za jego lekcje... - płacze pani Nimkin. Zresztą dlaczego tak ją oskarżam? Może miała dobre intencje, nawet na pewno... w chwili rozpaczy czego można żądać od takich ludzi? Najzwyczajniej, w obliczu swojego nieszczęścia nie potrafi się zdobyć na nic mądrzejszego niż ta idiotyczna uwaga o lekcjach opłacanych za kogoś, kto teraz jest trupem. Kim one na litość boską są, te Żydówki, które wychowywały nas w dzieciństwie? W Kalabrii widuje się podobne cierpiętnice, jak siedzą kamieniem w kościołach i połykają wszystkie te obrzydliwe katolickie banialuki; w Kalkucie żebrzą na ulicach, a jeśli mają szczęście, uwiązane do pług

brną przez zakurzone pola... Tylko w Ameryce, rebe Golden, te wieśniaczki, nasze matki, w wieku sześćdziesięciu lat farbują sobie włosy na platynowy kolor i przechadzają się po Collins Avenue na Florydzie w spodenkach rybaczkach i w etolach z norek, wypowiadając się na wszystkie możliwe tematy pod słońcem. To nie ich wina, że obdarzono je mową - gdyby krowy umiały mówić, wygłaszałyby pewno podobne idiotyzmy. Tak, tak, może to jest właśnie rozwiązanie - uważać je za krowy, które spotkał podwójny cud: mowy i mah-jonga. Stać nas chyba na miłosierdzie w myśleniu, panie doktorze?

Mój ulubiony szczegół z samobójstwa Ronalda Nimkina - kiedy jeszcze zmarły młodo pianista dyndał na prysznicu, miał przyczepioną kartkę do koszuli z krótkimi rękawami - to najlepiej zapamiętałem: Ronald, wysoki, mizerny, nastoletni katatonik wiecznie błąkał się samotnie w za dużych sportowych koszulkach z krótkimi rękawami, których wyłogi były tak mocno wykrochmalone i wyprasowane z lewej strony, że sprawiały wrażenie kuloodpornych... A sam Ronald, każda kończyna naprężona aż do szpiku kości, że gdyby go dotknąć, chyba wydał z siebie brzęk... no i te palce, długie, białe, groteskowe, można się było doliczyć co najmniej siedmiu kostek, zanim się doszło do porządnie ogryzionych paznokci, te ręce Beli Lugosiego, jak mówiła moja matka - mówiła i mówiła bez końca - bo nigdy nie wystarczy powiedzieć raz - nigdy! - te „ręce urodzonego pianisty”.

Pianista! Och, słowo, które wprost ubóstwiają, prawie tak samo jak „doktor”, panie doktorze. I praktyka prywatna. A nade wszystko „własny gabinet”. „Otworzył własny gabinet w Livingston”.

- Pamiętasz Seymoura Szmuka, Aleks? - pyta matka. Lub Aarona Puca, Howarda Szlonga czy innego bubka, którego powinienem niby znać ze szkoły podstawowej sprzed dwudziestu pięciu lat, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć.

- Spotkałam dziś na ulicy jego matkę i dowiedziałam się, że Seymour jest najlepszym neurochirurgiem na całej półkuli zachodniej. Ma sześć murowanych domów typu willowego w Livingston, należy do zarządu jedenastu synagog, wszystkich jak spod igły, projektu Marka Kugla, a w zeszłym roku zabrał żonę i dwie córeczki, tak piękne, że wytwórnia filmowa Metro podpisała z nimi kontrakty, i tak inteligentne, że już powinny być na uczelni, zabrał całą rodzinę do Europy na wycieczkę za osiemdziesiąt milionów dolarów do siedmiu tysięcy krajów, o niektórych nawet nie słyszałeś, bo stworzono je tylko i wyłącznie na cześć Seymoura, a na dobitkę

jest tak ważny, ten Seymour, że w każdziutkim mieście europejskim, gdzie stanął, sam burmistrz prosił go, aby został i podjął się niewykonalnej operacji mózgu w szpitalach, które również zbudowano dla niego na oczekaniu, a podczas operacji... posłuchaj tylko... w sali operacyjnej puszczano główną pieśń z „Exodusu”, żeby każdy wiedział, jakiego Seymour jest wyznania... widzisz, jak daleko zaszedł twój kolega! I tyle daje rodzicom powodów do satysfakcji!

A ty, brzmi ukryta aluzja, kiedy się wreszcie ożenisz? W Newark i okolicach to pytanie jest najwyraźniej na ustach wszystkich mieszkańców: **KIEDY ALEKSANDER PORTNOY PRZESTANIE BYĆ TAKIM EGOISTĄ I OBDARZY WNUKAMI SWOICH WSPANIAŁYCH RODZICÓW?**

- No i co - pyta ojciec, a łzy już mu się zbierają w kącikach oczu - no i co, ważniaku - pyta za każdym razem, kiedy się widzimy - masz jakąś dziewczynę na oku? Wybacz, że cię pytam, jestem tylko twoim ojcem, ale ponieważ nie będę żył wiecznie, przypominam ci, na wypadek, gdybyś zapomniał, że zostałeś jedynym spadkobiercą nazwiska rodzowego, może byś więc dopuścił mnie do tej tajemnicy.

Tak, wstydu nie ma ten Aleks P., jedyny uczeń ze swojego rocznika szkolnego, który nie pozwolił dotąd mamusi i tatusiowi zostać dziadkami. Wszyscy wokół żenią się z porządnymi Żydówkami, mają dzieci, kupują domy i (używając słów ojca) „zapuszczają korzenie”, inni synowie przekazują następnemu pokoleniu nazwisko rodowe, a on ugania się za cipami. I to na domiar złego za cipami Aryjek! Ugania się, wacha, liże, posuwa, a przede wszystkim myśli o nich. Dzień i noc, w pracy i na ulicy - ma trzydzieści trzy lata i wciąż chodzi po ulicy z wybałuszonymi oczami. Aż dziw bierze, że żadna taksówka nie rozjechała go na marmoladę, zważywszy, ile razy w porze obiadowej przechodzi główne arterie Manhattanu. Trzydzieści trzy lata, a wciąż gapi się i snuje fantazje na temat każdej dziewczyny, która zakłada nogę na nogę naprzeciw niego w metrze! Nadal przeklina się w duchu za to, że nie odezwał się do bujnych cycków, które jechały z nim sam na sam windą dwadzieścia pięć pięter w górę! Potem przeklina się za coś wręcz przeciwnego! Bo zdarza mu się zaczepiać na ulicy panienki z dobrych domów, i chociaż odkąd pokazał się w telewizji w porannym niedzielnym programie, jego twarz nie jest całkiem nie znana oświeconej części publiczności - nawet jeżeli właśnie idzie na proszony obiad do aktualnej narzeczonej - zdarzyło mu się kilka razy wymamrotać:

- Może by pani poszła ze mną do domu?

Dziewczyna naturalnie się nie zgadza. Naturalnie zaczyna krzyczeć:

- Odczep się ode mnie, ty łobuzie! - Lub odpowiada szorstko: - Dziękuję, ale mam własny miły dom, gdzie czeka na mnie mąż.

Na co on się naraża, ten głupiec! Ten idiota! Ten ścichapek! Ten zboczeniec. Po prostu nie umie - nie chce - opanować ognia w kutasie, gorączki w głowie, wiecznie płonącej żądzы czegoś nowego, szalonego, czegoś nie do pomyślenia, i jeśli podobna to sobie wyobrazić, czegoś, o czym nikomu się nie śniło. Jeżeli chodzi o pizdę, żyje w stanie, który ani się zasadniczo nie zmienił, ani nie wysublimował od czasu, kiedy jako piętnastoletni chłopak wstając z ławki w klasie, musiał za każdym razem chować wzwód pod kołonoratnikiem dużego formatu. Każda napotkana dziewczyna ma przecież (kapelusze z głów!) między nogami prawdziwą pizdę! Niesłychane! Niebywale! Nadal dręczy go uporczywa, ekscytująca myśl, że patrząc na dziewczynę, patrzy się na kogoś, kto w stu procentach ma taką pizdę! Wszystkie, co do jednej, mają pod sukienkami pizdy! Tylko pierdolić! I, panie doktorze. Wysoki Sądzie, czy jak tam do pana mówić - nieważne, ile ten nieszczęsny drań użyje, bo i tak zawsze marzy o jutrzejszej dupie, nawet kiedy pompuje dzisiejszą!

Czyżbym przesadzał? Wrabiam się tylko po to, żeby się sprytnie pochwalić? A może to przechwałki? Czy istotnie uważam swoje nienasylenie i jurność za dopust losu, czy raczej za osiągnięcie? I jedno, i drugie? Niewykluczone. A może to tylko eskapizm? Przynajmniej nie jestem tuż po trzydziestce uwięziony w małżeństwie z jakąś miłą kobitką, której ciało przestało mnie tak naprawdę interesować... przynajmniej nie muszę co wieczór chodzić do łóżka z kimś, kogo, szczerze mówiąc, pierdolę z obowiązku, a nie z namiętności. Przygnębiający koszmar, który dręczy przed snem wielu ludzi... Z drugiej strony, muszę przyznać, że z pewnego punktu widzenia i w mojej sytuacji jest coś przygnębiającego. Oczywiście nie sposób mieć wszystkiego, tyle wiem, ale chętnie poszukam odpowiedzi na pytanie: Czy ja mam cokolwiek? Jak długo jeszcze będę przeprowadzał te eksperymenty z kobietami? Jak długo jeszcze będę rypał dziury, które się nawiną - najpierw tę, a kiedy mi się znudzi, tamtą... i tak dalej. Kiedy to się skończy? Tylko czemu miałyby się skończyć! Żeby zadośćuczynić ojcu i matce? Żeby się zastosować do norm? Dlaczego, do diaska, miałbym się tak bronić przed tym, co przed laty zaszczytnie nazywano stanem kawalerskim? Przecież, sam pan widzi, o nic tu innego nie chodzi, tylko o stan kawalerski. Na czym więc polega przestępstwo? Na swobodzie seksualnej? W naszych czasach i w naszym stuleciu? Dlaczego miałbym ulegać mieszczaństwu? Czy ja ich

proszę, żeby się naginali do mnie? A jeżeli mam w sobie domieszkę bohemy, czy to coś strasznego? Komu wyrządzam krzywdę swoją namiętnością? Nie biję kobiet pałką, nie wykręcam im rąk, żeby poszły ze mną do łóżka. Jestem, jeśli tak wolno rzec, uczciwym i uczuciowym mężczyzną; niech pan posłucha, jak na mężczyznę, jestem... Ale czemu muszę się tłumaczyć! Przepraszać! Dlaczego muszę usprawiedliwiać pragnienia swoją uczciwością i uczuciowością! No więc odczuwam pragnienia - tyle że nie do zaspokojenia! Nie do zaspokojenia! A to już nie jest takie dobrodziejstwo, przyjąwszy na chwilę psychoanalityczny punkt widzenia... przecież Freud uczy nas, że nieświadomość może jedynie pragnąć. I pragnąć! I PRAGNAĆ! Och, panie Freud, ja też coś o tym wiem! Ta ma śliczną dupę, ale za dużo gada. Tamta w ogóle nic nie mówi, w każdym razie nie plecie bzdur, ale, o rany, jak ona ciągnie druta! Co za flectka! Ta znowu, miód nie dziewczyna, ma najdelikatniejsze, najbardziej różowe i wzruszające sutki, jakie kiedykolwiek miętosilem w buzi, tylko nie chce mnie ssać. Czy to nie dziwne? A przy tym - i zrozumi tu bliźnich - uwielbia, jak podczas stosunku wkładam jej palec w odbytnicę. Same zagadki! Nie opuszcza mnie fascynacja tymi szczelinami i otworami! Widzi pan, nie mogę po prostu przestać! Ani związać się tylko z jedną. Miewam romanse trwające chociażby rok, a nawet półtora, długie miesiące miłości, tak czulej jak i zmysłowej, lecz w końcu przychodzi czas - nieodwołalnie jak śmierć - kiedy namiętność daje dyla. Jednym słowem, nie mogę się po prostu zdecydować na małżeństwo. Ale dlaczego miałbym się decydować? Dlaczego? Czy istnieje gdzieś prawo, które mówi, że Aleks Portnoy musi być czyimś mężem i ojcem? Panie doktorze, niech sobie stoją na parapecie i grożą, że runą na chodnik pod oknem, niech zgromadzą stos proszków nasennych aż pod sufit - choćbym musiał przez wiele tygodni drzeć ze strachu, że te rwące się do małżeństwa dziewczyny rzucają się pod wagony metra, to i tak nie mogę, po prostu nie chcę, zawrzeć umowy, że będę do końca życia spał z jedną jedyną kobietą. Przypuśćmy, że ożenię się z A, która ma urocze piersiątko i tak dalej, a co będzie, jeżeli pojawi się na horyzoncie B, która ma jeszcze bardziej urocze piersiątko, a w każdym razie nowsze? Lub C, która rusza pupą jak żadna dotąd, albo D, E czy F. Staram się być z panem szczery, doktorze, bo w sprawach seksu wyobraźnia ludzi dochodzi do Z i jeszcze dalej! Te cycki, pizdy, nogi, usta, wargi, języki i dupy! Jak mogę zrezygnować z czegoś, czego nie spróbowałem, dla dziewczyny, choćby najrozkoszniejszej i najbardziej nęcącej, która z czasem mi spowszednieje jak bochenek chleba? W imię Miłości? Jakiej miłości? Czy ona właśnie łączy wszystkie znane nam pary - nawet te, które nie chcą się wiązać? A może raczej

słabość? Może wygoda, bierność i poczucie winy? Może raczej strach, znużenie, inercja, najzwyczajsze tchórzostwo daleko częściej niż „miłość”, o której wciąż marzą poradnie małżeńskie, autorzy tekstów piosenek i psychoterapeuci? Nie oszukujmy się z tą „miłością” i jej wiecznym trwaniem. Dlatego pytam - jak mogę się ożenić z „ukochaną” osobą, wiedząc aż za dobrze, że po pięciu, sześciu, siedmiu latach znów wyjdę na ulicę w poszukiwaniu świeżej, nowej dupy, podczas gdy moja oddana żona, która stworzyła mi wspaniały dom et cetera, dzielnie przeżywa w cierpieniu samotność i odtrącenie? Jak mógłbym znieść okropny widok jej łez? Nie mógłbym. Jak mógłbym spojrzeć w oczy kochającym dzieciom? A potem rozwód, tak? Opieka nad dzieckiem. Alimenty. Prawo do odwiedzin. Wspaniała perspektywa, nie ma co. A jeżeli dziewczyna chce odebrać sobie życie tylko dlatego, że ja nie mam zamiaru przemykać oczu na przyszłość, to jej sprawa, takie jest życie! Nikt przecież nie musi, i wręcz nie powinien, grozić samobójstwem tylko dlatego, że ja w swej przezorności z góry przewiduję wszystkie frustracje i wzajemne oskarżenia... Kochanie, proszę cię, nie wyjdź tak, ktoś gotów pomyśleć, że duszę cię tu na śmierć. Och, kochanie (słyszałem swój błagalny głos w zeszłym roku, w tym roku, rok po roku!), nic ci nie będzie, naprawdę, wierz mi, wszystko się ułoży, jeszcze na tym zyskasz, proszę cię, ty dziwko, wracaj do pokoju i daj mi odejść!

- Ech, ty! Ty i ten twój parszywy kutas! - woła zawiedziona ostatnio, niedoszła (samozwańcza) panna młoda, dziwaczka, moja chuda, zbzikowana przyjaciółka, która w godzinę zarabia tyle pozowaniem do reklam bielizny, ile jej ojciec analfabeta dostaje tygodniowo w kopalni węgla w zachodniej Wirginii: - Myślałam, że jesteś inny niż wszyscy, ty piździelcu, ty pierdolony skurwysynu!

Ta piękna dziewczyna, która źle pojęła moje intencje, to Małpka, przezwisko pochodzi od drobnej perwersji, jakiej się dopuściła tuż przed poznaniem mnie i przejściem do wznioślejszych rzeczy. Panie doktorze, nigdy w życiu nie miałem takiej kobiety, wypełniającej moje najbardziej lubieżne młodzieńcze fantazje - ale ożenić się z nią, czy ona mówi poważnie? Widzi pan, mimo całego wdzięczenia się i spryskiwania perfumami jest bardzo złego zdania o sobie, a zarazem - tu tkwi przyczyna większości naszych kłopotów - śmiesznie dobrego zdania o mnie! A równocześnie bardzo złego zdania o mnie! Głupiutka Małpka, i na dobitkę niezbyt inteligentna.

- Intelktualista! - wykrzykuje Małpka. - Wykształcony, uduchowiony facet! Ty chuju złamany, ty taki owaki, bardziej obchodzą cię obce czarnuchy z Harlemu niż ja, chociaż przez okrągły rok ciągnęłam ci druta!

Zbita z tropu, załamana, no i zdrowo stuknięta. Bo to wszystko dochodzi do mnie z balkonu naszego pokoju hotelowego w Atenach, kiedy stoję w drzwiach z walizkami w rękach, błagając ją, niech wejdzie do środka, żebym jeszcze zdążył na samolot. A tu już wściekły mały hotelarz, tłusty jak oliwa, na twarzy wąsik i święte oburzenie, biegnie po schodach wymachując rękoma, no więc nabieram powietrza, mówię: - Jak chcesz skakać, to skacz! - i wychodzę, a ostatnie słowa, jakie słyszę, to że tylko i wyłącznie miłość do mnie („Miłość!” - wrzeszczy) pozwoliła jej wytrzymać upokorzenia, do których ją zmusiłem, koniec cytatu.

Nic podobnego, panie doktorze! Nic podobnego! Ta cwana dziwka usiłuje wpędzić mnie w poczucie winy i w ten sposób złapać męża. Bo do tego dąży, mając dwadzieścia dziewięć lat, sam pan rozumie, ale to wcale nie znaczy, sam pan rozumie, że zaraz muszę się zgodzić.

- We wrześniu, ty skurwysynu, kończę trzydzieści lat!

Otóż to, Małpko, otóż to! Właśnie dlatego to ty, a nie ja, ponosisz odpowiedzialność za swoje nadzieje i marzenia! Jasne? Nikt inny, tylko ty!

- Obsmaruję cię przed całym światem, ty zimny chuju! Powiem wszystkim, jaki z ciebie obrzydliwy zboczeniec i do jakich świństw mnie zmuszałeś!

Co za cipa! Mam szczęście, że wyszedłem żyw z tego romansu! Tylko czy wyszedłem?

Ale wracając do rodziców, którym przynoszę same zmartwienia, bo trwam w stanie wolnym. Jeśli chodzi o zaszczyty i osiągnięcia, pewnie gównem dla was znaczy, mamusi i tatusiu, że akurat burmistrz mianował mnie zastępcą komisarza w Komisji Miejskiej Nowego Jorku do Spraw Równouprawnienia - chociaż prawda wygląda nieco inaczej, sam przyznaję, bo kiedy tylko moje nazwisko znajdzie się w kronice „Timesa”, rodzice bombardują wszystkich, ale to wszystkich krewnych wycinkami z gazety. Pół emerytury ojca idzie na znaczki pocztowe, a matka całymi dniami wisi na telefonie i trzeba ją karmić dożylnie, bo buzię wciąż ma zajętą rozpowiadaniem o swoim Aleksie. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło - stale żyją tym, jaki to ze mnie geniusz i jaki sukces odniosłem, moje nazwisko trafia do gazet, teraz jestem prawą ręką wspaniałego nowego burmistrza, funkcjonariuszem Prawdy i Sprawiedliwości, wrogiem właścicieli ruder czynszowych, bigotów i wyzyskiwaczy („popierać równość praw, zapobiegać dyskryminacji, propagować wzajemne zrozumienie i szacunek...” -



oto humanistyczne cele mojej komisji, wyznaczone dekretem Rady Miejskiej) - ale jeszcze, o ile wie pan, co mam na myśli, jeszcze czegoś mi brak do doskonałości.

Czy świat widział bardziej niewdzięczne stworzenie? Tyle dla mnie poświęcili i zrobili, chwalą się mną, pracują na moją sławę jak najlepsze biuro rzecznika prasowego (ich własne słowa), a ja ciągle uchylam się od doskonałości. Słyszał pan kiedyś coś podobnego? Po prostu nie chcę być doskonały. Co za uparciuch.

Przyjeżdżają do mnie w odwiedziny:

- Skądś wytrzasnął taki dywan? - pyta ojciec z grymasem. - Kupiłeś go w sklepie ze starzyzną czy ktoś ci go podarował?

- Podoba mi się.

- Co ty pleciesz - mówi ojciec - przecież ten dywan jest wytarty do cna.

Mówię pojednawczo:

- Może i wytarty, ale nie do cna. Już dobrze? Wystarczy?

- Aleks, proszę cię - wtrąca matka - to bardzo wytarty dywan.

- Poślizniesz się kiedyś na nim - dorzuca ojciec - trzaśnie ci kolano i będziesz miał się z pyszna.

- A z twoim kolanem - mówi mama znacząco - nie ma żartów.

Już są oboje gotowi zwinąć dywan i wyrzucić go przez okno. Po czym zabrać mnie do domu.

- Dywan jest w porządku. Moje kolano jest w porządku.

- Nie było w porządku - szybko przypomina matka - kiedy nosiłeś, kochanie, gips aż do biodra. Jak on wtedy kuśtykał! Jaki był biedny!

- Mamo, miałem wtedy czternaście lat.

- Tak, a kiedy ci już zdjęli gips - mówi ojciec - nie mogłeś zgiąć nogi, myślałem, że zostaniesz kaleką do końca życia. Mówiłem mu: „Zginaj! Zginaj!”, błagałem go dosłownie rano, w południe i wieczorem. „Chcesz być na zawsze kaleką? Zginaj nogę!”

- Przestraszyłeś nas tym kolanem na śmierć.

- Ale to było w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym. A teraz mamy tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty. Gips mi zdjęto przed dwudziestu laty!

Jak brzmi argument nie do odparcia z ust matki?

- Zobaczysz, kiedyś sam będziesz miał dzieci i przekonasz się, jak to jest. A wtedy może już przestaniesz szydzić z własnej rodziny.

Napis wyryty na awersie żydowskiej monety (na ciele każdego żydowskiego dziecka!) nie brzmi: W BOGU NADZIEJA, lecz: KIEDYŚ SAM BĘDZIESZ MIAŁ DZIECI I PRZEKONASZ SIĘ, JAK TO JEST.

- Wydaje ci się - pyta ojciec, znany ironista - że my tego dożyjemy, Aleks? Sądzisz, że dojdzie do tego, nim trafię do grobu? Nie, on woli ryzykować na wytartym do cna dywanie! - (ironista - i logik!) - ... i rozbić sobie głowę! Chciałbym cię jeszcze o coś zapytać, mój ty niezależny synu: kto się w ogóle dowie, że leżysz tu na podłodze i wykrwawiasz się na śmierć? Nie odbierasz co drugiego telefonu, już cię widzę, jak leżysz tutaj w Bóg wie jakim stanie, i kto ma się tobą zająć? Kto ci przyniesie talerz zupy, gdyby, nie daj Boże, coś ci się stało?

- Sam się sobą zajmę! Nie żyję tak jak niektórzy - o, rany, wciąż ostro sobie poczynasz ze staruszką, co, Al? - jak niektórzy, co to zawsze i wszędzie wietrzą totalną klęskę!

- Zobaczysz - mówi, kiwając żałośnie głową - zachorujesz - i raptem pisk gniewu, ni stąd, ni zowąd upust absolutnej nienawiści do mnie! - zestarzejesz się i przestaniesz być takim niezależnym ważniakiem!

- Aleks, Aleks - zaczyna znów matka, kiedy ojciec podchodzi do okna, żeby trochę ochłonać i rzucić mimochodem złośliwą uwagę na temat „otoczenia, w jakim on mieszka”. Pracuję w Nowym Jorku, a on wciąż nalega, żebym mieszkał w pięknym Newark!

- Mamo, mam trzydzieści trzy lata! Jestem zastępcą komisarza do spraw równouprawnienia na miasto Nowy Jork! Skończyłem prawo z najlepszym dyplomem na roku! Pamiętasz? Zawsze byłem prymusem we wszystkich szkołach! Mamo, mając dwadzieścia pięć lat już byłem specjalnym doradcą w podkomisji Izby Kongresu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej! Gdybym chciał się dostać na Wall Street, mam, mógłbym pracować na Wall Street! Zrozum, cieszę się najwyższym szacunkiem w swoim zawodzie! Właśnie prowadzę dochodzenie w sprawie niezgodnych z prawem praktyk dyskryminacyjnych w budownictwie w Nowym Jorku - i to dyskryminacji rasowej. Usiłuję wydobyć od związkowców w przemyśle metalurgicznym ich szemrane sekrety! Tym się akurat dzisiaj zajmowałem. Pomogłem rozwiązać aferę teleturniejów telewizyjnych, pamiętasz...?

Och, po co dalej ciągnąć? Po co ich przekonywać swoim napiętym, wysokim młodzieńczym głosem? Chryste, Żyd, którego rodzice żyją, jest piętnastolatkiem i pozostanie nim aż do ich śmierci!

Sophie już mnie trzyma za rękę i z przymkniętymi oczyma czeka, aż wypluję z siebie ostatecznie osiągnięcie, jakie przychodzi mi do głowy, ostatni chwalebny czyn, po czym odzywa się:

- A dla nas, kochanie, nadal jesteś dzieckiem.

I zaczyna się szept, słynny szept Sophie, który każdy obecny w pokoju dosłyszysz bez trudu, taka jest wyrozumiała:

- Przepraszam. Pocałuj. Jeden twój pocałunek może odmienić cały świat.

Jeden mój pocałunek może odmienić cały świat. Panie doktorze! Panie doktorze! Powiedziałem - piętnaście? Przepraszam, miałem na myśli dziesięć! A właściwie pięć! A właściwie zero! Żyd, którego rodzice żyją, jest na ogół biorąc bezradnym niemowlęciem. Błagam, niech pan mi przyjdzie na ratunek... i to szybko! Niech mnie pan uwolni od roli zasypywanego pieścizotami syna, którego gram w tym żydowskim dowcipie! Bo już mi to trochę zbrzydło w wieku trzydziestu trzech lat! No i trochę mi to dopieka, rozumie pan, boli, ktoś tu odczuwa ludzkie cierpienie, jeżeli tak wolno rzec - tyle że Sam Levenson o tym nie wspomina! Pewno, siedzą sobie w kasynie w Concord, kobiety w norkach, mężczyźni w lśniących garniturach i, rany, zaśmiewają się, zaśmiewają do łez: „Ratunku, ratunku, mój syn lekarz tonie!” cha cha cha, cha cha cha, tylko co z tym bólem, panie Myron Cohen! Co z tym facetem, który naprawdę tonie?! Pograża się w oceanie nieustępliwości rodzicielskiej! Co z nim, panie Myron Cohen, bo to akurat chodzi o mnie! Panie doktorze, błagam pana, nie wytrzymam dłużej na świecie, któremu sens i wymiar nadaje jakiś wulgarny komik z nocnego klubu - gość z wisielczym poczuciem humoru! Bo na tym właśnie polegają wisielcze żarciki takich profesjonalistów, jak Henny Youngman i Milton Berles, którzy rozśmieszają gości Fountainebleau, i to czym? Historyjkami o zabójstwie i okaleczeniu! „Ratunku - woła kobieta biegnąca plażą Miami Beach - ratunku, mój syn lekarz tonie!” Cha cha cha - tyle że to jest „mój syn pacjent”, droga pani! I to jeszcze jak tonie! Panie doktorze, niech ci ludzie odczepią się ode mnie! Makabreska jest dobra na scenie, ale nie w życiu, dziękuję uprzejmie! Niech mi pan tylko powie, jak się od nich odczepić, a zaraz to zrobię! Niech mi pan tylko podsunie, co im powiedzieć, a

zaraz im to rzucę w twarz! Spływaj, Sophie! Odpierdol się, Jack! Dajcie mi wreszcie święty spokój!

Proszę bardzo, niech pan posłucha takiego, na przykład, dowcipu. Troje Żydów idzie ulicą: matka, ojciec i ja. Zdarzyło się to tego lata, tuż przed moim wyjazdem na wakacje. Zjedliśmy właśnie obiad (- Ma pan rybę? - pyta ojciec kelnera w eleganckiej francuskiej restauracji, do której ich zabieram, żeby pokazać, że jestem dorosły. - *Oui, monsieur*, mamy... - Dobra, to proszę rybę - zamawia ojciec - tylko żeby mi była gorąca), zjedliśmy właśnie obiad, a potem ssąc titralac (na nadkwasotę żołądka) odprowadzam ich do taksówki na dworzec autobusowy. Ojciec natychmiast zaczyna zrędzić, że nie odwiedziłem ich przez pięć tygodni (temat, który, jak mi się zdawało, wyczerpaliśmy w restauracji, podczas gdy matka szeptała kelnerowi, żeby ryba dla jej „dużego chłopca” - to ja, proszę państwa! - była dobrze wysmażona), a teraz wyjeżdżam na cały miesiąc, no więc kiedy znów zobaczą rodzzonego syna? Widują córkę i jej dzieci, i to dość często, ale ona też pozostawia wiele do życzenia.

- Co to za zięć - utyskuje ojciec - jeżeli nie rozmawiam z dziećmi na tę jego psychologiczną modłę, jeżeli nie karmię psychologią własnych wnuczek, gotów mnie zamknąć do więzienia! Nie obchodzi mnie, za kogo on się uważa, dla mnie i tak myśli jak komunista. Toż to moje wnuki, a wszystko, co do nich mówię, musi przejść przez niego, przez pana cenzora!

Nie, ich córka jest teraz panią Feibish, a jej córeczki to też Feibishówny. A gdzie są wymarzeni Portnoye? W moich jądrach.

- Posłuchaj - wołam ze ściśniętym gardłem - przecież właśnie mnie widzisz! Właśnie ze mną jesteś.

Lecz on i tak nie słucha, a teraz, skoro nie musi uważać, żeby się nie udławić ością, nie sposób go wprost powstrzymać - Seymour, jego piękna żona i ich siedem tysięcy inteligentnych, ślicznych dzieci odwiedzają państwo Szmuk co piątek wieczór...

- Zrozum, jestem bardzo zajęty! Teczka mi się wypycha od ważnych spraw do załatwienia!

- Ale przecież - pada odpowiedź - musisz jeść, możesz więc raz w tygodniu przyjść na obiad, bo i tak musisz jeść codziennie o szóstej po południu.

Tutaj wtrąca się Sophie, oznajmiając mu, że kiedy była mała, rodzice zawsze kazali jej robić to czy owo, i czasem czuła się nieszczęśliwa i wściekła z tego powodu, ojciec więc nie powinien nalegać, bo w końcu:

- Jack, Aleksander to duży chłopiec, ma prawo do własnych decyzji, zawsze mu to mówiłam.

Co takiego? Czyżbym się przesłyszał?

Po co ciągnąć dalej? Po co się zadrećzać? Po co się czepiać? Może lepiej być równym gościem jak Sam Levenson i po prostu się z tego śmiać?

Tylko panu dokończę. Wsiadają więc do taksówki.

- Pocałuj go - szepcze matka - jedziesz przecież aż do Europy.

Naturalnie ojciec to słyszy - matka po to zniża głos, żebyśmy wszyscy słuchali - i wpada w histerię. Co roku, począwszy od września, zasypuje mnie pytaniami o plany na najbliższy sierpień; teraz uświadamia sobie, że go przechytrzone; już i tak jest źle, że lecę nocnym samolotem na drugi kontynent, ale co gorsza, ojciec nie ma zielonego pojęcia o trasie mojej podróży. Udało mi się!

- Ale dokąd w Europie? Europa to pół świata... - woła, kiedy zamykam za nim drzwi taksówki.

- Powiedziałem ci już, nie wiem.

- Co znaczy, nie wiesz? Musisz wiedzieć! Jak tam dojedziesz, skoro nie wiesz dokąd?

- Przepraszam, przepraszam...

Tuli się teraz rozpaczliwie do matki, akurat kiedy zatrzaskuję drzwi, oj, tylko nie po palcach! Jezu, ten mój ojciec! Którego mam od zawsze! Którego rano znajdowałem w łazience śpiącego smacznie na sedesie, w spodniach piżamowych opuszczonych do kolan, z brodą zwieszoną na piersi. Wstawał za kwadrans szósta z rana, żeby zafundować sobie całą niezmaconą godzinę na tronie, w błogiej nadziei, że jeśli będzie tak życzliwie i troskliwie traktował swoje kiszki, popuszczą, poddadzą się, powiedzą wreszcie: - Nie ma co, Jack, wygrałeś - i zrobią temu nieszczęśnikowi prezent w postaci pięciu czy sześciu mizernych grudek gówna. - Jezu Chryste! - stęka, kiedy go budzę, żeby się umyć do szkoły, i stwierdza, że dochodzi pół do ósmej, a w muszli, nad którą spał blisko godzinę, pływa, jeżeli mu się poszczęści, jeden brązowy zapiekły bobek, jakiego można się spodziewać z odbytnicy królika, lecz nie z kiszki

stolcowej mężczyzny, który musi już wychodzić, cały zatkany, mając w perspektywie dwanaście godzin pracy.

- Pół do ósmej? Dlaczegoś mi nie powiedział?

Ubiera się piorunem, i już w palcie i kapeluszu, z wielką czarną księgą inkasenta pod pachą, łyka na stojąco gotowane śliwki i otręby, napycha sobie kieszeń suszonymi owocami, od których normalny człowiek dostałby chyba biegunki.

- Muszę sobie pewno wsadzić granat ręczny w tyłek, jeśli chcesz wiedzieć - szepcze do mnie konfidencjonalnie, kiedy matka zajmuje łazienkę, a siostra ubiera się do szkoły w swoim „pokoju”, czyli na oszklonej werandzie. - Tymi otrębami, które mam w sobie, można by zafrachtować cały okręt wojenny. Chryste, podchodzą mi do gardła.

Ponieważ parskam śmiechem, a on się też rozbawia na swój zgryźliwy sposób, otwiera paszczkę i pokazuje kciukiem jamę ustną.

- Zobacz. Widzisz, gdzie się robi ciemno? To nie są zwykłe ciemności, tylko te śliwki, które podchodzą tam, gdzie niegdyś miałem migdały. Chwała Bogu, że mi je wycięto, bo inaczej śliwki by się nie zmieściły.

- Pięknie się wyrażasz - krzyczy matka z łazienki. - Pięknie się wyrażasz przy dziecku.

- Wyrażam się? - woła ojciec. - Przecież to prawda - i za chwilę tupie ze złością, zlorzecząc całemu domowi. - Mój kapelusz, spóźnię się jak nic, gdzie jest mój kapelusz? Kto widział mój kapelusz? - tymczasem matka wchodzi do kuchni, rzuca mi cierpliwe, odwieczne, wszechwiedzące spojrzenie sfinksa... i czeka... a ojciec zaraz wraca na korytarz jak rażony apopleksją i jęczy rozżalonym głosem: - Gdzie jest mój kapelusz? Gdzie jest ten kapelusz - dopóki matka z głębi swej wszechwiedzącej duszy nie odpowie: - Głuptasie, masz go na głowie. - Natychmiast z oczu znikają mu wszelkie oznaki człowieczeństwa, staje jak wryty, z głupią miną, niczym przedmiot, ciało pełne gówna i niczego więcej. Lecz szybko wraca mu świadomość, musi przecież ruszać w świat, skoro kapelusz się znalazł, i to, kto by pomyślał, na głowie. - No tak - mówi, dotykając go ze zdumieniem, następnie wybiega z domu do Kaisera, i już Superman wybył aż do zmierzchu.

Kaiser, czas powiedzieć kilka słów o Kaiserze - jak to ojciec z dumą zabierał mnie ze sobą, kiedy po wojnie szedł wymienić za dopłatą Dodge'a rocznik trzydzięci dziewięć na nowy samochód, nową markę, nowy model, nowe wszystko - idealny

sposób amerykańskiego taty, żeby zaimponować amerykańskiemu synowi! - i jak trajkoczący sprzedawca udawał, że nie wierzy własnym uszom, odnosił się z niedowierzaniem za każdym razem, kiedy ojciec mówił: - Nie - na kolejne propozycje spośród tysiąca dupereli, które ten bandyta chciał nam wcisnąć, żebyśmy nimi obwiesili samochód.

- Powiem panu, jakie jest moje osobiste zdanie - mówi ów nikczemnik - wóz będzie się prezentował dwieście procent lepiej z białymi oponami, zgadzasz się, młody człowieku? Nie chciałbyś, żeby tatuś kupił przynajmniej białe opony?

Przynajmniej. Ech, ty służalczy kutasie! Tak się do mnie zwracał, żeby podbechtać mojego staruszka, ten żaloszny skurkowany łajdak, złodziejskie nasienie! Kim ty, do cholery, jesteś, żebyś się tak sadził - pieprzonym sprzedawcą Kaisera-Frasera! Gdzie jesteś teraz, nachalny skurwysynu?

- Nie, dziękuję za białe opony - mamrocze upokorzony ojciec, a ja tylko wzruszam ramionami speszony, że nie potrafi zapewnić mnie i mojej rodzinie pięknych rzeczy w życiu.

Mniejsza o to - jechał Kaiserem bez radia i bez białych opon do pracy, gdzie wpuszczala go sprzątaczką. Pytam się, dlaczego właśnie on musiał co rano podnosić rolety w biurze? Dlaczego akurat jemu przypadał najdłuższy dzień pracy agenta ubezpieczeniowego w dziejach tej profesji? Dla kogo? Dla mnie? No, jeżeli tak, jeżeli tak, jeżeli tu tkwi przyczyna, to ja pierdołę, nie zniosę tego dłużej. Zaszła jakaś tragiczna pomyłka! Dla mnie? Zrób mi tę przyjemność i przestań to robić dla mnie! Przestań się dopatrywać w osobie Aleksa usprawiedliwienia swego życia! Bo na mnie się nie zaczyna i nie kończy świat! Nie mam zamiaru targać tego brzemienia przez resztę życia! Słyszysz? Nie mam zamiaru! Pojmij z łaski swojej, że lecę do Europy, tysiące kilometrów stąd, akurat wtedy, kiedy ty kończysz sześćdziesiąt sześć lat, gotów w każdej chwili odwalić kitę, tak jak ci wynika z lektury „Timesa”, którego czytasz codziennie z samego rana. Umierają mężczyźni w jego wieku i młodszy, przed chwilą jeszcze żyli, a za chwilę już ich nie ma, widocznie więc sądzi, że gdy tylko znajdę się po drugiej stronie Atlantyku zamiast po drugiej stronie rzeki Hudson... Co on sobie wyobraża? Że jeśli będę pod ręką, to go po prostu ominie? Że przybiegnę do niego, wezmę za rękę i w ten sposób przywrócę mu życie? Czy on naprawdę wierzy, że mam jakąś władzę nad śmiercią? Że jestem uosobieniem życia i zmartwychwstania? Mój tatuś, wcielony chrystianista! I nie zdaje sobie nawet z tego sprawy!

Jego śmierć. Jego śmierć i jego stolec - prawdę powiedziawszy, niewiele mniej się nim przejmuję niż on sam. Ilekroć przyjmuję telegram albo telefon po północy, zawsze czuję pustkę w żołądku niczym splukana muszla klozetowa i mówię sobie na głos - na głos! - „Nie żyje”. Bo ja też w to chyba wierzę, wierzę, że mogę go jakoś ocalić od zagłady - mogę i muszę! Ale dlaczego opętała nas wszystkich ta śmieszna, bezsensowna myśl, że jestem taki silny, taki ważny, taki potrzebny innym do przetrwania! Skaranie boskie z tymi żydowskimi rodzicami - bo nie jestem sam w tej łodzi, o nie, płynę w największym transportowcu po wodach świata... wystarczy zerknąć przez luki i zobaczyć, jak trzymając się kurczowo ścian koi, jęczymy i skomlemy żałośnie na swój los, smutne, załamane oczy synów żydowskich rodziców, chorych aż po skrzela od tej tułaczki przez zgęstniałe morza winy - tak sobie czasem wyobrażam siebie i swoich towarzyszy niedoli, czy to osowiałych, czy przemądrzałych, gdy tak podróżujemy ciągle w najtańszej klasie, na wzór naszych przodków, chorzy, aż nam trzewia wywraca, i coraz to któryś woła: - Tatusiu, jak mogłeś? - Mamusiu, dlaczegoś to zrobiła? - a te historie, jakie snujemy, kiedy wielkim statkiem kołysze i buja, wprost prześcigamy się w opowieściach, kto miał najbardziej kastracyjną matkę, kto najbardziej ciemnego ojca, przebiję cię, ty łajdaku, upokorzenie za upokorzenie, wstyd za wstyd... nudności w ubikacji po posiłkach, histeryczny, agonalny śmiech wieczorem w kojach, no i łzy - tu kałuża wyplakana ze skruchy, tam kałuża z poniżenia - raptem ciało mężczyzny (z umysłem chłopca) unosi się, żeby wymłócić w bezradnej wściekłości materac nad sobą, lecz zaraz opada, bicząc się wyrzutami. Och, moi żydowscy pobratymcy! Moi przeklinający bracia, nękanie poczuciem winy! Moje serdeńka! Moi koledzy! Czy ten pieprzony statek nigdy nie przestanie bujać? Kiedy? Kiedy? Żebyśmy przestali narzekać, jacy to jesteśmy biedni, wyszli na powietrze i zaczęli żyć!

Doktorze Spielvogel, utrwalanie poczucia winy nie przynosi ulgi, ale sprawia ból, jeszcze jaki ból, zresztą mniejsza o to, tylko jak ci żydowscy rodzice zdołali wmówić nam, żydowskim chłopcom, że jesteśmy książętami, wyjątkowymi niczym jednorożce, geniuszami, inteligentnymi i pięknymi jak nikt nigdy dotąd w dziejach dzieciństwa, zbawicielami i chodzącymi ideałami z jednej strony, a z drugiej takimi zidiociałymi nieudacznikami, bezmyślnymi, bezradnymi, samolubnymi, złośliwymi gówniarzami, małymi niewdzięcznikami?

- Ale gdzie w Europie...? - woła za mną, kiedy taksówka rusza.



- Nie wiem gdzie - wołam za nim, machając uszczęśliwiony na pożegnanie. Mam trzydzieści trzy lata i wreszcie uwolniłem się od matki i ojca! Na miesiąc.

- No to skąd weźmiemy twój adres?

- Nie weźmiecie! - Radość! Och, co za piekielna radość!

- A jeżeli w tym czasie...?

- Jeżeli co? - śmieję się. - Jeżeli co cię teraz tak gnębi?

- Jeżeli...? - O Boże, czy on naprawdę wykrzykuje to przez okno taksówki? Czy jego strach, zachłanność, potrzeba i wiara we mnie są tak silne, że naprawdę wykrzykuje te słowa na ulicy Nowego Jorku? - A jeżeli umrę? - Bo to właśnie słyszę, panie doktorze. Ostatnie słowa, jakie słyszę przed odlotem do Europy. Z Małpką - osobą, której istnienie trzymam przed nimi w absolutnej tajemnicy. - A jeżeli umrę? - i z tym pytaniem w uszach wyjeżdżam na swoje orgiastyczne wakacje za granicę.

Czy słowa, które słyszę, zostały naprawdę wypowiedziane, to zupełnie inna sprawa. I czy to co słyszę, słyszę z głębi współczucia dla niego, cierpienia z powodu nieuchronności tego strasznego zdarzenia, jego śmierci, czy też z głębi mojego gorliwego oczekiwania na nią, to jeszcze inna sprawa. Ale pan mnie chyba rozumie, to przecież dla pana chleb powszedni.

Wspominałem, że z całego samobójstwa Ronalda Nimkina najbardziej poruszył mnie jeden szczegół, znaleziona przez matkę karteczka przypięta do za luźnego kaftana bezpieczeństwa, czyli pięknie wypranej koszulki sportowej. Wie pan, co tam było napisane? Proszę zgadnąć. Jak brzmiały ostatnie słowa Ronalda do mamusi? Proszę zgadnąć.

*Dzwoniła pani Blumenthal. Przynies dzisiaj na wieczór zasady gry w mah-jonga.*

*Roland*

Co znaczy grzeczność aż do ostatka? Co znaczy kochany, troskliwy syn, posłuszny syn, dobry żydowski chłopiec, którego nikt by się nie powstydział? Podziękuj, kochanie. Powiedz „proszę”, kochanie. Przeprasz, Aleks. Przeprasz! Błagam o przebaczenie! Tak, a za co? Co ja tym razem zrobiłem? Chowam się pod łóżkiem, plecami do ściany, nie mam zamiaru przeprosić, nie mam też zamiaru wyjść i ponieść konsekwencji. Nie mam zamiaru! A ona czyha na mnie z miotłą, usiłując wymieść

moje zgniłe zwłoki spod łóżka. Cóż, cienie Gregora Samsy! Cześć, Aleks, żegnaj, Franz!

- Lepiej mnie przeproś, bo pożałujesz. Ja nie żartuję!

Mam pięć, może sześć lat, a ona grozi, jak gdyby czekał już na mnie pluton egzekucyjny i wyściełał gazetami ulicę, przygotowując się do wykonania wyroku.

Na scenę wkracza z kolei ojciec - po miłym dniu wypełnionym próbami sprzedaży polisy ubezpieczeniowej na życie Murzynom, którzy nie bardzo nawet wiedzą, że żyją, wraca do domu do żony historyczki i dziecka po przemianie, bo cóż ja takiego zrobiłem, ja - uosobienie dobroci? Niesłychane, nie do wiary, albo kopnąłem ją w kostkę, albo ugryzłem, nie chciałbym się przechwalać, ale chyba i jedno, i drugie.

- Dlaczego? - dopytuje się matka, klękając na podłodze, żeby zaświecić mi latarką w oczy. - Dlaczegoś to zrobił?

Przecież to jasne, dlaczego Ronald Nimkin porzucił swoją duszę i fortepian. BO NIE MOŻEMY JUŻ DŁUŻEJ WYTRZYMAĆ! BO WY, PIEPRZONE MATKI ŻYDOWSKIE, JESTEŚCIE WPROST NIE DO ZNIESIENIA! Czytałem esej Freuda na temat Leonarda, panie doktorze, i proszę mi wybaczyć pychę, ale moje fantazje co do joty... wielkie, obezwładniające ptaszysko bije mnie na oślep skrzydłami po twarzy, tak że nie mogę złapać tchu. Czego my chcemy - ja, Ronald i Leonardo? Żeby nam dano święty spokój! Choćby na pół godziny! Skończcie z tym nukaniem, żebyśmy byli dobrzy! Skończcie z tym nukaniem, żebyśmy byli mili! Po prostu, do diabła, zostawcie nas w spokoju, żebyśmy mogli do woli ciągnąć sobie ptaszki i myśleć po swojemu - przestańcie raz na zawsze otaczać taką świętością nasze ręce, siusiaki i buzie! Niech szlag trafi witaminy i tran! Dajcie nam tylko codziennie ciała naszego powszedniego! I wybaczone nam wykroczenia, które w ogóle nie są żadnymi wykroczeniami!

- Chcesz być takim chłopczykiem, który kopie rodzoną matkę w kostkę? - pyta ojciec. Proszę spojrzeć na jego ręce. Nigdy dotąd nie zauważyłem tych bicepsów. Może brak mu białych opon czy średniego wykształcenia, muskuły za to ma jak się patrzy. Chryste, ależ on jest zły. Tylko dlaczego? Przecież częściowo, ty szmaciarzu, kopnąłem ją za ciebie'. - Ugryzienie ludzkie jest gorsze od ugryzienia psa, wiesz o tym? Wyłaż zaraz spod łóżka! Słyszysz, skrzywdziłeś matkę gorzej, niżby to zrobił pies!

Wrzeszczy tak głośno i tak przekonująco, że siostra, zwykle łagodnego usposobienia, biegnie do kuchni, parszkając dosłownie ze strachu, i kuca między lodówką a ścianą w pozycji, którą dzisiaj nazwalibyśmy płodową. Tak to przynajmniej pamiętam

- chociaż pewno warto byłoby zapytać, skąd wiem, co się dzieje w kuchni, skoro nadal chowam się pod łóżkiem.

- Wytrzymam to ugryzienie, przeżyję jakoś to kopanie po kostkach - jej miotła nadal usiłuje mnie wypłoszyć z mojej pieczary - ale co pocznę z dzieckiem, które nie chce nawet przeprosić? Nie przeprosi nawet rodzonej matki i nie obieca, że to się nigdy więcej nie powtórzy! Tatusiu, co pocniemy z takim chłopcem we własnym domu? Czy ona żartuje? Czy też mówi poważnie? Może powinna wezwać policję i wysłać mnie do więzienia dla dzieci, skoro jestem taki niepoprawny?

- Aleksandrze Portnoyu, lat pięć, skazuję cię niniejszym na śmierć przez powieszenie za odmowę przeprosin własnej matki.

Człowiek gotów pomyśleć, że dziecko chlepczące mleko i kąpiące się z kaczką i łódeczkami w wannie to najbardziej poszukiwany zbrodniarz w całej Ameryce. Tymczasem u nas w domu rozgrywa się farsowa wersja *Króla Leara*, ze mną w roli Kordelii! Przez telefon wiecznie mówi każdemu, kto tylko nie słucha po drugiej stronie, że zna swój największy błąd, jest mianowicie za dobra. Bo na pewno nikt jej nie słucha, na pewno nikt tam nie kiwa głową i nie zapisuje w notatniku tych oczywistych, egotycznych, szalonych bredni, które nawet przedszkolak przejrzałby na wylot.

- Wiesz, Rose, na czym polega mój największy błąd? Głupio mi tak o sobie mówić, ale jestem za dobra.

To jej własne słowa, panie doktorze, utrwalone przez te wszystkie lata na magnetofonie mojego umysłu. I nadal mnie dobijają! Informacje, które owe panie, Rose, Sophie, Goldie czy Pearis, przekazują sobie codziennie nawzajem!

- Wszystko z siebie daję innym - oświadcza z westchnieniem - a w zamian dostaję w zęby... moim błędem jest to, że chociaż co i rusz obrywam, nie umiem przestać być dobra.

Sraty taty, Sophie, spróbuj tylko, może byś raz spróbowała? Może tak byśmy wszyscy spróbowali! Bo, żeby być złym, mam, też trzeba stoczyć ze sobą prawdziwą walkę: żeby być złym i dobrze się z tym czuć! Na tym polega magiczna przemiana chłopca w mężczyznę, mam. Ale co moje tak zwane sumienie zrobiło z moim seksem, spontanicznością i odwagą! Mniejsza o inne rzeczy, z którymi usiłuję sobie poradzić... bo fakt faktem, że sobie nie radzę. Jestem usiany od stóp do głów represjami niczym mapa samochodowa. Można przemierzać moje ciało wzdłuż i wszerz po autostradach

wstydu, nieśmiałości i lęku. Widzisz, mamó, ja też jestem za dobry, za moralny, że o mało co nie wybuchnę, zupełnie tak samo jak ty! Widziałaś kiedyś, żebym palił papierosa? Wyglądam jak Bette Davis. Dzisiaj chłopcy i dziewczęta jeszcze przed przystąpieniem do bar micwy żują marihuanę, jakby to był miętowy cukierek, a ja nie mam zielonego pojęcia, jak smakuje Lucky Strike. Taki jestem grzeczny, mamusiu. Nie umiem palić, prawie nie piję, nie zażywam narkotyków, nie pożyczam pieniędzy ani nie gram w karty, nie potrafię skłamać, żebym się przy tym nie spocił, jak gdybym przejeżdżał przez równik. Co prawda często używam słowa „pierdolić”, ale zapewniam cię, że na tym się kończy moja zdolność do grzechu. Zobacz, jak postąpiłem z Małpką - odstawiłem ją, uciekłem od niej przerażony, chociaż odkąd pamiętam, marzyłem o takiej dupie. Dlaczego nie stać mnie nawet na najdrobniejsze odstępstwo od normy? Dlaczego najmniejsza dewiacja od szanownych konwencji przyprawia mnie o takie piekło duszy? Przecież nienawidzę tych pierdolonych konwenansów! Przecież wyrosłem już z tych tabu! Doktorze, drogi doktorze, co pan na to: NIECH ŻYD ODZYSKA SWOJE ID! Proszę wyzwolić libido tego grzecznego żydowskiego chłopca, błagam pana! Proszę podnieść cenę, jeśli pan musi, zapłacę ile będzie trzeba! Już starczy tego drżenia ze strachu w obliczu dogłębnych, mrocznych przyjemności! Mamó, mamó, na kogo ty mnie chciałaś wychować, na żywego trupa jak Ronald Nimkin? Co ci strzeliło do głowy, że najbardziej mi się przyda w życiu posłuszeństwo! Taki mały dżentelmen, co? Spośród wszystkich możliwości istoty pełnej pragnień i żądz!

- Aleks - mówisz, gdy wychodzimy z baru Weequahic, lecz proszę mnie źle nie zrozumieć, oczywiście połykam haczyk, pochwała to pochwała, toteż rzucam się na nią, skądkolwiek pochodzi - Aleks - a ja słucham wystrojony w przypinany krawat i dwurzędową marynarkę - tak ślicznie kroileś mięso, tak ślicznie jadłeś kartofla w folii i nie wylałeś masła ze środka, że gotowa cię byłam pocałować, nigdy nie widziałam takiego małego dżentelmena z serwetką na kolanach!

Zboczeńca, mamó. Zobaczyłaś małego zboczeńca - zgodnie z tym, co twój program dydaktyczny miał wyprodukować. Jasne! Jasne! Zagadka polega nie tyle na tym, że nie jestem trupem jak Ronald Nimkin, ile że odstaję od tych wszystkich młodzieńców, których widuję, jak w sobotę rano spacerują trzymając się za ręce po domu towarowym Bloomingdale. Mamó, na plaży Fire Island aż rojno od ciał grzecznych żydowskich chłopców w spodenkach kąpielowych, wysmarowanych olejkim Bain de Soleil, w restauracjach również pełno takich małych dżentelmenów,

którzy na pewno także pomagali swoim mamusiom układać kostki mah-jonga, kiedy panie zebrały się w poniedziałek wieczór do gry. Chryste Panie! Po tych wszystkich latach układania kostek - jedna, bam! dwie, buch! mah-jong! - że też w ogóle dotarłem do świata piczki, to dopiero zagadka. Przymykam powieki i bez większego trudu wyobrażam sobie, że zajmuję jeden domek na plaży Ocean Beach z kimś, kto ma wymalowane oczy, a na imię - Sheldon.

- Do diabła, Shelly, to twoi przyjaciele, sam sobie upiecz czosnkowy chleb.

Mamo, ci twoi mali dżentelmeni wyrosli na dorosłych ludzi i wylegują się teraz na lawendowych ręcznikach kąpielowych, w swoim zafajdanym narcyzmie. Właśnie, oj Gut, jeden woła do mnie!

- Aleks? Królu Aleksandrze? Skarbie, widziałeś, gdzie położyłem estragon?

Oto on, mamusiu, twój mały dżentelmen, całuje w usta osobnika imieniem Sheldon! Bo tamten świetnie przyprawia potrawy.

- Wiesz, co wyczytałam w „Cosmopolitanie”? - pyta matka ojca. - Że wśród kobiet też się zdarza homoseksualizm.

- Coś ty - mruczy tata niedźwiedź - co to za idiotyzmy, co to za świństwa?

- Jack, daj spokój, przecież sobie tego nie wymyśliłam, przeczytałam w „Cosmo”! Pokażę ci ten artykuł!

- Coś ty, drukują takie brednie, żeby przyciągnąć czytelników...

Mamusiu! Tatusiu! Zdarzają się nawet gorsze rzeczy - są ludzie, którzy pierdolą kurwy! Są faceci, którzy rzną nieboszczyków! Nie wyobrażacie sobie, jak niektórzy ludzie reagują na te piętnaste- i dwudziestoletnie wyroki, skazani zgodnie z ideą „dobra” jakichś pomyślników! Jeśli więc kopnąłem cię w kostkę, mamele, jeżeli wsadziłem ci zęby w przegub aż do kości, powinnaś się tylko cieszyć! Bo zatrzymałem to wszystko w sobie, wierz mi, ty też mogłabyś wrócić do domu i znaleźć trupa przyszczatego młodzieńca dyndającego na pasku ojca nad wanną. Co gorsza, zeszłego lata, zamiast odprawiać sziwę za syna lecącego do dalekiej Europy, mogłabyś siedzieć przy obiedzie w moim letniskowym domku na Fire Island - ty z ojcem, ja i Sheldon. A jeśli pamiętasz, jak twoje kiszki zareagowały na gojowskiego homara, pomyśl, jak byś się czuła usiłując strawić *sauce bearnaise* Shelly'ego.

Do rzeczy.

Co za pantomimę musiałem owego wieczoru odegrać, żeby zdjąć z siebie nylonową wiatrówkę i ułożyć ją na brzuchu, aby zakryć swojego członka, którego obnażyłem aż do części pierwszych. Wszystko z powodu tego kierowcy, w którego polskich rękach spoczywał mój los, wystarczyło, żeby włączył lampki nad siedzeniami, a w jednej chwili zniweczyłby piętnaście lat porządnych zeszytów, dobrych stopni, mycia zębów dwa razy dziennie i starannego płukania owoców przed jedzeniem... Ale tu gorąco! O, rany, jak gorąco! Kurczę, chyba zdejmę kurtkę i ułożę ją równiutko w kostkę na podolku... Tylko, co ja robię! Dzień dla Polaka, jak mnie uczył ojciec, nie liczy się, jeżeli swoimi wielkimi, głupimi nożyskami nie zdepcze kości Żyda. Dlaczego podejmuję takie ryzyko przed najgorszym wrogiem? Co ze mną będzie, jeśli mnie złapią!

W połowie tunelu coś mnie napada, żeby bezszelestnie rozpiąć suwak... i on znów tam jest, znów wyskakuje, jak zwykle nabrzmiały, buchający żądaniami, niczym skretyniały wielkogłowy potwór, unieszczęśliwiający rodziców swoimi prostackimi, nienasyconymi pragnieniami.

- Spuść mnie - żąda ów jedwabisty potwór.

- Tu i teraz?

- Oczywiście, że tu i teraz. Kiedy, twoim zdaniem, nadarzy się druga taka okazja? Nie widzisz, co za dziewczyna śpi obok ciebie? Spójrz tylko na jej nos.

- Jaki nos?

- Sam widzisz... prawie niezauważalny. Spójrz na jej włosy, jak z kołowrotka. Pamiętasz „len”, o którym uczyłeś się w szkole? To właśnie ludzki len! Szmondaku, to jest prawdziwy towar. Sziksa! I to śpiąca! Chyba że tylko udaje, nie można tego wykluczyć. Udaje, ale mruczy pod nosem: „No, duży chłopczyku, zrób ze mną wszystkie te świństwa, o których zawsze marzyłeś”.

- Naprawdę?

- Kochasiu - szczebiocz mój kutas - pozwól, że wymienię choć kilka świństw, które ona chce, żebyś zrobił na początek: po pierwsze, chciałaby, żebyś dotknął jej twardych gojowskich cyczków.

- Naprawdę?

- Chce, żebyś wyruchał palcem jej gojowską pizdę, aż zemdleje.

- O, Boże. Aż zemdleje!

- Szansa, która może się więcej nie powtórzyć. Do końca życia.

- No właśnie, tylko czy dużo mi jeszcze zostało do końca? Nazwisko kierowcy składa się z samych iksów i igreków... jeżeli ojciec ma rację, ci Polacy pochodzą w prostej linii od wołu!

Ale kto kiedy wygrał ze wzwodem? *Wen der puc sztejt. ligt der sechel in drerd.* Zna pan to słynne przysłowie? Kiedy członek staje, rozum zapada się pod ziemię! Kiedy członek staje, rozum przestaje być wart funta kłaków! I to prawda! Skacze do góry, niczym pies przez obręcz, prosto w obrączkę palca środkowego, wskazującego i kciuka, którą w tym celu przygotowałem. Trzypalcowa ręczna robótka z ruchem posuwistym od spodu, staccato po centymetrze - to najlepszy wariant na autobus, nylonowa wiatrówka będzie wtedy (miejmy nadzieję) najmniej podskakiwać i drzeć. Taka technika wymaga, oczywiście, zaniedbania wrażliwego koniuszka, ale życie składa się przecież z wyrzeczeń, a samokontrola jest faktem, na który nawet największy fanatyk seksu nie może przymykać oczu.

Trzypalcowa ręczna robótka to mój pomysł na masturbację w miejscach publicznych - zastosowałem ją już w domu burleski „Empire” w centrum Newark. Pewnego niedzielnego ranka - za przykładem Smolki, mojego Tomka Sawyera - wychodzę z domu na boisko szkolne, pogwizduję i niosę rękawicę do baseballu, a kiedy nikt nie patrzy (w co trudno wprost uwierzyć), wskakuję do pustego autobusu linii 14 i przez całą drogę siedzę skulony. Może pan sobie wyobrazić tłum wokół domu burleski w niedzielę rano.

Śródmieście Newark jest wyludnione niczym Sahara, pominąwszy tłumek wokół „Empire”, który wygląda jak załoga statku rażonego szkorbutem. Czy ja oszalałem, że się tam pcham? Bóg raczy wiedzieć, jaką chorobę złapię na tych siedzeniach!

- Włóż do środka, pierdol choroby - podpowiada ów świrus, który przemawia do mikrofonu moich spodenek gimnastycznych - nie rozumiesz, co tam zobaczysz? Babską kuciapę.

- Kuciapę?

- To jej cacko, kapujesz, rozgrzane, mokrutkie, gotowe na wszystko.

- Ale dostanę syfa, jak tylko dotknę biletu. Złapię go na podeszwy tenisówek i przytaszczę do domu. Jakiemuś wariatowi odbije szajba i zadżga mnie na śmierć za trojanekę w moim portfelu. A jak przyjdą gliny? Zaczną wymachiwać pistoletami... ktoś

rzuci się do ucieczki... i zastrzelą mnie przez pomyłkę! Bo jestem nieletni. A jak mnie zabiją albo, co gorsza, aresztują! Co na to moi rodzice?

- Chcesz zobaczyć cipę czy nie chcesz?

- Chcę, pewno, że chcę!

- Jest tam taka kurwa, mały, co pierdoli kurtynę gołą piczą.

- Co tam, najwyżej złapię syfa! Najwyżej zgnije mi mózg i spędzę resztę życia w wariatkowie, grając w piłkę własną kupą... tylko co będzie, jak zamieszczą moje zdjęcie w „Dzienniku Wieczornym Newark”! Kiedy gliny zapalą światła i zawołają: „Nie ruszać się, gnoje, policja!”... co będzie, jak błysną flesze? I wpadnę, ja, prezes Klubu Przyjaźni Międzynarodowej już w drugiej licealnej! Ja, prymus, który przeskoczył dwie klasy w podstawówce! W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym kazałem całej mojej ósmej klasie odmówić uczestnictwa w dorocznym konkursie na esej patriotyczny pod auspicjami Cór Rewolucji Amerykańskiej, bo zabroniono Marian Andersen śpiewać w Gmachu Zjazdów. Byłem i nadal jestem tym dwunastolatkiem, którego w uznaniu za śmiałe wystąpienie przeciwko bigotom i nienawiści zaproszono do Domu Essex w Newark, żebym wziął udział w zgromadzeniu Komitetu Działalności Politycznej Kongresu Związków Przemysłowych, gdzie wszedłem na podium i uściśnąłem rękę doktorowi Frankowi Kingdonowi, sławnemu felietoniście, którego codziennie czytuję w prasie! Jak mogę rozważać pójście do domu burleski z tymi wszystkimi degeneratami, żeby zobaczyć jakąś sześćdziesięcioletnią staruchę, która udaje, że kocha się ze strzępem zasłony, skoro na scenie sali balowej Domu Essex sam doktor Frank Kingdon uściśnął mi rękę, a kiedy cały Komitet Działalności Politycznej powstał, żeby nagrodzić oklaskami mój sprzeciw wobec Cór Rewolucji, doktor Kingdon zwrócił się do mnie: - Młody człowieku, dziś zobaczysz tutaj, jak się tworzy demokrację. - Już wtedy razem ze swoim przyszłym szwagrem, Mortym Feibishem, chodziłem na spotkania Komitetu Weteranów Amerykańskich. Pomagałem Morty'emu, który jest prezesem do spraw członkowskich, ustawiać rzędy krzeseł na zebrania oddziału. Czytałem powieści *Obywatel Tom Parne* Howarda Fasta, *Patrząc wstecz* Bellamy'ego i *Finniey Wren* Philipa Wylie. Razem z siostrą i Mortym słuchałem płyty z nagraniem marszów wojskowych w wykonaniu znakomitego chóru Armii Czerwonej. Rankin, Bilbo, Martin Dies, Gerald L. K. Smith i ojciec Coughlin, wszyscy ci skurwysyni faszyci to moi wrogowie.



No więc co, na miły Bóg, robię na bocznym krześle w domu burleski, onanizując się w rękawicę baseballową? A jeśli dojdzie do użycia siły? A jeśli tam są zarazki?

Tak, tylko co będzie, jeśli później, po spektaklu, ta z ogromnymi cycami, co będzie, jeśli... W sześćdziesiąt sekund wyobrażam sobie rozkoszne życie na dnie upadku moralnego, które prowadzimy razem na sznelowej kapie łóżka w obskurnym pokoju hotelowym, ja (wróg Przodującej Ameryki) i Sam Cymesik, jak nazywam w myślach kurwę o najbardziej kurewskim wyglądzie w całym balecie. Co to za życie pod gołą żarówką (HOTEL świeci tuż za oknem). Wsadza mi na kutasa babeczki pełne czekolady z białym kremem w środku, a następnie zjada je ze mnie, płatek po płatku. Wylewa syrop klonowy z puszki, po czym zlizuje go z moich wrażliwych jąder do czysta, aż błyszczą jak u niemowlaka. Jej ulubiona linijka prozy angielskiej to małe arcydziełko: - Pierdol mnie, ty Pistolecte, aż padnę. - Gdy puszczam bąka do wanny, ona klęka nago na kafelkowej posadzce, przechyla się i całuje bąbelki. Siada mi na ptaku, kiedy siedzę na sedesie, wkłada mi do buzi sutkę wielkości pomadki, i przez cały czas szepcze mi jadowniczo do ucha wszystkie brzydkie słowa, jakie zna. Trzyma w buzi kostki lodu, aż zamarzają jej wargi i język, robi mi minetę, po czym przerzuca się na gorącą herbatę! Cokolwiek kiedykolwiek przyszło mi do głowy, ona też wymyśliła i gotowa jest zrobić. Największa kurwa wszechczasów. I w dodatku moja! - Och, Cymesiku, już dochodzę, ty pieprzona dziwko - i tak oto zostaję pierwszym człowiekiem, który miał wytrysk do rękawicy baseballowej w domu burleski „Empire” w Newark. Może zresztą nie pierwszym.

Ważnym rekwizytem „Empire” są kapelusze. Za przejściem między rzędami pięćdziesiąt lat starszy ode mnie, podobny nałogowiec spuszcza się w kapelusz. We własny kapelusz, panie doktorze! Oj, niedobrze mi. Zbiera mi się na płacz. Tylko nie w kapelusz, ty chuju, musisz go potem włożyć na głowę! Musisz go włożyć, wyjść na ulicę i przejść przez cały Newark, z czołem ociekającym spermą. Jak ty zjesz obiad w tym kapeluszu!

Co za upokorzenie, kiedy ostatnia kropla ścieka do rękawicy. Ogarnia mnie niebywała depresja, nawet mój kutas się wstydzi, bo ani słowem nie piśnie, kiedy wychodzę z domu burleski, łąjąc się srodze i jęcząc na głos: - O, nie, nie - zupełnie jak facet, który naraz poczuł, że cała jego buta pośliznęła się na psim gównie - właściwie obcas buta, ale dobry i taki kalambur, co tam, co tam... Ach! Okropność! Do kapelusza, rany boskie! *Wen der puc sztejt! Wen der puc sztejt!* Do kapelusza, który potem nosi na głowie!

Właśnie sobie przypomniałem, jak matka uczyła mnie odlewać się na stojąco! Niech pan dobrze słucha, może to informacja, na którą czekaliśmy, klucz do tego, co ukształtowało mój charakter, co skazało mnie na tę niedolę, gdyż targają mną namiętności sprzeczne z sumieniem i sumienie sprzeczne z namiętnościami. Proszę posłuchać, jak się uczyłem sikać do muszli jak dorosły.

Stoję nad krążkiem wody, mój dziecinny ptaszek sterczy zgrabnie do przodu, a mamusia siedzi obok sedesu na brzegu wanny, jedną ręką manipuluje przy kranie (skąd ciurka strumyk, który mam ponoć naśladować), drugą zaś łaskocze mnie w kroku. Powtarzam: *łaskocze mnie w krocze!* Pewno sądzi, że w ten sposób spowoduje wytrysk cieczy, i powiem panu, że ta kobieta się nie myli.

- Zrób ładne, psi psi, bubele, zrób ładne siusiu dla mamusi - podśpiewuje mama, tymczasem co robi jej ręka na moim prąciu, nic tylko przesądza o mojej przyszłości! Niech pan pomyśli! Co za groteska! Formuje się charakter człowieka, rozstrzyga się jego los... och, czy to zresztą wiadomo... W każdym razie może powinien pan wiedzieć, że w obecności drugiego mężczyzny po prostu nie umiem się odlać. Po dziś dzień. Nawet kiedy mam pęcherz powiększony do rozmiaru arbuza, jeżeli ktoś nadejdzie, zanim tryśnie fontanna (chce pan wszystko słyszeć, proszę bardzo, mówię bez ogródek), no więc to było w Rzymie, panie doktorze, Małpka i ja poderwaliśmy zwykłą ulicznicę i poszliśmy z nią do łóżka. No, nareszcie wydusiłem to z siebie. Musiało trochę potrwać.

A jeszcze w autobusie, wracając do autobusu, co mi przeszkodziło wtedy w opryskaniu ręki śpiącej gojki - nie mam pojęcia. Pan uważa, że zdrowy rozsądek? Wrodzona uczciwość? Doszła do głosu moja, tak zwana, trzeźwość umysłu? W takim razie gdzie była trzeźwość umysłu owego popołudnia, kiedy wróciłem ze szkoły do domu i zobaczyłem, że matka wyszła, a w lodówce leży wielki, purpurowy kawał surowej wątróbki? Przyznałem się już chyba do wątróbki, którą kupiłem u rzeźnika i wyjebałem za słupem ogłoszeniowym w drodze na lekcję przed bar micwa. Chciałbym, Wasza Wielbność, wyznać całą prawdę. Ta... to... nie był mój pierwszy kąsek. Pierwszego kąska zakosztowałem w zaciszu własnego domu, owinąwszy go sobie na kutasie w łazience pół do czwartej... a następnie pół do piątej na widelcu razem z innymi nieszczęsnymi, nie nie podejrzewającymi członkami rodziny.

Uff. Teraz wie już pan o mnie najgorsze. Przejechałem obiad swojej rodziny.

Chyba że podziela pan zdanie Małpki, że najbardziej haniebnym przestępstwem w całej mojej karierze było porzucenie jej w Grecji. A drugim co do haniebnosci czynem - wprowadzenie jej w Rzymie do triumwiratu. W jej opinii - ładna mi opinia, nie ma co! - tylko i wyłącznie ja ponoszę odpowiedzialność za ów *menagé*, bo jestem osobą silniejszą i z natury bardziej moralną.

- Też mi humanitaryzm! - woła. - Do twoich obowiązków należy ochrona biedoty przed właścicielami domów! Dałeś mi do czytania USA DOS Passosa! Tyś mnie podpuścił, żebym wzięła formularz na uniwersytet Hunter! Przez ciebie szarpię się, żeby być kimś więcej niż czyjąś głupią cipą! A tu raptem traktujesz mnie, jakbym była garbem, który można wykorzystać, wykorzystać do wszelkich zboczonych figli-migli, jakich tylko zechcesz, i ty masz niby być tym wielkim intelektualistą! Co to występuje w pieprzonych kursach telewizyjnych!

Widzi pan, zdaniem Małpki moja misja polegała na wyciągnięciu jej z otchłani frywolności i zepsucia, perwersji, zdiczenia i lubieżności, w które przez całe życie bez skutku usiłowałem się porządnie zagłębić - mam ją ocalić od tych pokus, którym przez wiele lat starałem się ze wszystkich sił ulegać! Zapomina przy tym, że ona sama fantazjowała w łóżku na temat tego układu nie mniej gorliwie niż ja. Panie doktorze, pytam pana, kto pierwszy podsunął tę propozycję? Począwszy od naszego pierwszego spotkania, kto kogo kusił perspektywą innej kobiety we wspólnym łóżku? Proszę mi wierzyć, nie próbuję oczyścić się z brudu - przeciwnie, staram się w nim wytarzać! - ale musimy mieć całkowitą jasność, pan i ja, jeśli już nie ona, że tę pożałowania godną neurotyczkę, prowincjonalną, rozkręconą pindę trudno uważać za moją ofiarę. Po prostu nie dam się nabrać na te brednie! Ma trzydzieści lat, chce wziąć ślub, zostać matką, być panią domu i mieszkać z mężem (zwłaszcza że najbardziej opłacalne lata wspaniałej kariery ma już za sobą), ale jeżeli nawet ubzdurzyła sobie, że padła ofiarą oszustwa i wyzysku (trudno jej odmówić racji, patrząc z perspektywy na jej życie), niby dlaczego ja miałbym dać sobie zrobić kuku. Nie moja wina, że ma trzydzieści lat i jest panną. Nie ja ją zabrałem na swoją odpowiedzialność z górniczych okolic zachodniej Wirginii, nie ja jej kazałem iść do łóżka z tamtą kurwą! Fakt pozostaje faktem, że Małpka sama wychyliła się z wynajętego samochodu i zwracając się elegancko po włosku, wytłumaczyła tamtej prostytutce, o co nam chodzi i ile jesteśmy gotowi jej za to zapłacić. Ja tylko siedziałem za kółkiem, trzymając nogę na pedale gazu, niczym kierowca gotów do ucieczki, bo taki zresztą mój los... I, proszę mi wierzyć, kiedy prostytutka usiadła na tylnym siedzeniu, pomyślałem „nie”, a w hotelu,

kiedy udało się przemyścić ją przez bar do naszego pokoju, znów pomyślałem „nie”. Nie! Nie! Nie!

Nawet była niebrzydka, ta prostytutka, trochę za pulchna, ale miała niewiele ponad dwadzieścia lat, miłą, pełną jak księżyc twarz... no i wprost nie z tej ziemi biust. Dlatego ją w ogóle zaczepiliśmy, jeżdżąc wolno tam i z powrotem po Via Veneto, lustrując paradujący towar. prostytutka, imieniem Lina, zdjęła sukienkę na stojąco na środku pokoju; pod spodem miała gorset „wesoła wdówka” - z jednego końca wylewały się piersi, a z drugiego wyzierały nader krągłe biodra. Zdziwił mnie ten strój i jego teatralność, ale wówczas dziwiło mnie wszystko, zwłaszcza to, że zrealizowaliśmy swój pomysł po tylu miesiącach gadania na ten temat.

Małpka wyszła z łazienki w swojej kusej haleczce (zwykle ten widok bardzo mnie podniecał, kremowa jedwabna halka okrywająca piękną Małpkę), a ja tymczasem zdążyłem się rozebrać i siedziałem nago na brzegu łóżka. Fakt, że Lina nie mówiła słowa po angielsku, potęgował tylko odczucie narastające i przepływające między Małpką a mną, coś w rodzaju ukrytego sadyzmu - mogliśmy porozumiewać się ze sobą, wymieniać sekrety i plany, niezrozumiałe dla prostytutki, z kolei ona i Małpka mogły szeptać po włosku, a ja nie miałem pojęcia, co tam mówią czy knują... Lina odezwała się pierwsza i Małpka zaraz przetłumaczyła.

- Mówi, że masz dużego.

- Na pewno wszystkim mówi to samo.

I stały tak w białiznie patrząc na mnie wyczekująco. Ja również czekałem. Czeką też moje walące serce. Spełniło się wreszcie, dwie kobiety i ja... no i co teraz? Widzi pan, wciąż mówiłem sobie „nie”!

- Pyta - powiedziała Małpka, kiedy Lina odezwała się po raz drugi - od czego signore życzy sobie, żeby zaczęła.

- Signore - odparłem - życzy sobie, żeby zaczęła od początku...

Ach, cóż za sprytna odpowiedź, i taka nonszalancka, tyle że nadal siedzimy bez ruchu, ja i mój wzwód, cali nadzy, nie wiedząc, gdzie się podziać. W końcu Małpka nas rozruszała. Podeszła do Liny, od której była wyższa o głowę (Boże, czy ona mi nie wystarcza? Naprawdę nie zaspokajają moich potrzeb? Ile ja mam kutasów?) i wsadziła prostytutce rękę między nogi. Wyobrażaliśmy to sobie wcześniej we wszystkich możliwych wariantach, przez wiele miesięcy marzyliśmy o tym na głos, a mimo to głupieję na widok palca środkowego Małpki znikającego w pochwie Liny.

Najlepiej chyba określić stan, w którym się znalazłem, jako jedną wielką krzątaninę. Ale się uwijałem! Miałem pełne ręce roboty. Ty tu, a ja tam - dobra, teraz ty tam, a ja tu - dobra, teraz ona na dół, ja na górę, a ty się trochę przekręć... i tak w kółko, panie doktorze, aż do mojego trzeciego i ostatniego orgazmu. Małpka leżała wtedy na łóżku na wznak, ja z pupą wypiętą do żyrandola (i do aparatów fotograficznych, jak pomyślałem przelotnie) - a w środku, z cyckami w buzi Małpki, leżała nasza prostytutka. W czyją dziurę, w którą dziurę spuściłem swój ostatni ładunek, trudno doprawdy powiedzieć. Może pod koniec wypierdoliłem jakąś soczystą, aromatyczną kombinację ociekającego futerka Włoszki, tłustych amerykańskich pośladków i całkowicie zbezczeszczonego prześcieradła. Po czym wstałem, poszedłem do łazienki i tam, powinno się to panu spodobać, zwróciłem cały obiad. Omal nie wyrzygałem kiszek, mamó, do muszli klozetowej. Jak przystało na grzecznego chłopca.

Kiedy wyszedłem z łazienki, Małpka i Lina spały w swoich ramionach.

Rozpaczliwe szlochy Małpki, wyrzuty i oskarżenia zaczęły się tuż potem, kiedy Lina ubrała się i wyszła. To ja ją sprowadziłem na złą drogę.

- Ja? To tyś wsadziła jej palec w dziurę i zaczęłaś całą zabawę! Tyś ją, do kurwy nędzy, pocałowała w usta!

- Bo jak już coś robię - wrzeszczała Małpka - to robię! Co wcale nie znaczy, że mam ochotę! - I wtedy, panie doktorze, zaczęła mi wymyślać, że za mało bawiłem się cyckami Liny! - Wciąż tylko gadasz i myślisz o cyckach! O cyckach innych bab! Ja mam takie małe, a wszystkie inne, które widzisz, mają takie wielkie, no więc dostałeś wreszcie te swoje ogromne cyce, i co? I nic!

- Nic to przesada, Małpko, prawdę mówiąc, nie zawsze mogłem ci je wyrwać...

- Nie jestem lesbijką! Nie waż się nazywać mnie lesbijką! Bo jeśli nią jestem, to twoja zasługa!

- O Boże, tylko nie to!

- Zrobiłam to dla ciebie, tak, a teraz mnie za to nienawidzisz!

- W takim razie już nigdy nie będziemy robić tego dla mnie, zgoda? Skoro się to, do cholery, kończy takim oplakany skutkiem!

Ale nazajutrz wieczorem przy kolacji u Ranieriego oboje napaliliśmy się na siebie jak w pierwszych dniach romansu, Małpka w pewnym momencie wyszła do toalety i wróciła do stołu z palcem pachnącym piczką, który podniosłem do ust, żeby

wąchać go i całować, nim podano główne danie, a po kilku koniakach u Doneya znów zagadaliśmy Linę na posterunku i zabraliśmy ją do hotelu na drugą rundę. Tyle że tym razem sam wysuplałem Linę z bielizny i wszedłem na nią, zanim Małpka wróciła z ubikacji do sypialni. Jak już, to już, pomyślałem. Raz kozie śmierć! Idę na całość! I tym razem bez wymiotów! Nie jesteś już w ogólniaku Weequahic! Nie jesteś nawet w pobliżu New Jersey!

Kiedy Małpka wyszła z łazienki i zobaczyła, że bal już się rozkręcił, nie była zbyt zadowolona. Usiadła na brzegu łóżka, z twarzą ściągniętą bardziej niż zwykle, i odrzuciła zaproszenie do zabawy, tylko przyglądała się bez słowa, aż ja dostałem orgazmu, a Lina skończyła udawać swój. Wtedy posłusznie - naprawdę w miłym geście - Lina sięgnęła ręką między długie nogi mojej kochanki, ale Małpka ją odepchnęła, odeszła na bok i skuliła się w fotelu pod oknem. Wtedy Lina - osoba niezbyt wrażliwa na konflikty międzyludzkie - położyła się obok mnie na poduszce i zaczęła opowiadać o sobie. Zmorą jej życia były skrobanki. Miała jednego syna, z którym mieszkała na Monte Mario („w pięknym nowym bloku” - przetłumaczyła Małpka). Niestety w tej sytuacji nie mogła sobie pozwolić na więcej niż jedno - „choć kocha dzieci” - toteż wciąż odwiedza gabinet przerywania ciąży. Jedynej jej środkiem zapobiegawczy to pianka plemnikobójcza, nie gwarantująca bezpieczeństwa.

Trudno mi było uwierzyć, że nigdy nie słyszała ani o diafragmie, ani o pigułce antykoncepcyjnej. Kazałem Małpce powiedzieć jej o nowoczesnych środkach antykoncepcyjnych, które pewno mogłaby zdobyć bez większego zachodu. Moja partnerka skrzywiła się. prostytutka wysłuchała, ale odniosła się sceptycznie. Zrobiło mi się bardzo przykro, że tak lekceważy własne dobro (tam na łóżku, kiedy przeczesywała mi palcami mokre włosy łonowe). Do licha, cały ten Kościół katolicki, pomyślałem...

Zatem kiedy wyszła od nas owego wieczoru, miała nie tylko piętnaście tysięcy lirów w torebce, lecz również miesięczny zapas proszków Małpki, które jej sam dałem.

- Też mi zbawiciel! - krzyczała Małpka po wyjściu Liny.

- A co, chcesz, żeby co drugi tydzień latała na skrobanke? Nonsens!

- Co mnie ona obchodzi! - wołała Małpka tonem, który przechodził w chamski i złośliwy. - Przecież to kurwa! A tyś ją tylko chciał wypierdolić! Nie mogłeś nawet poczekać, aż wyjdę z łazienki! Po czym dałeś jej moje proszki!

- Co to ma znaczyć? Co chcesz przez to powiedzieć? Jedyne rzecz, którą nie zawsze masz na pokaz, Małpko, to dar zwykłego myślenia. Dar szczerości, owszem, ale myślenia, nie!

- No to mnie rzuć! Masz, czego chciałeś! Rzuć mnie!

- Może tym się to skończy!

- Dla ciebie jestem i tak tylko dziwką jak ona! Ty, z tymi swoimi wielkimi słowami i kretyńskimi świętymi ideałami, jestem w twoich oczach tylko pizdą, lesbijką i kurwą!

Mniejsza o walkę. To nudny temat. Niedziela - wychodzimy z windy, i kto stoi we frontowych drzwiach hotelu jak nie nasza Lina z siedmio- czy ośmioletnim synem, małym tłuscioszkiem jak z alabastru, ubranym w koronki i aksamit, na nogach lakierki. Lina ma rozpuszczone włosy, a w ciemnych oczach, prosto z kościoła, znajome włoskie skruszone spojrzenie. Naprawdę sympatyczna dziewczyna. Urocza osoba (nie mogę się oprzeć temu wrażeniu!). Przyszła, żeby się pochwalić swoim bambino. Przynajmniej tak to wygląda.

Wskazując na chłopczyka, mówi szeptem Małpce:

- *Molto elegante, no?*

Po czym odprowadza nas do samochodu, i kiedy dzieciak jest zajęty uniformem odzwiernego, proponuje, żebyśmy wpadli do niej po południu na Monte Mario, to zabawimy się wspólnie z jeszcze jednym mężczyzną. Ma przyjaciela - mówi - proszę pamiętać, że słucham tego wszystkiego przez tłumaczkę - ma przyjaciela, który na pewno, jak twierdzi, chętnie wypierdoli signorinę. Widzę, jak łzy spływają spod ciemnych okularów Małpki, nawet wtedy, kiedy zwraca się do mnie:

- To co mam jej odpowiedzieć: tak czy nie?

- Oczywiście, że nie.

Małpka zamienia kilka słów z Liną, po czym znów odzywa się do mnie:

- Ona mówi, że nie za pieniądze, tylko za...

- Nie! Nie!

Placze przez całą drogę do Villa Adriana:

- Ja też chcę mieć dziecko! I dom! I męża! Nie jestem lesbijką! Nie jestem kurwą!

Przypomina mi, jak poprzedniej wiosny zabrałem ją na Bronx, na spotkanie, które nazywamy w zarządzie „Wieczorem równouprawnienia”.

- Wszyscy ci biedni Portorykańczycy, których oszukują w domach towarowych! Mówiłeś po hiszpańsku i tak mi to imponowało! Opowiedz mi o skandalicznych warunkach sanitarnych, opowiedz mi o szczurach i robactwie, opowiedz o ochronie policji! Bo dyskryminacja jest niezgodna z prawem! Rok więzienia albo pięćset dolarów grzywny! A tamten biedny Portorykańczyk wstał i zawołał:

„Jedno i drugie!” Och, ty Aleksie udawaczu! Ty hipokryto i obłudniku! Odstawiasz wielkiego ważniaka przed garstką głupich czarnuchów, ale ja znam prawdę, Aleks! Każesz kobietom spać z kurwami!

- Nikomu nic nie każę, chyba że sam tego chce.

- Równouprawnienie! Dla wszystkich! Jak ty się delectujesz tym słowem! Ale czy wiesz, co ono znaczy, ty skurwysyński sutenerze! Pokażę ci, co ono znaczy! Aleks, zjedź na bok!

- Przykro mi, ale nie.

- Tak! Tak! Bo ja wysiadam! Idę szukać telefonu! Zamówię rozmowę zagraniczną do Johna Lindsaya i powiem mu, do czego mnie zmusiłeś.

- Takiego wała.

- Zdemaskuję cię, Aleks, zadzwonię do Jimmy Breslina!

Później w Atenach grozi, że wyskoczy z balkonu, jeżeli się z nią nie ożeni. Dlatego wyjeżdżam.

Szikszy! Zimą, kiedy zarazki Heinego-Medina zapadają w sezonową drzemkę, mogę więc liczyć, że uniknę respiratora aż do końca roku szkolnego, jeżdżę na łyżwach po stawie w parku Irvingtona. O zmierzchu w dni powszednie i przez całe skrzące się słońcem soboty i niedziele krążę w kółko za sziksami mieszkającymi w Irvington, miasteczku po przeciwnej stronie miasta niż ulice i domy mojej bezpiecznej, swojskiej dzielnicy żydowskiej. Poznają domy, w których mieszkają szikszy, po firankach zawieszanych w oknach przez ich matki. Ponadto goje wywieszają białe chorągiewki z gwiazdą, we frontowych oknach, na swoją cześć i na cześć swoich synów w służbie wojskowej - niebieską gwiazdę, jeśli chłopak żyje, a złotą, jeśli zginął. „Złotogwiazdna mamusia” - powiada Ralph Edwards, przedstawiając poważnie uczestniczkę



programu „Prawda lub konsekwencje”, która najdalej za dwie minuty dostanie wodą sodową z syfonu w kuciapę, a zaraz potem nowiutką lodówkę do kuchni... Moja ciotka Klara na górze też jest złotogwiazdą mamuszką, z pewną jednak różnicą - nie wywiesza złotej gwiazdy w oknie, bo wcale nie czuje się dumna ani lepsza, ani jakakolwiek z powodu śmierci syna. Przeciwnie, na całe życie zamieniła się w „przypadek nerwicy”, jak mawia mój ojciec. Odkąd Hesze zginął w inwazji normandzkiej, ciotka Klara spędza większość dnia w łóżku i szlocha tak bardzo, że czasem musi przyjść doktor Icek i dać jej zastrzyk, aby złagodzić histerię... Ale wracając do zasłon, zasłony są obszyte koronką albo innymi cudami, które moja matka określa drwiąco: „w gojowskim guście”. Podczas ferii świątecznych, kiedy nie mam szkoły i mogę się wybrać na łyżwy wieczorem w blasku świateł, widzę, jak za aryjskimi zasłonami migoczą choinki. Oczywiście nie w naszym kwartale - broń Boże! - ani na Leslie Street, ani na Schley Street, ani nawet na placu Fabiana, ale kiedy zbliżam się do Irvington, widzę tu jednego goja, tam drugiego, tam znów jeszcze jednego - i już jestem w Irvington. Straszny to widok - nie tylko w każdym mieszkaniu świeci jaskrawo choinka, ale też całe domy są obwieszane kolorowymi żarówkami reklamującymi chrześcijaństwo, gramofony ładują na ulicę *Cichą noc*, jak gdyby - jak gdyby? - to był hymn narodowy, a na zaśnieżonych trawnikach stoją małe modele scen w stajence - wystarczy, żeby się człowiekowi zrobiło słabo. Jak oni mogą wierzyć w te brednie? Nie tylko dzieci, lecz również dorośli stoją na ośnieżonych trawnikach i uśmiechają się do dwudziestocentymetrowych kawałków drewna, które nazywają Marią, Józefem i Jezuskiem, a małe tekturowe krowy i konie też się uśmiechają! Boże! Kretynizm Żydów przez cały rok, a w te święta kretynizm gojów! Co za kraj! Nic dziwnego, że wszyscy jesteśmy trochę stuknięci!

Ale sziksy, och, sziksy to coś zupełnie innego. Zapach wilgotnych trocin i mokrej wełny na przegrzanej przystani, widok świeżych zimnych włosów blond, wysypujących się spod chustek i czapek, sprawiają, że wpadam w ekstazę. Wśród tych zarumienionych, rozchichotanych dziewcząt przypinam łyżwy słabymi, drżącymi palcami i ruszam za nimi w ten chłód, najpierw na palcach przez drewniany pomost, potem na lodowisko za tym trzepoczącym stadkiem, bukietem sziks, girlandą aryjskich dziewcząt. Przeszywa mnie taki lęk, że choć drzę z pożądania, wcale mi nie staje. Mój obrzezany kutek aż się kurczy od nabożnej czci. A może ze strachu? Jak one to robią, że są tak cudowne, tak rześkie, tak złotowłose! Miejsce pogardy dla ich wiary zajmuje podziw dla ich wyglądu, ruchów, śmiechu i słów - życia, które muszą

prować za tymi gojowskimi zasłonami! Może stąd się właśnie bierze duma gojek... a może to duma rodzinna? Bo ich starsi bracia to pogodnie usposobieni, pewni siebie, schludni, szybcy, znakomici obrońcy w uniwersyteckich drużynach futbolowych zwanych Northwestern, Texas Christian i UCLA. Ich ojcowie, siwi panowie, mówią niskim głosem i nigdy nie używają podwójnej negacji, a ich matki, damy z serdecznym uśmiechem i wspaniałymi manierami, mówią na przykład: - Wydaje mi się, Mary, że na kiermaszu cukierniczym sprzedałyśmy trzydzieści pięć ciast. - Tylko nie wracaj zbyt późno, kochanie - gruchają czule do swoich latorośli, kiedy te wybierają się w bufiastych taftach na młodzieżowe bale promocyjne z kawalerami o imionach prosto z czytanek w podstawówce, żaden tam Aaron, Arnold czy Marvin, lecz Johnny, Billy, Jimmy i Tod. Nie Portnoy i Pincus, tylko Smith, Jones, Brown! Oto prawdziwi Amerykanie, panie doktorze, tacy jak Henry Aldrich i Homer, jak wielki Gildersleeve i jego krewniak LeRoy, jak Corliss i Veronica, jak „Oogie Pringle”, który śpiewa pod oknem Jane Powell w filmie *Randka z Judy* - to są ludzie, dla których Nat „King” Cole śpiewa co roku w Boże Narodzenie: „Kasztany pieką się na kominku, Dziadek Mróz szczypie cię w nos...” Kominek w moim domu? Nie, nie, on śpiewa o nosach tamtych. Nie o swoim płaskim czarnym ani o moim długim haczykowatym nosie, ale o tych drobnych, zgrabnych cudeńkach, których nozdrza już w chwili urodzenia wskazują automatycznie na północ. I tak im zostaje na całe życie! To dzieci, które ożyły z książeczek do kolorowania, dzieci, o których mowa na znakach drogowych w Union, New Jersey: UWAGA DZIECI albo JEDŹ OSTROŻNIE, KOCHAMY SWOJE DZIECI - to właśnie ci chłopcy i dziewczęta, którzy mieszkają „po sąsiedzku”, dzieci, które wciąż pożyczają od rodziców tego „starego gruchota”, utykają w „korkach ulicznych”, ale w porę się z nich wydostają, żeby zdążyć na ostatnią reklamówkę przed seansem, dzieci, których sąsiedzi to nie żadni państwo Silverstein czy Landau, lecz Fibber i Molly McGee, Ozzie i Harriet, Ethel i Albert, Lorenzo Jones i jego żona Belle, no i Jack Armstrong! Jack Armstrong, prawdziwy amerykański goj! I to Jack zdrobniale od John, a nie Jack od Jake, jak mój ojciec... Myśmy jedli posiłki z radiem ryczącym na cały regulator aż do deseru, blask żółtej wskazówki skali to ostatnie światełko, które widzę co noc przed zaśnięciem - niech mi więc nikt nie wmawia, że jesteśmy tyle samo warci co inni, niech mnie nikt nie przekonuje, że jesteśmy takimi samymi Amerykanami jak oni. Nie, nie, ci złotowłosi chrześcijanie to prawowici obywatele i właściciele tego kraju, mogą sobie puszczać na całą ulicę każdą piosenkę, jaką tylko zechcą, i nikt im nie powie złego słowa. O, Ameryko! Ameryko! Dla moich dziadków

byłaś złotem leżącym na ulicy, dla rodziców byłaś kurczakiem w każdym garnku, ale dla mnie, dziecka, którego najwcześniejsze wspomnienia z kina to Ann Rutherford i Alice Faye, Ameryka to sziksa obejmowana ramieniem, szepcząca kocham kocham kocham kocham kocham!

No więc zmierzch na zamarzniętym stawie w parku miejskim, jazda na łyżwach za puszystymi czerwonymi nausznikami i rozwianymi złotymi loczkami nieznajomych sziks uczą mnie znaczenia słowa „tęsknota”. Jak ma to znieść zbuntowany trzynastoletni żydowski maminsynek? Proszę wybaczyć, że się tak rozwodzę, ale to chyba najbardziej wzruszające godziny mojego życia - uczę się znaczenia słowa „tęsknota”, uczę się znaczenia słowa „katusze”. Moje cudne istoty wspinają się na skarpe, aż rozdzwoniła się wymieciona ścieżka wśród drzew iglastych, a ja za nimi (jeśli się tylko odważę!). Słońce niemal zaszło, wszystko zasnuwa się fioletem (łącznie z moją prozą), a ja idę za nimi w bezpiecznej odległości do ulicy, którą przechodzą na łyżwach i rozchichotane znikają w cukierence przy parku. Zanim się zbiorę na odwagę, żeby tam wejść - wszystkie oczy na pewno skierują się na mnie! - one już siedzą w rozwiązanych szalikach, rozpiętych skafandrach i podnoszą filiżanki gorącej czekolady do gładkich, rozpalonych policzków i tych nosów - cud nad cudami! - które znikają całkiem w filiżankach pełnych czekolady, po czym podnoszą się nie skalane ani jedną kroplą napoju! Jezu, z jakim one czystym sumieniem jedzą między posiłkami! Co za dziewczyny! W szalonym zrywie sam zamawiam filiżankę czekolady, a zatem niszczę sobie apetyt przed obiadem podawanym przez matkę punktualnie pół do szóstej, kiedy wchodzi do domu ojciec „głodny jak wilk”. Potem idę za nimi z powrotem nad staw. Jeżdżę za nimi po stawie. Wreszcie kończy się moja ekstaza - dziewczęta wracają do domów do swoich wykształconych ojców, wytwornych matek i pewnych siebie braci, którzy mieszkają razem zgodnie i szczęśliwie za tymi gojowskimi firankami, a ja wracam do Newark, do mojej nerwowej rodziny, mieszkającej za aluminiowymi żaluzjami, na które matka przez wiele lat ciulała pieniądze.

Co za awans społeczny wiązał się z tymi żaluzjami! Matka uważa, zdaje się, że od razu wylądowaliśmy, jak z katapulty, w wyższych sferach. Teraz większość życia schodzi jej na odkurzaniu i polerowaniu listewek, cały dzień pucuje, a wieczorem obserwuje przez czyste listewki w świetle latarni ulicznej śnieg, który właśnie się rozpadał na dobre... i zaczyna nakręcać swój mechanizm zmartwienia. Zwykle po kilku minutach wpada dosłownie w histerię. - Gdzie on się podziewa? - jęczy za każdym razem, gdy para reflektorów omiata ulicę, ale okazuje się, że to nie jego wóz.

Gdzież, ach, gdzież podziewa się nasz Odyseusz! Na górze stryj Hymie jest w domu, Landau z przeciwka jest w domu, Silverstein po sąsiedzku też jest w domu - za kwadrans szósta wszyscy są już w domu, tylko nie mój ojciec, a przez radio mówią, że nad Newark nadciąga zadymka od bieguna północnego. Nie ma wątpliwości, można już dzwonić do firmy Tuckerman & Faber w sprawie formalności pogrzebowych i spraszać gości. Tak, ledwo drogi roziskrzają się lodem, a ojciec spóźnia się kwadrans na obiad, już go widzi roztrzaskanego o słup telegraficzny, jak leży martwy w kałuży własnej krwi. Matka wchodzi do kuchni z miną prosto z płócien el Greca.

- Moja dwójka zagłodzonych Ormian - mówi łamiącym się głosem - jedzcie, skarby, nie czekajcie, nie ma sensu...

I kogo nie ogarnie wtedy żal? Dość pomyśleć o przyszłości - dwoje małych dzieci pozbawionych ojca, ona sama pozbawiona męża i żywiciela rodziny, tylko dlatego, że ni stąd, ni zowąd spadł śnieg, kiedy ten biedak ruszał do domu.

Tymczasem zastanawiam się, czy jeżeli ojciec naprawdę nie żyje, będę musiał podjąć pracę po szkole i w soboty, czyli zrezygnować ze ślizgawki w parku Irvingtona, zrezygnować z łyżew z moimi sziksami, zanim się w ogóle odezwałem do którejkolwiek z nich. Boję się otworzyć buzię ze strachu, że nic nie powiem albo że powiem coś niestosownego.

- Portnoy, tak, to stare francuskie nazwisko, pochodzi od *porte noir*, czyli czarne drzwi albo brama. Podobno w średniowieczu we Francji drzwi naszego rodzinnego dworku były pomalowane... - i tak dalej, i tak dalej. Nie, nie, one i tak usłyszą „oj” na końcu i wszystko na nic. No to może Al Port czy Al Parsons!

- Dobry wieczór, panno Ameryko, czy mógłbym pojechać z panią na łyżwach, nazywam się Al Parsons... - tylko czy Alan nie brzmi równie żydowsko i obco jak Aleksander? Wiem, że jest Alan Ladd, lecz jest też mój kolega Alan Rubin, stoper naszej drużyny softballowej. A co dopiero, jak usłyszy, że jestem z Weequahic. Zresztą, co za różnica, jeżeli mam zataić prawdziwe nazwisko, mogę też zataić nazwę szkoły, tylko jak mam zataić ten cholerny nos?

- Jesteś bardzo miłym chłopcem, Porte-Noir, ale dlaczego wciąż tak zakrywasz środek twarzy?

Bo raptem środek twarzy gdzieś się ulotnił! Znikł ów guziczek mojego dzieciństwa, to cacuszko, które oglądano, kiedy byłem jeszcze w wózku, środek twarzy oderwał się raz na zawsze i pofrunął do Pana Boga! Porte-Noir i Parsons, tere-fere,

dzieciaku, na twarzy masz wypisane Ż-Y-D - na miłość boską, wystarczy spojrzeć na ten nochal! Co za nochal, istna kicha! Odpieprz się, żydłaku! Złaz z lodowiska i zostaw te dziewczęta w spokoju!

I to prawda. Pochyliłam nisko głowę nad kuchennym stołem i na arkuszu biurowej papeterii ojca szkicuję ołówkiem swój profil. Co za ohyda! Mamo, jak to się mogło przydarzyć komuś, kto był taki śliczny w wózku? U nasady zaczyna piąć się ku niebu, ale tam, gdzie kończy się chrząstka, w połowie zakrzywia się w kierunku ust. Za kilka lat nie będę mógł chyba jeść, bo znajdzie się akurat na drodze jedzenia! Nie! Nie! Niemożliwe! Idę do łazienki, stoję przed lustrem, dwoma palcami podnoszę dziurki do góry. Z profilu nie wygląda to tak tragicznie, ale z przodu, w miejscu górnej wargi, widać tylko zęby i dziąsła. Też mi goj. Wyglądam jak króliczek z filmów rysunkowych! Tnę na kawałki tekturki, które przychodzą w koszulach z pralni, i przyklepam je taśmą klejącą z obu stron nosa, przywracając profilowi ładną linię do góry, którą szczyciłem się przez całe dzieciństwo... a która teraz jakoś znikła! Wydaje mi się, że ten dziób wyrósł mi dokładnie wtedy, kiedy odkryłem gojki jeżdżące na łyżwach w parku Irvingtona - jak gdyby moja kość nosowa uznała za stosowne działać jako wysłannik rodziców! Łyżwy z gojkami? Tylko spróbuj, mądralo. Pamiętasz Pinokia? To jeszcze nic w porównaniu z tym, co czeka ciebie. Będą się zaśmiewali, wyli i gwizdali lub co gorsza nazwą cię Goldbergiem, w najlepszym przypadku odeślą cię precz, a ty będziesz szalał z gniewu i ze złości. Przecież widzisz, że wciąż chichoczą. Niby z kogo? Z ciebie! Chuderławy Żyd z tym swoim nochalem co dzień po południu kręci się za nimi na ślizgawce... a w dodatku nie umie mówić!

- Przestań się bawić nosem - mówi matka. - Aleks, nie interesuje mnie, co ci tam rośnie, w każdym razie nie przy obiedzie.

- Jest za duży.

- Co? Co jest za duże? - pyta ojciec.

- Mój nos! - wykrzykuję.

- Dodaje ci charakteru - stwierdza matka - zostaw go więc w spokoju.

Ale co komu po charakterze? Ja chcę pannę Gojównę! W niebieskim skafandrze, czerwonych nausznikach i puszystych białych rękawiczkach - Miss Ameryki na łyżwach! Urzeka mnie jej jemiola,, placek śliwkowy (choć nie znam jego smaku), domek jednorodzinny ze schodami i balustradą, no i rodzice, spokojni, cierpliwi, kulturalni, a także brat Billy, który umie rozłożyć silnik na części, mówi:

„Cała przyjemność po mojej stronie”, i nie boi się zmysłowości, och, jak ona przytuli się do mnie na sofie, w sweterku z angory, z nogami podwiniętymi pod spódnicą w szkocką kratę, jak odwróci się w progu i powie mi: - Stokrotne dzięki za cudowny, naprawdę cudowny wieczór - po czym ta niesłychana istota, której nikt nigdy nie uciszał: - Sza - ani nie mówił: - Zobaczysz, własne dzieci też ci się kiedyś tak odpłacą! - nieskazitelna nieznajoma, gładka, lśniąca i chłodna niczym majonez, pocałuje mnie, unosząc lekko za sobą zgrabną nogę, a wtedy mój nos i nazwisko przestaną być istotne.

Nie domagam się przecież cudów, nie rozumiem tylko, dlaczego miałyby mi się należeć mniej od życia niż jakiemuś szmondakowi jak Oogie Pringle czy Henry Aidrich. Do diabła, ja też chcę mieć Jane Powell. I Corliss, i Veronike. Też chcę być narzeczonym Debbie Reynolds, wyłazi ze mnie Eddis Fisher i tyle, w nas wszystkich, smagłych żydowskich chłopcach, odzywa się tęsknota za tymi uroczymi złotowłosymi egzotycznymi istotami zwanymi sziksami... W tych gorączkowych latach nie wiem jeszcze jednego - że za każdym Eddiem, marzącym o swej Debbie, kryje się Debbie marząca o Eddiem - jakaś Marilyn Monroe marząca o swym Arthurze Millerze czy jakaś Alice Faye marząca o Philu Harrisie. Nawet Jayne Mansfield omal nie wyszła za takiego za mąż, pamięta pan, jak zginęła nagle w wypadku samochodowym? Kto by wtedy przypuszczał, rozumie pan, kto by przypuszczał, kiedy oglądaliśmy *National Velvet*, że ta niebywała dziewczyna o fiołkowych oczach, obdarzona największym gojowskim talentem, odwagą i umiejętnością dosiadania konia (a nie zaprzęganía go do dyszla jak ten handlarz starzyzną, po którym odziedziczyłem imię) - kto by uwierzył, że ta dziewczyna z idealną dykcją, jeżdżąca konno w bryczesach, pożąda mężczyzn naszego pokroju nie mniej niż my jej? Bo wie pan, kim był Mike Todd - tandetną kopia stryja Hymie z góry! Ale kto przy zdrowych zmysłach uwierzyłby, że Elizabeth Taylor ma chrapkę na stryja Hymie? Kto by pomyślał, że droga do serca (i szpary) gojki nie polega na udawaniu goja z krzywym nosem, równie nudnego i pustego jak jej własny brat, tylko na byciu tym, kim był twój stryj, kim był twój ojciec, na byciu sobą, zamiast w żalony, żydowski sposób naśladować tych truposzy, lodowatych szajgeców, Jimmy'ego, Johnny'ego czy Toda, którzy wyglądają, myślą, czują i mówią jak piloci bombowców!

Weźmy taką Małpkę, moją dawną przyjaciółkę i współtowarzyszkę zbrodni. Panie doktorze, wystarczy, że wspomnę jej imię, że o niej pomyślę, a z miejsca mi

staje! Chociaż wiem, że nie powinienem się z nią spotykać. Bo to wariatka! Stuknięta nimfomanka! Samo nieszczęście!

Ale kim, no kim miałem zostać, jeśli nie jej żydowskim zbawicielem? Księciem na wielkim, białym rumaku, rycerzem w lśniącej zbroi, co to w marzeniach małych dziewczynek miał przybyć i uwolnić je z zamków, w których wciąż czuły się uwięzione, cóż, jeżeli chodzi o pewien typ gojki (Małpka jest tu znakomitym przykładem), książkę okazuje się zawsze łebskim, łysiejącym Żydem z dziobem, dużą wrażliwością na sprawy społeczne, owłosionymi na czarno jądrami, nie pije, nie uprawia hazardu i nie kręci z tancerkami na boku; mężczyzną, który nie tylko obdarzy je dzieciaczkami i podsunie do czytania Kafkę - prawdziwym domowym Mesjaszem! Jasne, może na cześć swojej zbuntowanej młodości mówić dość często w domu „gówno” i „pierdołę” - nawet przy dzieciach - ale przynajmniej zawsze jest w domu. Żadnych barów, burdeli, wyścigów konnych, tryktraka przez całą noc w klubie Rakieta (który poznała w swej eleganckiej przeszłości) ani też na piwie aż do świtu w Legionie Amerykańskim (który sama pamięta ze swojej przyziemnej, nędznej młodości). Co to to nie - stoi bowiem przed nami, panie i panowie, żydowski chłopiec, który ma świeżo za sobą długą historię zrywania więzów rodzinnych i teraz pragnie być w każdym calu dobry, odpowiedzialny i obowiązkowy wobec nowej, założonej przez siebie rodziny. Ci sami ludzie, którzy przygotowali program Harry Goldena „Za jedyne dwa centy”, proponują teraz „Program Aleksandra Portnoya”! Jeżeli podobał się wam Arthur Miller jako zbawiciel gojek, Aleks też wam przypadnie do gustu! Widzi pan, moje dzieciństwo odbiegało pod każdym istotnym względem od tego, co Małpka musiała znosić osiemnaście mil na południe od Wheeling, w górniczej miejscowości Moundsville - kiedy ja w New Jersey topiłem się w szmalcu (czyli nurzałem się w ciepłej żydowskiej rodzinie, jak by powiedziała Małpka), ona tam w zachodniej Wirginii przymarzała na śmierć, traktowana jak mebel przez ojca, który wedle jej słów był blisko spokrewniony z mułem, i jak tłumok dziwacznych potrzeb przez matkę, na swój sposób wyrozumiała, jeżeli można mówić o wyrozumiałości u wiejskiej kobiety, która dopiero co wyrwała się z gór Alleghenów, nie umiała czytać, pisać ani, na dobrą sprawę, liczyć, a na dobitkę nie miała ani jednego zęba trzonowego.

Przytoczę opowieść Małpki, która zrobiła na mnie duże wrażenie (co prawda wszystkie jej opowieści zmuszały do owej szczególnej, neurotycznej uwagi ze względu na motywy okrucieństwa, tępoty i wyzysku). Kiedy miała jedenaście lat, wymknęła się w sobotę, wbrew woli ojca, na lekcję baletu prowadzoną przez miejscowego „maestra”

(niejakiego pana Maurice), stary przyszedł po nią z pasem, bił ją po łydkach przez całą drogę do domu, wreszcie trzymał pod kluczem w komórce aż do wieczora, i to ze związanymi nogami.

- Jak cię jeszcze raz złapię u tego pedała, nie będę się tak z tobą cackał, przygotuj się na najgorsze!

Kiedy po raz pierwszy przyjechała w wieku osiemnastu lat do Nowego Jorku, nie miała już właściwie tylnych zębów. Wszystkie jej wyrwał (z niezrozumiałego dla niej dotąd powodu) miejscowy konował z Moundsville, który był w jej przekonaniu równie zdolnym dentystą jak pan Maurice tancerzem. Kiedy poznaliśmy się, blisko rok temu, Małpka miała już za sobą małżeństwo i rozwód. Jej mąż był pięćdziesięcioletnim przemysłowcem francuskim, w ciągu tygodnia zdołał namówić ją do małżeństwa i poślubić we Florencji, gdzie pracowała jako modelka na pokazie w Palazzo Pitti. Jego życie seksualne po ślubie sprowadzało się do chodzenia do łóżka z młodą, piękną żoną i onanizowania się w pismo „Podwiązka”, które kazał sobie przysyłać pocztą lotniczą z Czterdziestej Drugiej ulicy. Małpka ma zwyczaj mówić czasem przez nos jak prosta, wulgarna wieśniaczka, i zawsze popadała w ten manieryczny ton, kiedy opisywała ekscesy, których musiała być świadkiem jako żona owego potentata. Umiała śmiesznie opowiadać o czternastu spędzonych z nim miesiącach, chociaż było to dla niej na pewno potworne albo wręcz przerażające przeżycie. Zaraz po ślubie wysłał ją samolotem do Londynu na zabiegi dentystyczne za pięć tysięcy dolarów, a po powrocie do Paryża obwiesił jej szyję biżuterią za kolejne setki tysięcy dolarów, co na pewien czas, jak twierdzi Małpka, zapewniło mu jej wierność. Jak to sama ujęła (zanim jej zakazałem używać zwrotów: „ten tego”, „człowieku”, „równiacha”, „mieć hyzia” i „w dechę”): - To było, ten tego, moralne.

Wreszcie uciekła od niego jak od zarazy, kiedy zaczął aranżować orgietki, gdy oboje mieli już dość jego masturbacji w „Podwiązkę” (a może w „Obcasy na szpilkach”? ). Za wysoką opłatą sprowadzało się kobietę, najchętniej Murzynkę, żeby kuciała nago na szklanym stoliku do kawy i waliła kupe, podczas gdy potentat leżał na wznak pod stolikiem i się onanizował. A kiedy gównem rozpryskiwało się na szkle piętnaście centymetrów od nosa jej ukochanego, Małpka, nasza biedna Małpka, musiała siedzieć w ubraniu na czerwonej adamaszkowej sofie, popijać koniak i patrzeć.



Kilka lat po powrocie do Nowego Jorku - miała już wtedy chyba dwadzieścia cztery albo dwadzieścia pięć lat - Małpka usiłowała odebrać sobie życie, przeciągając żyłką po żyłach na przegubie, wszystko dlatego, że została źle potraktowana w Le Club, w El Morocco czy w L'Interdit przez aktualnego narzeczonego, zawsze jednego ze stu najlepiej ubranych mężczyzn na świecie. Tak trafiła do renomowanego doktora Morrisa Frankla, który będzie odtąd występował w tych wyznaniach jako Harpo. Przez ostatnie pięć lat z przerwami Małpka wywnętrzała się na kozetce Harpa w nadziei, że się od niego dowie, co ma zrobić, aby zostać czyjąś żoną i matką. Dlaczego, żali się Małpka do Harpa, dlaczego wciąż musi się wiązać z takimi obrzydliwymi pętakami i draniami zamiast z mężczyznami. Dlaczego? Odpowiedz, Harpo! Powiedz coś! Cokolwiek!

- Wiem, że on żyje - mówiła Małpka, aż jej drobną twarz ściągał ból - po prostu wiem. No bo kto kiedy słyszał, żeby trup miał automatyczną sekretarkę?

I tak miotana sprzecznymi uczuciami wobec terapii (jeżeli to właściwe określenie) Małpka borykała się - wraca do terapii, kiedy kolejny gówniarz złamie jej serce, ucieka, kiedy następny potencjalny książę zjawi się na scenie.

Ja byłem „przełomem” w jej życiu. Harpo oczywiście nie przytaknął, ale też nie zaprzeczył, kiedy Małpka zasugerowała mu, kim dla niej jestem. Odkasznął jednak, co Małpka przyjmuje za jego potwierdzenie. Czasem kaszle, czasem mruczy, czasem beka, raz na czas pierdnie, nie wiadomo, czy specjalnie, czy niechcący, chociaż ja osobiście twierdzę, że pierdnięcie należy interpretować jako negatywną reakcję na transferencję z jego strony.

- Przełomku, jakiś ty mądry! - „Przełomku”, kiedy jest moją kicią i kocurzycą w łóżku, a kiedy walczy o życie: - Ty nadęty Żydzie! Ty skurwysynu! Chcę wyjść za mąż i żyć jak ludzie!

Miałem więc być dla niej przełomem... ale czy ona nie miała być moim? Bo czyż trafił mi się przedtem ktoś taki jak Małpka i czy kiedykolwiek mi się jeszcze trafi? Nie powiem, żebym się o to nie modlił. Człowiek modlił się i modlił bez końca, wznosił niecierpliwe modły do Boga na ołtarzu deski sedesowej, przez całą młodość składał Mu żywą ofiarę w postaci litrów spermy... aż tu pewnego razu, koło północy, na rogu Lexington i Pięćdziesiątej Drugiej, kiedy już niemal traciłem wiarę w istnienie takiej osoby, którą wyobrażałem sobie aż do trzydziestego drugiego roku życia, spotykam ją, jak stoi w brązowym spodniem i usiłuje zatrzymać taksówkę - szczupła, z kaskadą

ciemnych włosów i drobnymi rysami, które nadają jej twarzy wyraz rozdrażnienia, no i z absolutnie fantastyczną pupą.

Czemu nie? Co mam do stracenia? A co do zyskania? No, ruszaj, ty spętany, zagwoźdzony skurczybyku, odezwij się do niej. Ma tyłek z poduszkami i pęknięciem jak najpiękniejsza w świecie brzoskwinia! Odezwij się!

- Cześć - łagodnie i z pewnym zaskoczeniem, jakbym ją skądś znał...

- Czego chcesz?

- Zaprosić cię na kielicha - odparłem.

- Też mi podrywacz - powiedziała z prychnięciem.

Z prychnięciem! Dwie sekundy i od razu dwa afronty! I to do zastępcy komisarza do spraw równouprawnienia na całe miasto!

- Wylizać ci króliczka, mała, co ty na to? O, Boże, gotowa wezwać policjanta! Który odstawi mnie do burmistrza!

- Chyba, że tak - odparła. Znalazła się taksówka, pojechaliśmy do jej mieszkania, gdzie rozebrała się i powiedziała:

- No to zaczynaj.

Nie chciało mi się wierzyć! Że coś takiego mi się zdarza! Jak ja ją lizałem! Jak gdyby całe moje życie rozgrywało się w samym środku polucyjnego snu. Wreszcie dorwałem się do gwiazdy tych wszystkich filmów pornograficznych, które kręciłem w głowie, odkąd po raz pierwszy dotknąłem własnego członka...

- A teraz ja ciebie - powiedziała - jak ty mnie, tak ja tobie - i niech pan sobie wyobrazi, ta nieznajoma zaczęła mi robić minetę ustami, które musiały chyba skończyć specjalny uniwersytet, żeby się nauczyć tych cudownych sztuczek. Co za skarb, pomyślałem, ona go bierze aż do nasady! Wpadłem w nie byle jakie usta! Nadspodziewane równouprawnienie! Ale jednocześnie: Uciekaj! Bierz nogi za pas! Kto wie, co to za dziewczyna!

Później odbyliśmy długą, poważną, bardzo podniecającą rozmowę o zboczeniach. Zaczęło się od tego, że zapytała, czy robiłem to kiedyś z mężczyzną. Powiedziałem, że nie. Zapytałem z kolei (bo uznałem, że czeka na takie pytanie), czy kiedykolwiek robiła to z inną kobietą.

- Nie.

- A miałabyś ochotę?

- A ty byś chciał, żebym to zrobiła?
- Jasne, czemu nie.
- Chciałbyś się przyglądać?
- Chyba tak.
- Może dałoby się coś takiego zorganizować.
- Tak?
- Tak.
- Pewno by mi się spodobało.

- Och - odparła z niejakim przekąsem - ja też tak sędzę.

Powiedziała mi, że nie dalej jak przed miesiącem, kiedy leżała chora, bo złapała jakiegoś wirusa, znajoma para przyszła jej zrobić obiad. Po jedzeniu zaproponowali, żeby się przyjrzała, jak się pieprzą. No i patrzyła. Siedziała na łóżku z gorączką 38,8°C, a tamci rozebrali się do naga i rzucili się na dywan w sypialni.

- I wiesz, co chcieli, żebym robiła, kiedy będą się kochać?

- Nie.

- Na kredensie w kuchni leżały banany, kazali mi jeść banana i na nich patrzeć.

- Na pewno z powodu promiskuitycznej symboliki.

- Czego?

- Dlaczego chcieli, żebyś jadła banana?

- Człowieku, nie mam pojęcia. Pewno chcieli mieć poczucie, że tam jestem. Chcieli mnie, ten tego, słyszeć. Jak żyję. Słuchaj, czy ty tylko liżesz, czy też się pierdolisz?

Prawdziwy cymes! Moja wymarzona dziwka z domu burleski, może brak jej cycków tamtej, ale za to jaka piękna!

- Też się pierdolę.

- To tak jak ja.

- Co za zbieg okoliczności - stwierdziłem - że trafiliśmy na siebie.

Po raz pierwszy usłyszałem jej śmiech, ale zamiast się rozluźnić, nagle wszystko zrozumiałem - zaraz jakiś rosły czarnuch wyskoczy z szafy w sypialni, żeby dźgnąć mnie nożem prosto w serce - albo ona dostanie szału, a ten śmiech przerodzi się w dziką histerię - i Bóg raczy wiedzieć, jaką to się skończy tragedią. Eddie Waitkus!

Czy to była prostytutka na telefon? Zboczona? A może działała w zмовie z jakimś handlarzem narkotyków Portorykańczykiem, który lada chwila wkroczy w moje życie? Wkroczy... i zakończy je za czterdzieści dolarów z mojego portfela i mamy zegarek od Korvette?

- Słuchaj - zapytałem, jak zwykle rozsądnie - czy ty tak zawsze...?

- Co za pytanie! Co to za gówniarska uwaga! Jesteś takim samym zimnym draniem! Myślisz, że ja tak bez uczucia?

- Przepraszam, bardzo mi przykro. A już po chwili wściekłość i gniew ustąpiły miejsca łzom. Czy trzeba dalszych dowodów na to, że ta dziewczyna była, mówiąc oględnie, trochę nie zrównoważona psychicznie? Każdy człowiek zdrowy na umyśle na pewno by wtedy wstał, ubrał się i wziął nogi za pas, żeby ratować własną skórę. Zadowolony, że w porę się wyrwał. Ale widzi pan, mój zdrowy umysł to tylko inna nazwa moich lęków! Mój zdrowy umysł to po prostu dziedzictwo strachu, które wyniosłem ze swojej idiotycznej przeszłości! Ten tyran, moje superego, powinien pójść na stryczek, trzeba by go powiesić, skurwysyna, za te jego pierdolone buciorы wojskowe, żeby wreszcie skonał! Kto się trząsł na ulicy - ja czy dziewczyna? Ja! Kto miał odwagę, czelność, jaja, ja czy dziewczyna! Dziewczyna! Do jasnej cholery, dziewczyna!

- Wiesz - powiedziała, ocierając łzy poduszką - wiesz, okłamałam cię, jeżeli cię to interesuje, jeżeli to zapisujesz albo coś w tym rodzaju.

- Tak? Kiedy?

Zaraz wyskoczy z szafy ten facet, myślę sobie, ten mój *szwarce*, błyskając oczami, zębami i żyłką! A potem nagłówek: Z-CA KOMISARZA D/S RÓWNOUPRAWNIENIA ZNALEZIONY BEZ GŁOWY W MIESZKANIU STRIPTIZERKI!

- Za cholere nie wiem, dlaczego cię, ten tego, okłamałam, akurat ciebie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, więc nie mogę ci pomóc.

- Wcale nie chcieli, no wiesz, żebym jadła banana. To nie oni chcieli, żebym jadła banana. Sama chciałam.

Cała Małpka.

A dlaczego mnie okłamała? Pewno z miejsca uznała - chyba na pół świadomie - że natknęła się na człowieka wyższego rzędu, chociaż poderwałem ją na ulicy, chociaż

z zapamiętaniem obciągnęła mi druta we własnym łóżku, po czym ujmująco wszystko połknęła, chociaż rozmawialiśmy o zboczeniach... wszystko jedno, nie chciała, żebym uważał ją za osobę oddaną bez reszty ekscesom seksualnym, za amatorkę przygód... Bo już po pierwszym rzucie oka na mnie wyobraźnia poniosła ją prosto w życie, które być może teraz wiecie... Koniec z narcystycznymi playboyami w garniturach od Cardina, koniec z żonatymi, zdesperowanymi kierowniczkami od reklamy z Connecticut na jedną noc, koniec z lalusiami w angielskich ocieplaczach na obiad w Serendipity albo podstarzałymi rozpustnikami z przemysłu kosmetycznego śliniącymi się do talerzy podczas kolacji wieczorem za sto dolarów w Le Pavillon... Wreszcie zjawia się ktoś, kto (jak się okazało) mieszkał przez tyle lat w samym sercu jej marzeń, mężczyzna, który będzie dobry dla żony i dzieci... Żyd. W dodatku co za Żyd! Najpierw jej robi minetę, a zaraz potem wyślizguje się na wierzch i zaczyna. rozmowę, wyjaśnia różne rzeczy, wydaje sądy na prawo i lewo, radzi jej, co ma czytać, jak głosować, mówi, jak się powinno, a jak nie powinno żyć.

- Skąd wiesz? - pyta ostrożnie. - Takie chyba jest twoje zdanie.

- Co znaczy „zdanie”, to nie żadne moje zdanie, dziecinko, tylko prawda.

- No tego, czy wszyscy to wiedzą... czy tylko ty? Żyd, który otacza opieką społeczną wszystkich nędzarzy w Nowym Jorku, lizał jej cipkę! Ktoś, kto występował w kursach telewizyjnych, spuszczał się jej do buzi! Musiała to wszystko zobaczyć, panie doktorze, w mgnieniu oka... czy to możliwe? Czy kobiety są tak wyrachowane? A może to ja jestem taki naiwny, gdy chodzi o pizdę? Zrozumiała wszystko i z miejsca zaplanowała jeszcze tam, na Lexington Avenue? Dyskretny ogień płonie na kominku w pokoju wyłożonym książkami w naszym domu letniskowym, niania Irlandka kąpie dzieci, zanim położy je do łóżka matka, smukła eks-modelka, lwica salonowa, zboczona nimfomanka, córka kopalń i fabryk zachodniej Wirginii, samozwańcza ofiara kilkunastu prawdziwych skurczybyków - oto i ona, wystrojona w piżamę od Saint Laurenta i wytłaczane botki z kozłej skóry, pogrąża się zadumana w powieści Samuela Becketta... oto i ona, na futrzaku z mężem, Sławnym Człowiekiem, Najświętszym Komisarzem Miasta Nowy Jork... oto i on, z fajką i rzednącymi, czarnymi, kręconymi hebrajskimi włosami, w całym swym mesjanistycznym, żydowskim uroku i zapale...

\*

Co się w końcu zdarzyło w parku Irvingtona: pewnej soboty późnym popołudniem znalazłem się niemal sam na sam na zamarzniętym stawie z uroczą czternastoletnią sziksele, której przyglądałem się od obiadu, jak ćwiczy ósemki, z dziewczyną, która miała dla mnie burżuazyjny urok Margaret O'Brien - werwę i rzeźkość w roziskrzonych oczach i piegowaty nos - a zarazem prostotę i przystępność właściwą niższym sferom, i długie, proste blond włosy Peggy Ann Garner. Widzi pan, dla innych to były tylko gwiazdy filmowe, a dla mnie różne typy gojek. Często wychodziłem z kina zastanawiając się, do jakiej szkoły średniej w Newark chodziłaby Jeanne Crain (i jej szpara) czy Kathryn Grayson (i jej szpara), gdyby były moimi rówieśnikami. I gdzie by tu znaleźć taką sziksę jak Gene Tierney, którą mógłbym posadzać nawet o to, że jest Żydówką, gdybym nie wiedział, że jest z pochodzenia Chinką. Tymczasem Peggy Ann O'Brien skończyła ostatnią ósemkę i sunie leniwie w kierunku przystani, ja nic nie wskórałem z nią ani żadną z nich, dosłownie nic przez całą zimę, a tu marzec za pasem - czerwona flaga na ślizgawce zjedzie z masztu i znów się zacznie sezon wirusa Heinego-Medina. Może w przyszłym roku nie będzie mnie już na tym świecie, więc na co czekam. „Teraz albo nigdy!” Kiedy znika bezpiecznie z pola widzenia, ruszam za nią na łyżwach jak opętany. „Przepraszam - zagadnę ją - czy pozwolisz, że cię odprowadzę?” - Że cię odprowadzę czy żebym cię odprowadził - jak jest bardziej poprawnie? Bo muszę mówić nieskazitelną angielszczyznę. Ani jednego żydowskiego słowa. „Czy miałabyś ochotę na gorącą czekoladę? Może byś mi podała swój numer telefonu, jeżeli pozwolisz, żebym cię któregoś dnia odwiedził? Jak się nazywasz? Alton Peterson...”, nazwisko, które wybrałem sobie z książki telefonicznej hrabstwa Essex w okręgu Montclair - głowę dam, że to goj, a w dodatku brzmi jak Hans Christian Andersen. Co za chwyt! Ukradkiem przez całą zimę ćwiczyłem pisanie „Alton Peterson”, ćwiczyłem na kartkach papieru, które wciąż wrywałem z zeszytu po szkole i paliłem, żeby nie musieć się tłumaczyć przed domownikami. Nazywam się Alton Peterson, nazywam się Alton Peterson - Alton Christian Peterson? A może posuwam się za daleko? Alton C. Peterson? I tak się koncentruję na tym, żeby nie zapomnieć, kim chciałbym teraz być, tak bardzo chcę zdążyć na przystań, zanim moja sziksa odepnie łyżwy, tak się zastanawiam, co powiem, kiedy zapyta mnie o środkową część twarzy, co się z nią stało (Dawna kontuzja odniesiona w meczu hokejowym? Kiedyś w niedzielę rano po kościele spadłem z konia podczas gry w polo... Za dużo kiełbasy na śniadanie, cha cha cha!), że dojeżdżam do brzegu stawu nieco wcześniej,

niż planowałem, uderzam weń czubkiem łyżwy, padam na oszronioną ziemię i wybijam sobie przedni ząb, a także roztrzaskuję kość goleniową.

Przez sześć tygodni leżę z prawą nogą w gipsie od kostki aż po udo. Mam coś, co lekarz nazywa chorobą Osgooda Shlatterera. Po zdjęciu gipsu wlokę za sobą nogę niczym inwalida wojenny, a ojciec wciąż mnie strofuje:

- Zginaj! Chcesz tak chodzić przez całe życie? Zginaj! Chodź normalnie! Aleks, przestań się pieścić z tą nogą Oskara Ślamazary, bo zostaniesz kaleką do końca życia!

Za jazdę za gojkami na łyżwach pod pseudonimem zostanę kaleką na całe życie.

Z takim życiem jak moje, panie doktorze, na cóż mi marzenia senne?

Szelma Girardi, osiemnastoletnia dziewczyna, którą wyrzucono z liceum Hiliside, a niedługo potem mój rozerotyzowany kolega szkolny Smolka, syn krawca, widział ją na basenie w parku olimpijskim...

Jeżeli o mnie chodzi, nie zbliżyłbym się do tego basenu za żadne pieniądze - to siedlisko zarazków Heinego-Medina i zapalenia opon mózgowych, nie mówiąc już o rozmaitych chorobach skóry, czaszki i odbytnicy - podobno nawet jakiś chłopak z Weequahic wszedł kiedyś do brodzika między szatnią a basenem i wyszedł z drugiej strony bez paznokci u nóg. Ale właśnie tam można spotkać dziewczyny, które lubią się pieprzyć. No bo niby gdzie indziej? Tam można znaleźć gojki chętne do wszystkiego! Jeżeli tylko ktoś gotów się narazić na heinemedynę z basenu, gangrenę z brodzika, zatrucie ptomainami od hot dogów, słońiowatość od mydła i ręczników, to może taką przelecieć.

Siedzimy w kuchni, gdzie zastaliśmy Szelmę nad deską do prasowania... w samej halce! Mandel i ja kartkujemy stare numery pisma „Ring”, a Smolka w salonie usiłuje namówić Szelmę, żeby wyświadczyła mu tę szczególną przysługę i przyjęła dwóch jego kolegów. Smolka zapewnia nas, że nie mamy się co bać brata Szelmy, byłego spadochroniarza, bo jest teraz w Hoboken, gdzie bierze udział w specjalnym meczu boksterskim jako Johnny „Geronimo” Girardi. Jej ojciec w dzień jeździ na taksówce, a nocami pracuje jako szofer dla mafii... pewno teraz obwozi jakichś gangsterów i wróci dopiero nad ranem, matki też się nie ma co bać, bo nie żyje. Świetnie, Smolka, świetnie, bezpieczeństwo gwarantowane. Teraz już nie ma się o co martwić, chyba że o trojankę, którą od tak dawna noszę w portfelu, że wewnętrzna strona cynfoliowego opakowania jest już chyba na pół zżarta przez pleśń. Jeden

wytrysk, a cała ta guma rozerwie się na strzępy w dziurze Szelmy Girardi - i co ja wtedy zrobię?

Chcąc się upewnić, czy trojanki naprawdę wytrzymują ciśnienie, przez cały tydzień schodziłem do piwnicy i napełniałem je litrami wody... i chociaż to kosztowne, używałem ich do masturbacji, żeby zobaczyć, czy wytrzymują w warunkach próbnego stosunku. Zdały egzamin. Tylko jak się sprawdzi ta obnoszona z pietyzmem, która wycisnęła już niezatarty ślad w portfelu, ta specjalna, którą zachowuję na prawdziwy stosunek, ta z natłuszczonym czubkiem? Jak mogę w ogóle przypuszczać, że się nie zniszczyła, skoro niemal pół roku siedziałem na niej w szkole, gniotąc ją w portfelu? I kto powiedział, że Geronimo spędzi całą noc w Hoboken? A jeżeli człowiek, którego gangsterzy mają zamordować, wykitował z samego strachu jeszcze przed ich przyjazdem i pracodawcy wyślą pana Girardi wcześniej do domu na zasłużony odpoczynek? A jeżeli dziewczyna ma syfa? W takim razie Smolka też musi mieć syfa! Smolka, który zawsze pociąga napoje chłodzące z butelek wszystkich kolegów i wyciąga łapę do ich kutasów! Tego mi tylko brakuje, jeszcze z moją matką! Nie będzie końca awanturom!

- Aleks, co ty tam chowasz pod nogą?

- Nic.

- Aleks, proszę cię, słyszałam wyraźnie, że coś pacnęło. Co ci wypadło ze spodni, co teraz zakrywasz nogą? Z twoich porządnych spodni.

- Nic! To tylko but! Daj mi spokój!

- Młody człowieku, co ty... O, Boże! Jack! Chodź prędko! Patrz, co tam leży na podłodze obok jego buta.

Ojciec w spodniach opuszczonych do kolan, ściskając w rękę „Wiadomości Newark” otwarte na stronie nekrologów, pędził z łazienki do kuchni:

- Co się stało?

Matka wrzeszczy (to jej odpowiedź) i wskazuje pod krzesło.

- Co to, mój panie, jakiś chytry szkolny kawał? - dopytuje się ojciec ze złością. - Co to czarne plastikowe świństwo robi na podłodze w kuchni?

- To nie plastik - odpowiadam i zaczynam szlochać. - To mój własny. Złapałem syfa od osiemnastoletniej Włoszki w Hiliside i teraz, teraz, nie mam już p-p-p-penis!



- Jego maluszek - krzyczy matka - którego laskotałam, żeby zrobił psi psi...

- NIE DOTYKAJ NIKT NIE RUSZA SIĘ Z MIEJSC - woła ojciec, bo matka już się prawie chce rzucać na podłogę niczym wdowa do grobu nieboszczyka męża - trzeba zadzwonić do Towarzystwa Opieki...

- Jak do wściekłego psa? - zawodzi matka.

- Sophie, a co proponujesz? Zostawić go na pamiątkę w szufladzie? Żeby pokazywał swoim dzieciom? Przecież nie będzie miał dzieci!

Matka zaczyna wyć żałośnie niczym zbolące zwierzę, a ojciec... ale scena prędko się rozmywa, bo w ciągu kilku sekund ślepnę, a po godzinie mój mózg przybiera konsystencję gorącego krochmalu.

Nad zlewem państwa Girardi wisi przypięta do ściany podobizna Jezusa Chrystusa wznoszącego się do nieba w różowej koszuli nocnej. Ale ludzie potrafią być obrzydliwi! Nienawidzę Żydów za ich tępotę, egoizm, niewiarygodnie dziwne przekonanie o własnej wyższości, jakie mają ci jaskiniowcy, czyli moi rodzice i krewni... jeżeli jednak chodzi o tandetność i kicz, o wiarę, której powstydziliby się nawet goryl, nikt się wprost nie równa z gojami. Co to za durnie i pustogłowi idioci, żeby czcić kogoś, kto, po pierwsze, nigdy nie istniał, a po drugie, nawet jeśli istniał, z takim wyglądem jak na tym obrazku był niewątpliwie głównym pedałem Palestyny. Fryzura na pazia, cera jak z reklamy kosmetyków „Palmolive”, ubrany w szatę, która dziś pochodziłaby od Fredericksa z Hollywood! Dość już tego Boga i innych bredni! Precz z religią i upodleniem ludzi! Niech żyje socjalizm i godność ludzka! Właśnie znalazłem się w domu Girardich nie tyle po to, żeby przerznąć ich córkę - błagam cię, Boże! - ile żeby głosić ewangelię Henry Wallace'a i Glena Taylora. Jasne! Bo kim są ci Girardi, jeżeli nie ludźmi, o których prawa, swobody i godność szwagier i ja tocymy co niedziela spory z beznadziejnie ciemnym starszym pokoleniem - z ojcem i stryjem (co głosują na demokratów, a myślą jak neandertalczyki). Jak się nam tu nie podoba, mówią, to dlaczego nie pojedziemy do Rosji, gdzie wszystko jest cacy?

- Zrobisz z tego dzieciaka komunistę - ojciec ostrzega Morty'ego, na co wołam:

- Nic nie rozumiesz! Wszyscy ludzie są braćmi! Jezu, udusiłbym go na miejscu, za to, że jest tak ślepy na braterstwo ludzkie!

Teraz, skoro ma się żenić z moją siostrą, Morty jeździ ciężarówką i pracuje w magazynie u mojego stryja, gdzie i ja w pewnym sersie pracuję - już trzy soboty z rzędu wstaję przed świtem, żeby wyładowywać z nim kartony Squeeze do wiejskich

sklepów na pustkowiu, gdzie New Jersey styka się z górami Pocono. Napisałem słuchowisko radiowe, natchniony przez mistrza Normana Corwina i jego utwór dla uczczenia Dnia Zwycięstwa w Europie: *Dźwięk tryumfu* (Morty kupił mi tę książkę na urodziny). „Zatem wróg leży martwy w zaułku za Wilhelmstrasse, schyl głowę, żołnierzu, schyl głowę, człowiecze...” Już sam rytm przyprawia mnie o dreszcze niczym rytm marszu zwycięskiej Armii Czerwonej i pieśń, której uczyliśmy się w szkole podstawowej podczas wojny, zwana przez naszych nauczycieli „Chińskim Hymnem Narodowym”. „Powstańcie, ci, którzy nie chcecie w więzach niewoli widzieć ciało swe i krew...” Ach, ta buntownicza kadencja! Pamiętam każde bohaterskie słowo! „... zbudujemy nowy wielki mur!” No i moja ulubiona linijka, zaczynająca się od mojego ulubionego słowa: „Oburzenie przepęlnia serca naszych rodaków! Powstań-cie! Powstań-cie! POWSTAŃ-CIE!”

Otwieram swoje słuchowisko na pierwszej stronie i zaczynam czytać Morty'emu na głos, kiedy ruszamy ciężarówką przez Irvington i Oranges na zachód do Illinois! Do Indiany! Do Iowy! O, moja Ameryko równin, gór i dolin, rzek i kanionów... Z takimi właśnie patriotycznymi wezwaniami próbowałem zasypiać wieczorem, kiedy już wyonizowałem się w skarpetkę! Moje słuchowisko radiowe nazywa się: *Niech zabrzmi wolność!* Jest to moralitet (teraz już wiem), którego głównymi bohaterami są Upředzenie i Tolerancja, napisany czymś, co nazywam „prozą poetycką”. Podjeżdżamy pod bar w Dover, stan New Jersey, właśnie kiedy Tolerancja występuje w obronie Murzynów, którym zarzuca się inny zapach. Brzmienie mojej własnej humanistycznej, współczującej, łacińskiej, aliteracyjnej retoryki rozdętej wprost nie do poznania przez Thesaurus Rogeta (prezent urodzinowy od siostry) plus świt dokoła i moja w nim obecność, plus wytatuowany barman w knajpie, któremu Morty mówi „szefie”, plus po raz pierwszy w życiu smażone kartofle na śniadanie, plus kołysanie się w szoferce ciężarówki w lewisach, kurtce i mokasynach (tam na autostradzie nie przypominają wcale stroju, w którym chodzę po korytarzach liceum) plus słońce wyzierające zza górzystych pól uprawnych New Jersey, mojego stanu - jestem odrodzony! Wolny nareszcie od wstydlivych sekretów! Czuję się czysty, silny i cnotliwy jak prawdziwy Amerykanin! Morty wyjeżdża na autostradę i właśnie wtedy składam przysięgę, ślubuję sobie, że poświęcę życie na naprawianie zła, na wywyższanie poniżanych i pogardzanych, na wyzwalenie ludzi niesłusznie wtrąconych do więzień. Biorę Morty'ego na świadka - mojego lewicującego, nowo odnalezionego starszego brata, prawdziwego mężczyznę, żywy

dowód na to, że można kochać zarówno ludzkość, jak i baseball (w dodatku kocha moją starszą siostrę, którą sam teraz jestem gotów pokochać za otwarcie przed nami klapy bezpieczeństwa, umożliwiającej nam ucieczkę), który działając w Komitecie Weteranów Amerykańskich ma dostęp do Billa Bauldina, mojego bohatera na równi z Corwinem czy Howardem Fastem - przed Mortym przysięgam ze łzami miłości (do niego, do siebie) w oczach, że będę korzystał z „oreża pióra”, aby uwalniać od niesprawiedliwości i wyzysku, od poniżenia, nędzy i ciemnoty tych ludzi, o których teraz myślę (z gęsią skórką) jako o Ludziach.

Czuję lodowaty strach. Przed dziewczyną i syfem! Przed jej ojcem i jego kolegami! Przed bratem i jego pięściami! (Chociaż Smolka usiłował mnie przekonać, w co trudno mi uwierzyć nawet u gojów, że zarówno brat, jak i ojciec wiedzą, że Szelma jest „ciwką”.) No i strach, że pod oknem kuchennym, z którego zamierzam skoczyć, jeśli tylko usłyszę kroki na schodach, znajduje się żelazne ogrodzenie, na które się nadzieję. Ogrodzenie, które mam na myśli, okala w rzeczywistości katolicki sierociniec przy Lyons Avenue, ale teraz jestem już na pół przytomny, między halucynacją a maligną, jak gdybym był zbyt długo pozbawiony jedzenia. Widzę zdjęcie w „Wiadomościach Newark” przedstawiające to ogrodzenie i ciemną kałużę swojej krwi na chodniku, a poniżej podpis, z którego moja rodzina nigdy się nie otrząśnie: **SYN AGENTA UBEZPIECZENIOWEGO WYSKOCZYŁ OKNEM.**

Kiedy tak siedzę trzęsąc się z zimna w swoim igloo, Mandel smaży się we własnym pocie... a ja czuję ten odór. Zapach ciała Murzynów budzi we mnie współczucie, wyzwala „prozę poetycką” - Mandla natomiast znoszę znacznie gorzej: „przyprawia mnie o mdłości” (jak mówi o nim moja matka), co nie znaczy, że mniej mnie fascynuje niż Smolka. Też ma szesnaście lat i też jest Żydem jak ja, ale tu kończy się wszelkie podobieństwo - ma włosy ostrzyżone na kaczy kuper, baki aż do kości szczęki, chodzi w garniturach zapinanych na jeden guzik, spiczastych czarnych półbutach i kołnierzykach a la Billy Eckstine, większych niż nosił sam Billy Eckstine! I też jest Żydem. Nie do wiary! Pewien nauczyciel moralista zdradził nam, że Arnold Mandel ma iloraz inteligencji geniusza, a mimo to woli jeździć na przejażdżki kradzionymi samochodami, palić papierosy i upijać się piwem. Czy to się mieści w głowie? Żydowski chłopiec? Jest również członkiem klubu onanistów działającego po szkole przy zasuniętych storach w salonie Smolków, podczas gdy obaj starsi Smolkowie harują w warsztacie krawieckim. Krążą takie pogłoski, ale (mimo

własnych praktyk masturbacyjnych, ekshibicjonizmu i voyeuryzmu, nie mówiąc już o fetyszyzmie) nie mogę i nie chcę w nie uwierzyć - podobno czterech lub pięciu chłopców siada kołem na podłodze i na znak Smolki wszyscy zaczynają się brandzlować. Ten kto pierwszy wytryśnie, zgarnia pulę, czyli po dolarze od łebka.

Co za świntuchy.

Jedyne wyjaśnienie, jakie potrafię znaleźć na postępki Mandla, to fakt, że jego ojciec umarł, kiedy Mandel miał zaledwie dziesięć lat. I to mnie w nim oczywiście pociąga najbardziej - chłopak bez ojca.

A czym tłumaczę Smolkę i jego ekscesy? Ma pracującą matkę. Moja, proszę pamiętać, patroluje sześć pokoi naszego mieszkania, tak jak oddziały guerilla przeczesują własny kraj - nie sposób znaleźć choć jednej szafy czy szuflady, której zawartości nie znałaby z fotograficzną dokładnością. Tymczasem matka Smolki siedzi cały dzień przy małej lampce na krzeselku w kącie pracowni ojca i szyje, a kiedy wieczorem wraca do domu, nie ma siły uruchomić swojego licznika Geigera, żeby wykryć kolekcję wymyślnych prezerwatyw syna, od której włosy stają dęba. Smolkowie, trzeba panu wiedzieć, nie są tak zamożni jak my - i na tym polega zasadnicza różnica. Matka musi pracować, no i nie stać ich na żaluzje... to już wszystko wyjaśnia - że pływa w parku olimpijskim i że zawsze wyciąga łapę do kutasów innych chłopców. Żyje babeczkami i własnym rozumem. Ja zaś dostaję ciepły obiad, a wraz z nim wszystkie zahamowania. Ale proszę mnie źle nie zrozumieć (jak gdyby to było możliwe) - podczas zimowej śnieżycy nie ma nic bardziej podniecającego, kiedy się otrzepuje z butów breję na ganku kuchennym, niż piosenka *Ciocia Jenny* dochodząca z radia i zapach zupy pomidorowej grzejącej się na kuchni. Co może się równać ze świeżo wypraną i wyprasowaną piżamą o każdej porze roku i z wonią pasty meblowej w sypialni? Czy chciałbym mieć w szufladzie zmiętą, szarą bieliznę tak jak Smolka? Bynajmniej. Czy chciałbym nosić skarpetki bez palców i nie dostawać gorącej lemoniady z miodem, kiedy mam chore gardło?

Można to jednak ująć inaczej: czy chciałbym, żeby Szelma Girardi przyszła kiedyś po południu do mnie do domu i zrobiła mi minetę tak jak Smółce na jego własnym łóżku?

A teraz drobna ironia losu. Zeszłej wiosny kogo spotykam na Worth Street jak nie dawnego członka klubu onanistów we własnej osobie, pana Mandla z walizką

domokrażcy pełną pasów przepuklinowych, gorsetów i suspensoriów. Kto by pomyślał? Byłem absolutnie zaskoczony, że on nadal żyje i oddycha. Nie mogłem tego pojąć i po dziś dzień nie mogę. Ożenił się, osiedlił, ma żonę, dwójkę małych dzieci i dom na ranczo w Maplewood, New Jersey. Nie tylko żyje, ale - jak mi oznajmia - ma węża gumowego do podlewania ogrodu, rożen i brykiety. Mandel, który ze strachu przed Pupi Campo i Tito Valdezem poszedł w dniu ukończenia szkoły do ratusza i zmienił oficjalnie imię Arnold na Ba-ba-lu. Mandel, który wypijał sześć puszek piwa na raz! Istny cud! Nie do wiary! Jak go, u licha, ominęła kara? Przecież rok w rok wałkonił się na rogu Chancellor i Leslie, wysiadywał jak na grzędzie niczym latynoski szmaciarz na swoich bębnach bongo, z kaczym kuprem obnażonym przed niebiosami... i nikt i nic go nie poraziło! Ma teraz trzydzieści trzy lata, podobnie jak ja, i jest sprzedawcą u teścia, który prowadzi skład artykułów ortopedycznych na Market Street w Newark. A co u mnie słyhać, pyta, jak zarabiam na życie? Naprawdę nie wie? Czyżby nie trafił na listę wysyłkową moich rodziców? Przecież chyba wszyscy wiedzą, że jestem najporządniejszym człowiekiem w całym Nowym Jorku, kierując mną wyłącznie czyste motywacje oraz ideały człowieczeństwa i współczucia? To on nie wie, że zarabiam na życie byciem porządnym człowiekiem?

- Mam państwową posadę - odpowiedziałem wskazując na budynek Worth Street numer trzydzieści.

Chodząca skromność.

- Widujesz czasem chłopaków? - pyta Ba-ba-lu.

- Ożeniłeś się?

- Nie, nie.

Mimo całej tej nowej gadki, odzywa się w nim dawny latynoski szmaciarz.

- No to, tego, jak sobie radzisz z ciupcianiemiem?

- Mam romanse, Arn, poza tym walę konia.

Błąd, myślę natychmiast. Błąd! A jeżeli on to chlapnie do „Dziennika Porannego”? ZASTĘPCA KOMISARZA DO SPRAW RÓWNOUPRAWNIENIA TRZEPIE KAPUCYNA. *Też żyje w grzechu. Relacja kolegi z lawy szkolnej.*

Nagłówki. Zawsze nagłówki ujawniają moje brudne sekrety wstrząśniętemu i zgorszonymu światu.

- Stary - pyta Ba-ba-lu - pamiętasz Ritę Girardi? Szelmę? Tę, co nam wszystkim robiła minetę?

- A co? - Zniź głos, Ba-ba-lu! - Co takiego?

- Nie czytałeś w „Wiadomościach”?

- W jakich „Wiadomościach”?

- W „Wiadomościach Newark”.

- Nie czytuję już gazet z Newark. Co się z nią stało?

- Zamordowano ją. W barze przy Hawthorne Avenue, tuż za pawilonem. Była z jakimś negatywem, a wtedy wszedł inny negatyw i zastrzelił ich oboje. W głowę. I co ty na to? Pierdoliła się z czarnuchami.

- O, rany - zawołałem szczerze. Raptem coś mi się przypomniało: - Ba-ba-lu, a może wiesz, co się dzieje ze Smolką?

- Nie bardzo - mówi Ba-ba-lu. - Zdaje się, że jest profesorem. Coś tak słyszałem, że jest profesorem.

- Profesorem? Smolka?

- Chyba uczy gdzieś na uniwerku.

- Niemożliwe - mówię pogardliwym tonem wyższości.

- Aha. Tak mi ktoś powiedział. W Princeton.

- W Princeton?

Nie do wiary! Mimo że nie dostawał gorącej zupy pomidorowej na obiad w mroźne popołudnia? Mimo że spał w cuchnących piżamach? Właściciel tych wszystkich czerwonych gumowych naparstków jeżących się spiczastymi wypustkami, które podobno doprowadzały dziewczyny w Paryżu do szału? Ten Smolka, co pływał w basenie w parku olimpijskim, on też żyje? I jest *noch* profesorem w Princeton? Na jakim wydziale - filologii klasycznej czy astrofizyki? Ba-ba-lu, mówisz jak moja matka. Chciałeś chyba powiedzieć, że jest hydraulikiem albo elektrykiem. Bo w to nie uwierzę! Gdzieś w głębi wnętrzości, w odmętach najskrytszych emocji i najdawniejszej wiary, mimo znanych mi faktów, że Smolka i Mandel cieszą się jak najbardziej własnymi domami i zawodowymi możliwościami dostępnymi ludziom na naszej planecie, nie chce mi się wierzyć, że ci dwaj nicponie utrzymali się przy życiu, a co dopiero wierzyć w ich mieszczańskie kariery. Jak to, przecież powinni skończyć w więzieniu albo w ryszotku. Nie odrabiali lekcji, do cholery! Smolka ściągał ode mnie

na hiszpańskim, a Mandel miał wszystko w dupie i nie zadawał sobie nawet tyle trudu, jeśli zaś chodzi o mycie rąk przed jedzeniem... Nie rozumie pan, że ci dwaj chłopcy powinni byli dawno zejść z tego świata! Tak jak Szelma. Przynajmniej jej los jest zrozumiały. Przyczyna i skutek, potwierdzające moje pojęcie o konsekwencjach postępów ludzkich! Jeżeli ktoś jest aż tak zły, aż tak zepsuty, to go negatywy pozbawiają głowy zdatnej tylko do minety. Tak powinien toczyć się ten świat!

Smolka wraca do kuchni i oznajmia, że Szelma się nie zgadza.

- Przecież obiecałeś, że nas przerypie! – woła Mandel. - Obiecałeś, że nam pociągnie fleta! Przemagluje nas na cacy, sam tak mówiłeś!

- W cholere - ucinam - jak nie chce, to niech się wypcha, idziemy...

- Ale przecież waliłem się od tygodnia na tę okazję! Nigdzie nie idę! Smolka, co to za zafajdany interes? Nawet mnie nie wybrandzluje?

No i ja ze swoim refrenem:

- Co tam, jak nie chce, to idziemy...

Mandel:

- Kim ona, do cholery, jest, żeby człowiekowi żałować ręki? Tylko ręki. Jakbyśmy ją prosili nie wiadomo o co. Nie ruszam się stąd, póki mnie nie wybrandzluje albo nie pociągnie druta, co woli! Niech wybiera, pierdolona dziwka!

No więc Smolka wychodzi na drugą konferencję i wraca po blisko półgodzinie z wiadomością, że dziewczyna zmieniła zdanie - wymasturbuje jednego z nas, ale bez zdejmowania spodni, i na tym koniec. Rzucamy monetę... i ja wygrywam prawo do złapania syfa! Mandel twierdzi, że moneta odbiła się o sufit, jest gotów mnie zamordować, nadal woła, że to nie fair, kiedy wchodzę do salonu po swoją nagrodę.

Szelma siedzi w halce na sofie po drugiej stronie pokoju, siedemdziesiąt siedem kilo żywej wagi, pod nosem sypie jej się wąsik. Anthony Peruta, tak się nazywam, w razie gdyby spytała. Ale nie pyta.

- Słuchaj - zaczyna Szelma - postawmy sprawę jasno. Robię to tylko z tobą i z nikim więcej.

- Jak sobie życzysz - mówię uprzejmie.

- Dobra, wyciągaj go ze spodni, ale nie zdejmuj. Słyszysz, bo oświadczyłam Smolce, że nie mam się zamiaru bawić niczyimi jajami.

- Jasne. Co tylko każesz.

- I nie próbuj mnie dotykać.

- Jak chcesz, żebym wyszedł, to sobie pójdę.

- No już, wyciągaj.

- Skoro tak mówisz, zaraz... zaraz - szykuję się, ale przedwcześnie. - Już go wyjmuję...

Gdzie on się podział? W szkole czasem specjalnie staram się myśleć o ŚMIERCI, SZPITALACH i STRASZNYCH WYPADKACH SAMOCHODOWYCH w nadziei, że takie ponure myśli pozwolą opaść mojemu „stojakowi”, nim zadzwoni dzwonek i będę musiał wstać. Nie mogę na dobrą sprawę podejść w klasie do tablicy ani wysiąść z autobusu, żeby on nie wyskoczył i nie powiedział:

„Cześć! Patrzcie na mnie!” wszystkim obecnym w zasięgu wzroku... a teraz nie mogę go nigdzie znaleźć.

- O, jest! - wołam wreszcie.

- To ma być to?

- No... - cały się rumienię - robi się większy, jak stwardnieje...

- Nie będę się z tobą cackać przez całą noc.

Przymilnie:

- Po co od razu „całą noc”...

- Kładź się!

Szelma, niezbyt usatysfakcjonowana, siada na krześle, wyciągam się obok niej na sofie... i naraz, już go wzięła, a ja się czuję, jak gdyby mój biedny kutas dostał się w tryby jakiejś maszyny. Energicznie, mówiąc oględnie, przystępuje do tortur. Ale to jakby ktoś chciał wymasturbować meduzę.

- Co z tobą? - pyta w końcu. - Nie możesz skończyć?

- Zwykle mogę.

- Przestań to w sobie dusić.

- Nie duszę, Szelma, staram się...

- Liczę do pięćdziesięciu, jak się nie spuścisz, to nie moja wina.

Do pięćdziesięciu? Będę miał szczęście, jeśli mi się nie urwie, zanim ona dojdzie do pięćdziesięciu. „Powoli” - mam ochotę krzyknąć. „Błagam, nie tak ostro na



brzegach!” - ...jedenaście, dwanaście, trzynaście.. - myślę przy tym w duchu: „Chwała Bogu, zaraz będzie po wszystkim, trzymaj się, jeszcze tylko czterdzieści sekund...” a wraz z ulgą przychodzi oczywiście zawód, i to dotkliwy - przecież o tym właśnie marzyłem dzień i noc, odkąd skończyłem trzynaście lat. Wreszcie nie wydrażone jabłko, nie butelka po mleku nasmarowana wazeliną, ale dziewczyna w halce z dwoma cyckami, cipą... i węsami, ale jakie mam prawo grymasić? Spełnienie moich fantazji...

I wtedy wpadam na pomysł, co robić. Muszę zapomnieć, że ręka, która mnie tarmosi, należy do Szelmy - będę udawał, że to moja własna! Patrę więc uporczywie w ciemny sufit i zamiast wyobrazać sobie, że mnie ktoś bierze, jak to zwykle robię podczas masturbacji, wyobrażam sobie, że sam się onanizuję.

Natychmiast osiągam pożądany efekt. Niestety, zaczynam dochodzić dopiero wtedy, kiedy dzień pracy Szelmy dobiega końca.

- Starczy tego - mówi dziewczyna - pięćdziesiąt - i odrywa rękę!

- Nie! - wołam. - Jeszcze!

- Coś ty, pracowałam bite dwie godziny, zanim żeście przyszli...

- JESZCZE TYLKO RAZ! BŁAGAM! DWA RAZY! PROSZĘ CIĘ!

- NIE!

Wówczas nie mogąc (jak zwykle!) pogodzić się z tą frustracją - z taką stratą i rozczarowaniem - łapię się za niego, ściskam i BACH!

Tyle że prosto sobie w oko. Jedno szarpnięcie ręką mistrza, jak z bicza, i strzela ze mnie piana. Pytam się, kto mnie tak umie walić, jak nie ja sam? Ponieważ jednak siedzę zgięty wpół, wytrysk startuje poziomo z mojego członka, leci wzdłuż ciała i ląduje z ciężkim, piekącym, lepkiem piaskiem prosto w moim oku.

- Ty skurwysyński parchu! - wrzeszczy Szelma. - Zapryskales całą kanapę! I ściany! I lampę!

- Wpadło mi do oka! I nie waż się mówić na mnie parch!

- Jesteś parch, ty parchu! Zapryskales wszystko, ty skurwysynu żydłaku! Spójrz na serwetki!

Sprawdzają się co do joty przestrogi rodziców - kiedy dochodzi do pierwszej sprzeczki, choćby najdrobniejszej, gojka zawsze nazwie cię parszywym Żydem. Co za potworne odkrycie - rodzice, którzy zawsze się mylą... mają rację! A moje oko... jak gdyby je wrzucono do ognia... i od razu wszystko sobie przypominam. Smolka kiedyś

nam opowiadał, jak na Wyspie Diabelskiej strażnicy zabawiali się kosztem więźniów, wcierając im spermę do oczu i w ten sposób ich oślepiali. Tracę wzrok! Gojka dotknęła gołą ręką mojego kutasa i teraz będę ślepy do końca życia! Panie doktorze, zrozumienie mojej psychiki nastrecza chyba nie więcej trudności niż elementarz! Pytam się pana, na co komu marzenia senne? Komu potrzebny jest Freud? Nawet Rose Franzblau z „New York Post” potrafi z łatwością zanalizować taki przypadek jak mój!

- Ty mošku! - woła Bubbies. - Ty srulu! Nie możesz nawet skończyć, jak nie pociągniesz własnego fajfusa, tani drań, pedalskie nasienie!

Hola, co za dużo, to niezdrowo, a gdzie jej współczucie?

- Moje oko! - i wybiegam do kuchni, gdzie Smolka i Mandel tarzają się z uciechy.

- ...prosto w... - wybucha Mandel i zgina się we dwoje na podłodze, tłukąc pięściami w linoleum - ...prosto w pierdolone...

- Wody, łobuzy, ja ślepnę! Pali mnie! - jednym susem przeskakuję ciało Mandla i wkładam głowę pod kran. Nad zlewem Jezus nadal wznosi się w różowej koszuli nocnej. Bezużyteczny łajdak! Sądziłem, że za jego sprawą chrześcijanie powinni mieć współczucie i serce. Sądziłem, że kazał litować się nad cierpieniem bliźnich. Co za brednie! Jeśli oślepnę, to z jego winy! Tak, zaczynam w nim upatrywać wszelką przyczynę swojego bólu i wstydu. Tylko, o mój Boże, nagła myśl, kiedy zimna woda ścieka mi po twarzy, jak ja wytłumaczę rodzicom swoją ślepotę! Matka i tak spędza właściwie pół życia trzęsąc się nad moim tyłkiem, sprawdzając konsystencję mojego stolca - jak ja ukryję fakt, że straciłem wzrok?

- Stuk, stuk, stuk, to ja, mamó, ten dobry pies przyprowadził mnie do domu, z laską.

- Pies? W moim domu? Zabieraj go stąd, nim wszystko zaświni! Jack, on wpuścił psa do domu, akurat kiedy zmyłam podłogę w kuchni!

- Mamusiu, posłuchaj, on tu musi zostać, musi, to pies przewodnik. Jestem niewidomy.

- Boże święty! Jack! - woła matka w stronę łazienki. - Jack, Aleks wrócił do domu z psem... bo jest niewidomy!

- Niewidomy? - powtarza ojciec. - Jak może być niewidomy, skoro nie umie nawet zgasić za sobą światła.

- Jak? - wrzeszczy matka. - Jak? Powiedz, jak to się...

Jak, mamó? Jakżeby inaczej? Zadawałem się z chrześcijankami.

Nazajutrz dowiaduję się od Mandla, że niecałe pół godziny po mojej sromotnej ucieczce Szelma uklękała na tych swoich pierdolonych makaroniarskich kolanach i obciągnęła go ustami.

Aż mi się zakręciło w głowie:

- Obciągnęła?

- Na tych swoich pierdolonych makaroniarskich kolanach - potwierdza Mandel. - Frajerze, po coś poleciał do domu?

- Nazwała mnie parchem! - wyjaśniam obłudnie. - Myślałem, że już ślepnę. To jakaś antysemitka, Ba-ba-lu.

- A co mnie to, kurwa, obchodzi? - mówi Mandel. Pewno nie ma pojęcia, co znaczy „antysemitka”. - Wiem tylko, że przeleciałem ją dwa razy.

- Przeleciałeś? Z kondomem?

- Co ty, kurwa, nic nie miałem.

- No to zajdzie w ciążę! - wołam przerażony, jak gdybym to ja ponosił winę.

- A co to, moja broszka? - odpowiada Mandel. No więc dlaczego ja się przejmuję! Dlaczego tylko ja marnuję całe godziny na sprawdzaniu trojanek w piwnicy? Dlaczego tylko ja żyję w śmiertelnym strachu przed syfem? Dlaczego biegnę do domu z przekrwionym okiem, wyobrażając sobie, że straciłem na zawsze wzrok, gdy tymczasem Szelma pół godziny potem na kolanach obciąga kutasa! Do domu - do mamusi! Do herbatników i szklanki mleka, do domu, do czystego, przytulnego łóżka! Oj, cywilizacja jako źródło cierpień! Ba-ba-lu, mówże, gadaj, opowiedz, jak ci z nią było! Muszę wiedzieć, i to ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami! Jakie ma cycki? Jakie ma sutki? Jakie ma uda? Co robi z udami, Ba-ba-lu, czy ściska ci tyłek, jak to opisują w zakazanych książkach, czy może oplata je ciasno na kutasie, aż człowiek ma ochotę zawyć, tak jak w moich marzeniach? A jakie ma tam włosy? Opowiedz mi wszystko o jej włosach łonowych i o zapachu, chociaż słyszałem to już tyle razy. Naprawdę klęczała czy robisz mnie w konia? Naprawdę klęczała na kolanach? Jakie ma zęby i co nimi robi? Co robi dokładnie - ssie czy dmucha, a może jedno i drugie naraz! Na miłość boską, Ba-ba-lu, strzeliłeś jej prosto do buzi? O, mój Boże! I co, połknęła od razu, wypluła czy się wściekła - powiedz! Co zrobiła z twoją

sperma? Uprzedziłeś ją, że zaraz kończysz, czy po prostu skończyłeś i niech się sama martwi? Kto jej go włożył, sama sobie włożyła czy tyś jej wsadził, czy może sam się tam wśliznął? I gdzie leżały wasze ubrania? Na kanapie? Na podłodze? Ale dokładnie! Chcę znać szczegóły! Szczegóły! Najdrobniejsze szczegóły! Kto jej zdjął biustonosz, kto jej zdjął majtki - majtki - tyś zdjął? Czy ona sama? Ba-ba-lu, miała coś na sobie, jak ci robiła minetę? A poduszka pod pupą, włożyłeś jej poduszkę pod pupę, jak radzą w podręczniku małżeńskim moich rodziców? Co się stało, kiedy w nią wszedłeś? Ona też miała orgazm? Mandel, wyjaśnij mi jedną rzecz - czy one mają orgazm? Coś im tryska? Czy tylko dużo jęczą, czy jak? Jak wyglądał Jej orgazm? Co to było? Zanim do reszty oszaleję, muszę się dowiedzieć, jak to z nimi jest!

## **NAJBARDZIEJ POWSZECHNA FORMA DEGRADACJI ŻYCIA EROTYCZNEGO**

Nie wspominałem chyba jeszcze o nieproporcjonalnych skutkach, jakie charakter pisma Małpki wywarł na moją równowagę psychiczną. Co za beznadziejna kaligrafia! Przypominała pismo ośmioletniego dziecka, co doprowadzało mnie niemal do szału! Żadnych dużych liter, żadnych znaków przestankowych, tylko te jej wielkie, kulfoniaste litery zjeżdżające w dół strony, a na końcu maczek. Do tego drukowane, jak na rysunkach, które zanosiliśmy w rączuchnach do domu, kiedy byliśmy w pierwszej klasie! No i ta ortografia. Najprostsze słowo jak „krzesło” ma trzy pisownie na jednej stronie. Rozumie pan, najzwyczajsze krzesło dwa razy na trzy zaczyna się od „h” - „hrzesło”! Zamiast od „k”. K! Jak Józef K! Nie mówiąc już o „kochanie” w nagłówku listu: k-o-h-a-n-i-e. Albo: k-o-h-a-n-j-e. A w pierwszym liście (tę formę wprost ubóstwiam): k-o-h-a-n-j-e. W dniu, w którym wybieramy się na przyjęcie do Gracie Mansion, rezydencji burmistrza - KOHAŃJE! Wciąż muszę sobie zadawać pytanie - czym wytłumaczyć swój związek z trzydziestoletnią blisko kobietą, która uważa, że „kochany” pisze się przez samo „h”!

Minęły już dwa miesiące od mojego podrywu na Lexington Avenue i nadal pchają mnie naprzód te same dwa nurty uczucia - z jednej strony pożądanie, wprost deliryczne (nigdy dotąd nie zaznałem takiego żywiołowego związku z kobietą!), a z drugiej - uczucie graniczące z pogardą. Przepraszam. Zaledwie kilka dni wcześniej pojechaliśmy na wycieczkę do Vermont, na ów weekend, kiedy zdawało się, że znikła moja ostrożność - lęk wobec jej urody modelki, prymitywnego pochodzenia, a zwłaszcza seksualnej brawury - że ustąpił cały ten strach i brak zaufania, a jego miejsce zajęła rwąca fala czułości i afektu.

Jestem teraz pod wrażeniem eseju zatytułowanego: *Najbardziej powszechna forma degradacji życia erotycznego*; jak się pan zapewne domyśla, kupiłem *Dzieła zebrane* i od powrotu z Europy co wieczór zasypiam sam, bez kobiety, w odosobnieniu swojego łóżka z tomem pism Freuda w ręku. Czasem z Freudem w ręku, czasem z Alekssem w ręku, często z obydwoma naraz. Tak, leżę samotnie w rozpiętej piżamie, bawię się nim jak mały chłopiec w narkotycznym śnie, ciągnę go, szarpię, pocieram, gnioię, i czytam z zapartym tchem *Szkic o psychologii miłości*, polując na

zdanie, frazę lub słowo, które by mnie uwolniło od tego, co jak rozumiem, uważa się za fantazje i fiksacje.

Właśnie w *Degradacji* znalazłem to wyrażenie: „nurty uczucia”. Dla osiągnięcia „w pełni normalnego stanu miłości” (warto by zrobić analizę semantyczną „w pełni normalnego”, ale idźmy dalej...), dla osiągnięcia w pełni normalnego stanu miłości, pisze autor, muszą się połączyć dwa nurty uczucia: czułego afektu i zmysłowości. Niestety w wielu przypadkach tak się nie dzieje: „Kiedy ci ludzie kochają, nie czują pożądania, a kiedy je czują, nie są zdolni do miłości”.

Pytanie: Czy mam się uważać za przedstawiciela owej większości? Mówiąc jasno i prosto, czy zmysłowość Aleksandra Portnoya jest zafiksowana na jego fantazjach kazirodczych? Jak pan sądzi, doktorze? Czy aż tak drastyczne ograniczenie nałożono na mój wybór obiektu? Czy to prawda, że zmysłowość dojdzie do głosu tylko pod tym warunkiem, że obiekt seksualny w jakiś sposób mnie zdegraduje? Czy to wyjaśnia moje zainteresowanie gojkami?

Ale jeśli tak, jeśli tak jest, jak wytłumaczyć tamten weekend w Vermont? Bo puściła tama bariery kazirodczej, przynajmniej na to wyglądało. I łup, zmysłowość zmieszała się z najczystszyimi, najgłębszymi nurtami uczucia, jakich kiedykolwiek zaznałem! Mówię panu, połączenie tych dwóch nurtów było niesamowite! Podobnie u niej! Nawet się do tego przyznała!

A może to jedynie kolorowe liście, jak pan sądzi, płomień na kominku w jadalni zajazdu w Woodstock, zmiękczył nas oboje? Czy ogarnęła nas czułość, czy tylko jesień zrobiła swoje, wzdymając pękatą dynię (John Keats) i zamieniając zwykłą turystykę w ekstatyczną tęsknotę za godziwym, prostym życiem? Czy stanowiliśmy kolejną parę bezdomnych erotomanów w ścieralnych dzinsach, zamieszkałych w dżungli, zachłystujących się historyczną Nową Anglią, śniących stary rustykalny sen w wynajętym kabriolecie - czy też jest to w pełni normalny stan miłości, bo taka możliwość zaświtała mi w głowie podczas tych kilku słonecznych dni, które spędziliśmy z Małpką w Vermont?

Co się konkretnie zdarzyło? Przez większość czasu jeździliśmy samochodem. I oglądaliśmy - doliny, góry, światło na polach, no i oczywiście liście, pełni ochów i achów. Raz zatrzymaliśmy się, żeby się przyjrzeć komuś w oddali, wysoko na drabinie, jak wali młotkiem w ścianę stodoły - i to też była frajda. No i ten wynajęty samochód. Poleciliśmy samolotem do Rutland, a tam wynajęliśmy kabriolet. Kabriolet,

wyobraża pan sobie? Przeżyłem jedną trzecią stulecia jako Amerykanin, a to był pierwszy kabriolet, jaki w życiu prowadziłem. Wie pan dlaczego? Bo przecież syn agenta ubezpieczeniowego wie lepiej od innych, na co się człowiek naraża, jadąc takim wozem. Zna co do joty przerażającą statystykę! Wystarczy trafić na dziurę w jezdni i koniec, z kabrioletem nie ma żartów - wylatuje się z fotela (żeby nie mówić bardziej obrazowo) prosto na autostradę czaszką w dół, i jeśli człowiek ma szczęście, czeka go tylko wózek inwalidzki do końca życia. A kapotaż w kabrioecie - można się na dobre pożegnać z życiem. Tak się przedstawiają dane (jak powiada mój ojciec), a nie jakieś banialuki, które wyssał dla zabawy z palca. Towarzystwa ubezpieczeń nie mają interesu w tym, żeby tracić pieniądze - kiedy coś mówią, Aleks, to jest to święta prawda! A mojemu mądrymu ojcu wtóruje mądra matka:

- Błagam cię, żebym mogła spać w nocy przez te cztery lata, przyrzeknij mi jedno, obiecaj mamie to jedno i nigdy o nic więcej cię już nie poproszę: obiecaj, że kiedy udasz się do Ohio, nie będziesz jeździł odkrytym kabrioletem. Żebym mogła wieczorem spokojnie usnąć, Aleks, przyrzeknij, że nie będziesz rozporządzał własnym życiem w szalony sposób.

I znów ojciec:

- Bo jesteś śliwką, Aleks! - mówi przerażony, bliski łez wobec mojego rychłego wyjazdu z domu. - A nie chcemy, żeby śliwka spadła z drzewa, nim dojrzeje!

1. Przyrzeknij, Śliweczko, że nigdy nie będziesz jeździł kabrioletem. To przecież drobiazg. Co ci to szkodzi obiecać?

2. Odszukasz Howarda Sugarmana, kuzyna Sylwii. To uroczy chłopak - no i prezes stowarzyszenia hillelitów. On ci pokaże okolice. Koniecznie się z nim skontaktuj.

3. Śliweczko, kochanie, promyczku światła, pamiętasz kuzyna Heszego, katusze, jakie zadał sobie i całej rodzinie przez tamtą dziewczynę? Co ten stryj Hymie musiał przejść, żeby uchronić chłopaka od szaleństwa. Pamiętasz? Czy trzeba coś dodawać? Aleks, jasno się wyraziłem? Nie leć na tandetę. Nie odrzucaj całej swojej wspaniałej przyszłości dla absolutnego zera. Nie warto chyba nic dodawać. Prawda? Jesteś jeszcze dzieckiem, masz dopiero szesnaście lat i kończysz liceum. Aleks, to jakbyś był w pieluchach. Nie zdążyłeś poznać nienawiści na tym świecie. Nie musimy chyba więcej mówić takiemu mądrymu chłopcu. TYLKO SZANUJ WŁASNE ŻYCIE! NIE POGRAŻAJ SIĘ W ŻYWYM PIEKLE! SŁUCHAJ NAS, I TO BEZ FOCHÓW,

DZIĘKUJĘ, NO I BEZ TEGO PYSKOWANIA! MY WIEMY! PRZEŻYLIŚMY ŻYCIE! WIELE WIDZIELIŚMY! NIE TĘDY DROGA, MÓJ SYNU! TO ISTOTY ZUPEŁNIE INNEGO POKROJU! ROZERWA CIĘ NA STRZĘPY! IDŹ DO HOWARDA, ON CIĘ ZAPOZNA Z TOWARZYSTWEM HILLELA! BŁAGAM CIĘ, NIE ZACZYNAJ OD JAKIEJŚ BLONDYNKI! BO WYSSIE Z CIEBIE WSZYSTKIE SOKI I PORZUCI CIĘ Z KRWAWIĄCYM SERCEM W RYNSZTOKU! TAKIE CUDOWNE NIEWINNE DZIECKO JAK TY, ONA CIĘ ZJE ŻYWCEM!

Zje mnie żywcem?

Tyle że my, śliweczki, cudowne chłoptasie, mamy w zanadrzu zemstę. Zna pan oczywiście ten kawał: Milty dzwoni z wojska z Japonii.

- Mamusiu - oświadcza - mówi Milton, mam dobrą wiadomość! Spotkałem cudowną Japonkę i dzisiaj właśnie wzięliśmy ślub. Jak tylko skończę służbę, chciałbym ją przywieźć do domu, mamusiu, żebyście się poznały.

- Skoro tak - odpowiada matka - przywieź ją tu, jak najbardziej.

- Och, mamusiu, jesteś cudowna - mówi Milty - cudowna... tylko zastanawiałem się, gdzie ja będę spał z Ming Toy w naszym małym mieszkaniu?

- Gdzie? - powtarza matka. - Jak to, w łóżku.

Gdzie miałbyś spać ze swoją żoną?

- A gdzie ty będziesz spała, jeżeli zajmiemy łóżko?

Mamusiu, na pewno znajdzie się miejsce?

- Milty, kochanie, no co ty - uspokaja go matka - wszystko w porządku, nie martw się, będziesz miał tyle miejsca, ile tylko zechcesz. Jak odłożę słuchawkę, zaraz odbieram sobie życie.

Co za niewiniątko, ten nasz Milty! Nieźle musiał się zdziwić w dalekiej Jokohamie, usłyszawszy takie dictum matki! Uroczy, spokojny Milton nie skrzywdziłby nawet muchy, prawda, tatele? Nie znosisz rozlewu krwi, nie śmiałyś podnieść na nikogo ręki, a co dopiero kogokolwiek zamordować. Pozwalasz więc, żeby zrobiła to za ciebie gejsza!

Brawo, Milty, brawo! Bo od gejszy, wierz mi, matka szybko się nie otrząśnie! Od gejszy, Milty, szlag ją trafi! Cha, cha! Udało ci się, Miltele, i to nie kiwnąłeś nawet palcem! Jasne! Niech cię gojka wyręczy w morderstwie! A ty zostaniesz niewinnym postronnym widzem! Złapanym w krzyżowy ogień! Ofiarą, co, Milt?



Prawda, że rewelacyjne są te sprawy łózkowe?

Kiedy przyjeżdżamy do zajazdu w Dorset, przypominam jej, żeby włożyła na odpowiedni palec jedną ze swoich licznych obrączek.

- W życiu publicznym trzeba dbać o dyskrecję - i przy okazji nadmieniam, że zarezerwowałem pokój na nazwisko państwa Arnoldostwa Mandel. - To bohater historyczny z Newark - wyjaśniam.

Kiedy się rejestruję, Małpka (która w Nowej Anglii wyglądała nadzwyczaj kusząco) kręci się po hallu i ogląda pamiątki z Vermont na sprzedaż.

- Arnold - woła.

Odwracam się:

- Co, kochanie?

- Musimy koniecznie przywieźć stąd teściowej syrop klonowy. Ona go tak lubi...  
- i uśmiecha się czarującym, zagadkowym uśmiechem z reklamy bielizny w niedzielnym wydaniu „Timesa” do podejrzliwego recepcjonisty.

Co za noc! Wprawdzie porcja tarmoszenia się, potrząsania włosami i namiętnych jęków Małpki nie odbiegała od normy, bynajmniej, ów dramat ciał rozgrywał się w tym samym wagnerowskim tonie, do jakiego zdążyłem już przywyknąć, tyle że fala uczucia była nowa i obezwładniająca.

- Nie mogę się tobą nacieszyć - wołała Małpka. - Czy jestem nimfomanką, czy to przez tę obrączkę?

- Może to zakazana atmosfera zajazdu.

- Coś w tym musi być! Och, czuję się tak szalona... i tak czuła, tak piekielnie czuła przy tobie! Och, kotku. Taka jestem szczęśliwa, chyba się zaraz rozpłaczę!

W sobotę pojechaliśmy nad jezioro Champlain, zatrzymując się tu i ówdzie, żeby Małpka mogła pstryknąć kilka zdjęć swoim Minoxem, po południu wybraliśmy się do Woodstock, po drodze wciąż coś przykuwało naszą uwagę, wykrzykiwaliśmy, wzdychaliśmy, a Małpka tuliła się do mnie. Pewnego ranka (w wysoko porośniętym polu nad brzegiem jeziora) odbyliśmy kongres seksualny, a po południu na dzikiej drodze gdzieś w górach środkowego Vermont Małpka poprosiła:

- Och, Aleks, zjedź na pobocze, szybko, chciałabym cię wziąć do buzi - po czym obciągnęła mnie, i to przy odkrytym dachu!

Co chcę przez to powiedzieć? To, że zaczęliśmy oboje coś czuć! Czuć czułość! I to wcale nie zabiło w nas apetytu seksualnego!

- Znam pewien wiersz - odezwałem się tonem, jak gdybym był pijany, jak gdybym chciał obłapiać każdego mężczyznę w lokalu - i mam zamiar ci go wyrecytować.

Leżała zwinięta u mnie na kolanach, z oczyma wciąż zamkniętymi, mój zwiotczały członek przy jej policzku niczym małe piskłę.

- Błagam cię - jęknęła - nie teraz, nie rozumiem się na wierszach.

- Ten zrozumiesz. To o pieprzeniu. Łabędź pieprzy piękną dziewczynę.

Podniosła wzrok, trzepocząc sztucznymi rzęsami.

- O, rany.

- Ale to poważny wiersz.

- Wiesz - odparła, liżąc mi ptaka - to poważna obraza.

- Och, wy nieodparte, mądre piękności Południa, zwłaszcza kiedy jesteście takie smukłe jak ty.

- Nie zalewaj, Portnoy. Mów ten swój świński wiersz.

- Porte-noir - poprawiłem ją i zacząłem:

*Spadł na nią nagłym ciosem: nad oszołomioną*

*Trzepot ogromnych skrzydeł, kark w twardym uchwycie*

*Dzioba, uda pieszczone łap czarniawą błoną,*

*Pod jego piersią - serca jej spłoszone bicie.*

- Gdzieś ty się czegoś takiego nauczył? – pyta Małpka.

- Ciii. To idzie dalej:

*Jakże mają jej palce paniczne i błędne*

*Odepchnąć od słabnących ud pierzastą chwałę?*

- Hej! - woła Małpka. - Od ud!

*Jak ciało, przygwożdżone obcym serca tętnem,  
Umknąć ma przed naporem piersi śnieżnobiałej?*

*Dreszcz lędźwi w jednej chwili łono jej zapładnia  
Zwalonym murem, dachem płonącym i wieżą,  
Śmiercią Agamemnona.*

*Przebita tym dreszczem,  
Pod dziką krwią powietrza uległa, bezwładna,  
Czy razem z jego władzą przejęła i wiedzę,  
Zanim zobojętniały dziób puścił ją wreszcie?<sup>1</sup>*

- Koniec - oznajmiam. Chwila ciszy.

- Kto to napisał? - Podpucha. - Ty?

- William Butler Yeats - odpowiadam, zdając sobie zarazem sprawę z własnego nietaktu. Zbyt gruboskórnie wskazałem na dzielącą nas przepaść: ja jestem mądry, a ty głupia, bo do tego się sprowadzało wyrecytowanie tej dziewczynie jednego z trzech wierszy, których nauczyłem się na pamięć w ciągu trzydziestu trzech lat życia. - Poeta irlandzki - dodaję zdawkowo.

- Tak? - mówi Małpka. - A gdzieś ty się tego nauczyłeś, od niego? Nie wiedziałam, że jesteś Irlandczykiem.

- Na studiach, dziecinko.

Od dziewczyny, którą znałem na studiach. Nauczyła mnie też wiersza „Ta siła, która przez zielony lont prze kwiaty”<sup>2</sup>. Ale dość tego, po co ją porównywać do innych kobiet? Dlaczego nie zostawić jej taką, jaka jest? Co za pomysł! Kochać ją taką, jaka jest! W całej jej niedoskonałości, która jest chyba przecież ludzka!

- Wiesz - mówi Małpka, nadal tym swoim szoferskim tonem - ja tam nigdy nie byłam na studiach. - I dalej z akcentem z zabitego dechami Południa: - A jedyny wiersz, skarbie, jaki poznałam u siebie w Moundsville, siedł tak: „Widzę miasto, widzę wieś, widzę majtki Mary Jane”. Tyle że ja nie nosiłam majtek... Wiesz, co zrobiłam, jak miałam piętnaście lat? Wysłałam pocztą Marlonowi Brando kędziorek

---

<sup>1</sup> *Leda i labędź* - przeł. Stanisław Barańczak.

<sup>2</sup> Wiersz Dylana Thomasa - przeł. Stanisław Barańczak.

ze swojego futerka. A ten skurwiel nie zdobył się nawet na to, żeby potwierdzić odbiór przesyłki.

Cisza. Podczas której usiłujemy zrozumieć, co dwoje tak różnych ludzi robi ze sobą razem... wciąż w Vermont.

Ona pierwsza przerywa milczenie.

- Co to jest Agamemnon?

Wyjaśniam najlepiej jak umiem. Zeus, Agamemnon, Klitemnestra, Helena, Parys, Troja... Czuję się jak łajdak i oszust. Połowa mi się myli.

Ale ona jest niezrównana.

- Dobra, teraz powiedz to jeszcze raz.

- Naprawdę?

- Naprawdę! Jeszcze raz! Tylko, na miłość boską, wolno.

Deklamuję jeszcze raz, a przez cały ten czas moje spodnie nadal leżą porzucone na podłodze, a na ścieżce, przy której zaparkowałem samochód, z dala od szosy, pod osłoną zwałów liści, zapada zmrok. Nawiasem mówiąc, liście wpadają do samochodu. Małpka wygląda jak dziecko, które usiłuje opanować tabliczkę mnożenia, ale nie tępe dziecko, o nie, jak bystra, mądra dziewczuszka! Wcale nie głupia! To naprawdę wyjątkowa dziewczyna. Chociaż poderwałem ją na ulicy!

Kiedy kończę, wie pan, co robi? Bierze moją dłoń i wkłada ją sobie między nogi. Tam, gdzie Mary Jane nadal nie nosi majtek.

- Czujesz? Aż mi się myszka spociła.

- Kochanie! Zrozumiałaś wiersz!

- No chyba! - woła moja Scarlett O'Hara. I zachwyca się: - Też coś! Zrozumiałam wiersz!

- I to ni mniej, ni więcej, tylko cipą.

- Mój ty Przełomku! Zrobisz z mojej szpary geniusza! Och, Przełomku, kochanie, wyliż mnie - wkłada mi wszystkie palce jednej ręki w usta i przyciąga mnie za szczękę do siebie, wołając: Och, wyliż moją wykształconą cipę!

Idylla, co? Pod czerwonymi i żółtymi liśćmi!

W pokoju w Woodstock, kiedy golę się po kolacji, Małpka się moczy w gorącej wodzie z solą kąpielową Sardo. Ależ ona zmagazynowała siłę w tej kruchej figurze - niesamowite akrobacje, jakie wyprawia, kołysząc się na czubku mojego knota! Można

by sądzić, że złamie sobie kręgosłup, zwisając połowę ciała na wznak z kantu łóżka... w ekstazie! No, no! Chwała Bogu, że chodzi na lekcje gimnastyki! Ale mi się trafia ucztą! Co za okazja! Tylko podobno ona też jest człowiekiem, tak, wyraźnie mi to sugeruje! Człowiekiem! Którego można kochać!

Ja miałbym ją kochać? Czemu nie?

Naprawdę?

Czemu nie!

- Wiesz co - odzywa się do mnie z wanny moja dziurka jest tak obolała, że ledwo dyszy.

- Biedna dziurka.

- Zjemy dużą kolację, mnóstwo wina, na deser krem czekoladowy, a potem tu wrócimy, położymy się do tego dwustuletniego łóżka... i nie będziemy się pieprzyć!

- Jak się czujesz, Arn? - spytała później, kiedy zgasiliśmy światło. - Fajnie, nie? Jakbyśmy mieli osiemdziesiąt lat.

- Albo osiem. Chciałbym ci coś pokazać.

- Nie, Arnold, nie.

W nocy obudziłem się i przyciągnąłem ją do siebie.

- Błagam cię - jęknęła - oszczędzam się dla męża.

- Łabędzia to, do diabła, nie obchodzi, moja damo.

- Odchrzań się...

- Dotknij moich piórek.

- Ach - westchnęła, kiedy wcisnąłem jej go w rękę. - Żydołabędź! Hej! - zawołała i złapała mnie drugą ręką za nos. - Zobojętniały dziób! Jeszcze lepiej zrozumiałam wiersz, co nie?

- Jezu, jesteś wspaniała!

Ale jej dech zaparło:

- Poważnie?

- Tak.

- Poważnie?

- Tak! Tak! Tak! A teraz mogę cię przerznąć?

- Och, kochanie, skarbie - zawołała Małpka - wybierz sobie którą chcesz dziurę, jestem twoja!

Po śniadaniu przespacerowaliśmy się po Woodstock, Małpka szła z wymalowanym policzkiem przyklepionym do rękawa mojej kurtki.

- Wiesz, co - oświadczyła - chyba przestałam cię już nienawidzić.

Późnym popołudniem ruszyliśmy z powrotem do domu, jadąc samochodem aż do Nowego Jorku, żeby weekend trwał jak najdłużej. Już po godzinie jazdy znalazła stację WABC i zaczęła się ruszać na siedzeniu w takt muzyki rockowej. Naraz wypaliła:

- Niech szlag trafi to wycie - i zgasła radio.

- Fajnie byłoby - powiedziała - nie musieć wracać.

Fajnie byłoby zamieszkać na wsi z kimś, kogo się naprawdę kocha, wstawać o świcie, tryskając energią, i kłaść się spać, padając ze zmęczenia, kiedy się ściemni.

Fajnie byłoby mieć mnóstwo obowiązków, wypełniać je cały dzień i nie uważać ich nawet za obowiązki: dniami, całymi tygodniami, całymi miesiącami nie musieć myśleć o sobie. Nosić stare łachy, nie malować się i nie robić wciąż dobrej miny.

Minęła chwila. Gwizdnęła.

- Nie byłoby fajnie?

- Co teraz?

- Być dorosłym. Rozumiesz?

- Niebywałe - odparłem.

- Co takiego?

- Prawie przez trzy dni nie słyszałem żadnego tekstu z wiochy, żadnego tekstu Majki-Dawajki, żadnych kawałków maślany...

Miał to być komplement, ale ona się obraziła.

- To nie żadne kawałki, człowieku, to nie żadne sztuczki, tylko ja! A jak ci nie pasuje, to fora ze dwora, panie komisarzu. Nie poniewieraj mną, dobra, tylko dlatego, że zbliżamy się do tego pieprzonego miasta, w którym jesteś taki ważny.

- Powiedziałem tylko, że jesteś za mądra na to, żeby się czasem zachowywać jak zwykła dupodajka, to wszystko.

- Pierdoły. Posądzasz mnie o głupotę przekraczającą chyba ludzkie możliwości.

Pochyliła się do przodu, żeby nastawić program muzyczny. Miniony weekend jakby się nigdy nie zdarzył. Znała wszystkie słowa piosenek. Musiała mi tego dowieść.

- Ye, ye, ye, ye, ye, ye.

Nieźle przedstawienie, w hołdzie mózdkowi.

O zmierzchu podjechałem do restauracji Howarda Johnsona.

- Może byśmy, ten tego, coś wtrząchnęli - zaproponowałem. - Ten tego, coś do żarcia. Coś na ruszta, człowieku.

- Słuchaj no - zareagowała - może nie wiem, kim jestem, ale ty też nie wiesz, kim chciałbyś, żebyś była! I nie zapominaj o tym!

- Gites, człowieku.

- Chuj! Nie widzisz, jakie ja mam życie? Myślisz, że ja chcę być zerem? Myślisz, że mam hyzia na punkcie swojego pustego życia? Nienawidzę go! Nienawidzę Nowego Jorku! Nie chcę wracać do tego rynsztoku! Chcę mieszkać w Vermont, panie komisarzy! Chcę mieszkać z tobą w Vermont - i żyć jak dorosła osoba, cokolwiek to, do cholery, znaczy! Chcę być żoną kogoś, kogo mogę podziwiać! Kto mi będzie imponował! I kogo mogę słuchać! - Płakała rzewnymi łzami. - Kogoś, kto nie będzie usiłował popierdolić mi w głowie. Och, chyba cię kocham, Aleks, chyba cię naprawdę kocham. Bardzo mi to dobrze robi!

Innymi słowy - może ja też ją kocham? Odpowiedź - nie. Zastanawiałem się (to pana rozbawi), zastanawiałem się nie nad tym, czy ją kocham, ani czy mógłbym ją pokochać. Myślałem tylko: czy powinienem ją kochać?

W restauracji pozostawało mi ją tylko zaprosić na oficjalne przyjęcie do burmistrza.

- Arnold, może byśmy tak mieli romans ze sobą, co?

- To znaczy...?

- Och, nie bądź taki ostrożny. A co ty sobie wyobrażasz? Romans to romans. Ty pieprzysz tylko mnie, a ja tylko ciebie.

- I Już?

- No tak, z grubsza biorąc. Poza tym dzwoniś do mnie często w ciągu dnia. To na poważnie... „na poważnie” też nie mogę mówić? Niech ci będzie, związek kompulsywny. Zgoda? Bo ja nic, ten tego, na to nie poradzę. No więc będę wciąż wydzwaniać do ciebie do biura. Żeby wszyscy wiedzieli, że do kogoś należę. Tego się

nauczyłam za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które wsadziłam w tego psychiatrę. No więc, jak tylko dostanę pracę, będę do ciebie wydzwaniać, żeby ci powiedzieć, że cię kocham i w ogóle. Jasno się wyraziłam?

- Tak.

- Bo na tym mi naprawdę zależy, żeby się jasno wyrażać. Och, Przełomku, uwielbiam cię, przynajmniej teraz. Wiesz co - dodała szeptem - chcesz coś powąchać... coś oszałamiającego? - rozejrzała się, czy nie ma w pobliżu kelnerki, nachyliła się do przodu, jak gdyby chciała sięgnąć pod stół, żeby poprawić pończochę. Za chwilę podsunęła mi pod nos koniuszki palców. Przycisnąłem je do ust.

- Moje perfumy, najdroższy - powiedziała Małpka - prosto z beczki marynaty... i to dla ciebie! Tylko dla ciebie!

No więc na co czekasz, zakochaj się w niej! Odwagi! Masz tu fantazję, która błaga cię o spełnienie! Taka erotyczna! Taka zepsuta! Taka wspaniała! Może tylko pozłacana, ale zawsze prawdziwa piękność! Kiedy idziemy razem, ludzie się za nami oglądają, mężczyźni patrzą z zawiścią, kobiety szepczą. Pewnego wieczoru w restauracji na mieście dobiegły mnie czyjeś słowa:

- Czy to nie ta, no, ta aktorka, jak ona się nazywa? Ta co grała w *Słodkim życiu*?

A kiedy się odwracam, żeby spojrzeć... na kogo, Anouk Aimée? ... okazuje się, że patrzą na nas, na nią, która jest ze mną! Próżność? Niechby nawet! Skończ z rumieńcami, schowaj wstyd do kieszeni, przecież dawno przestałeś być grzecznym synkiem mamusi! Tam gdzie w grę wchodzi żądze, mężczyzna po trzydziestce odpowiada tylko przed sobą! Na tym polegają uroki dorosłości! Chcesz brać? To bierz! Trochę uwodzicielstwa, na miłość boską! **PRZESTAŃ SIĘ KRYĆ! PRZESTAŃ UKRYWAĆ PRAWDĘ!**

Tak, tylko muszę się przecież liczyć (pochylmy głowy) ze swoją „reputacją”, ze swoją dobrą opinią. Co ludzie pomyślą. Co ja sobie pomyślę. Panie doktorze, ta dziewczyna zrobiła to raz za pieniądze. Za pieniądze! Tak! To się bodajże nazywa „prostytucja”! Pewnego wieczoru, żeby jej pochlebić (przynajmniej tak sobie wyobrażałem wówczas swoją motywację) powiedziałem:

- Powinnaś to mieć na sprzedaż, bo za dużo tego dla jednego mężczyzny - widzi pan, chciałem okazać rycerskość... a może to intuicja? W każdym razie Małpka odparła:

- Mam to już za sobą.



Nie dałem jej spokoju, dopóki nie wyjaśniła, co to znaczy; z początku zasłaniała się, że to niby tylko dowcipna riposta, ale kiedy przyparłem ją do muru, opowiedziała w końcu historię, którą uznałem za prawdę albo przynajmniej za jej część. Tuż po Paryżu i po rozwodzie poleciała samolotem do Hollywood (jak twierdziła) na zdjęcia próbne do roli w filmie (której zresztą nie dostała. Dopytywałem się o tytuł, ale rzekomo zapomniała, podobno nigdy go w końcu nie nakręcono). W drodze powrotnej z Kalifornii do Nowego Jorku ona i podróżująca z nią dziewczyna ( - Co za dziewczyna? - Dziewczyna. Koleżanka. - Dlaczego podróżowałaś z koleżanką? - Bo podróżowałam!), ona i ta druga dziewczyna wysiadły, żeby zwiedzić Las Vegas. Tam poszła do łóżka z przygodnie spotkanym facetem, jak utrzymuje, niewinnie; dopiero rano ku jej najwyższemu zaskoczeniu ów facet zapytał: - Ile? - Małpka twierdzi, że samo jej się powiedziało: - Ile uważasz, koleś. - No więc dał jej trzy banknoty studolarowe.

- I tyś wzięła? - pytam.

- Miałam dwadzieścia lat. Pewno, że wzięłam. Żeby się przekonać, jak się człowiek wtedy czuje, i tyle.

- No i co czułaś. Mary Jane?

- Nie pamiętam. Nic. W ogóle nic nie czułam. I co pan na to, panie doktorze? Małpka twierdzi, że zdarzyło jej się to jeden raz, dziesięć lat temu, i to tylko wskutek „przypadku”, polegającego na nieporozumieniu z jego strony i na jej kaprysie. Ale kto się da na to nabrać? A może powinienem? Czy tak trudno uwierzyć, że ta dziewczyna bawiła się przez pewien czas w luksusową kurwę? O, Chryste! Jeśli ją zaakceptuję, myślę w duchu, nie będę wyżej na skali ewolucyjnej od gangsterów i milionerów, którzy wybierają sobie kobiety spośród tancerek w klubie nocnym Copa. Takie dziewczyny widuje się uwieszone na ramieniu jakiegoś mafiosa albo gwiazdora filmowego, a nie z absolwentem liceum Weequahic, rocznik 1950, który wygłaszał po maturze mowę pożegnalną. Nie z redaktorem naczelnym „Przeglądu Prawniczego Uniwersytetu Columbia”! Nie ze szlachetnym obrońcą swobód obywatelskich! Spójrzmy prawdzie w oczy, kurwa czy nie kurwa, od razu widać, że to brzytwa. Tak czy nie? Każdy, kto na nas spojrzy, będzie dokładnie wiedział, o co mi chodzi w życiu. Właśnie takie dziewczyny mój ojciec nazywał „puszczalskimi”. Otóż to! Jak ja mogę sprowadzić do domu taką puszczalską, panie doktorze?

- Mamusiu, tatusiu, to moja żona, puszczalska. Prawda, że niezły kawał dupy?

Wezmę ją do siebie na stałe, a cała dzielnica pozna wreszcie prawdę o moich lubieżnych zachciankach. Wyjdzie na jaw, że tak zwany geniusz ma świńskie skłonności i plugawe żądze. Otworzą się (nie zamknięte na zamek!) drzwi łazienki, i proszę, oto siedzi zbawca ludzkości, ślina mu cieknie po brodzie, w oczach pełen obłęd, a kutas strzela salwy prosto w żarówkę! Wreszcie wystawił się na pośmiewisko! Łajdak! Zhańbił na zawsze swoją rodzinę! Tak, tak, widzę wyraźnie, jak pewnego ranka obudzę się w piekle, przykuty za swoje plugastwa do sedesu, razem z innymi łowcami puszczałskich tego świata: - Bohaterowie - powie Szatan, kiedy nam będą wydawać świeże bielutkie koszule, krawaty Papuasów, kiedy będziemy przymierzać szykowne nowe jedwabne garnitury - picerzy, ważniaki ze swoimi kobietami, co mają nogi aż do ziemi. Prosimy bardzo. Naprawdę, chłopcy, wiele osiągnęliście w życiu. Świetnie się spisaliście.

- A zwłaszcza ty - mówi Szatan podnosząc sardonicznie brew w moim kierunku - który poszedłeś do liceum w wieku lat dwunastu i byłeś ambasadorem społeczności żydowskiej Newark na cały świat...

No tak, wiedziałem. To nie Szatan z prawdziwego zdarzenia, tylko gruby Warshaw, rabin. Mój otyły, nadęty przewodnik duchowy! Ten z wyśmienitą dykcją i oddechem jak z popielniczki! Czcigodny rabin! Przystępuję właśnie do *bar micwy*, stoję nieśmiało na uboczu, chłonę wszystko jak gąbka, czuję nawet ciarki na skórze z powodu wyświęcenia. Aleksandrze Portnoyu tamto, Aleksandrze Portnoyu szmamto, i jeśli mam być zupełnie szczery, tym razem znacznie mniej mi przeszkadza, że rebe mówi sylabami i obraca małe słowa w duże, a duże słowa w całe zdania, prawdę powiedziawszy, wcale mnie to nie irytuje, jak by się można spodziewać. Upływa wolno słoneczny sobotni ranek, a rebe wylicza moje zalety i dokonania przed zgromadzoną rodziną i znajomymi, sylaba za sylabą. Wyłóż im to dokładnie, Warshaw, podbij mi bębenka, nie śpiesz się z mojego powodu, jestem przecież młody, mogę tu stać choćby cały dzień.

- ...oddany syn, kochający brat, celujący uczeń, zapalony czytelnik gazet (gorliwie śledzi bieżące wydarzenia, zna z nazwiska kolejno wszystkich sędziów Sądu Najwyższego i członków rządu, jak również przywódców mniejszości i większości w obu Izbach Kongresu, jak również prezesów ważniejszych komisji Kongresu), ten chłopiec wstąpił do liceum Weequahic w wieku lat dwunastu, ma iloraz inteligencji sto pięćdziesiąt osiem, sto pięć-dzie-e-siąt o-siem, a teraz - mówi rabin zaleknionej, rozpromienionej większości, której podziw czuję, jak wzbiera i obejmuje mnie tam na

ołtarzu - wcale się nie zdziwię, jeżeli po jego przemowie porwą mnie i obniosą po synagodze jak samą Torę, przedefilują ze mną uroczyście wzdłuż naw, tymczasem wierni będą starali się za wszelką cenę dotknąć ustami skrawka mojego nowego granatowego garnituru od Ohrbacha, a starcy będą się pchali do przodu, żeby frędzlami tałesów dotknąć moich błyszczących wytwornych butów.

- Przepuście mnie! Dajcie mi go dotknąć! - a kiedy zyskam światową sławę, będą powtarzać swoim wnukom: - Tak, byłem tam, uczestniczyłem w *bar micwie* sędziego najwyższego Portnoya - ambasadora - ciągnie rabin Warshaw - dzisiaj naszego nadzwyczajnego ambasadora... - Tylko że zmieniła się melodia! I to jak! - A teraz - mówi do mnie - cechuje cię mentalność sutenera! Wartości humanistyczne zwykłego dżokeja! Co dla niego znaczą wyżyny doświadczenia ludzkiego? Wchodzi do restauracji z długonogą dziwką pod rękę! Z nierządnicą w trykocie!

- Och, proszę cię, Czci-god-ny, jestem już dużym chłopcem... możesz więc sobie darować rabiniczne morały. Na tym etapie gry wydaje się to trochę śmieszne. Po prostu wolę ładne, seksowne dziewczyny od brzydkich i oziębłych, i co w tym złego? Dlaczego mnie zaraz ubierasz w piórka gangstera z Las Vegas? Dlaczego przykuwasz mnie na wieczność do muszli klozetowej? Za miłość do ponętnej dziewczyny?

- Miłość? U ciebie? Akurat! Zakochany w sobie chłoptaś, tylko na takie miano zasługujesz! Z akcentem na „sobie”! Masz serce jak pusta lodówka! W żyłach płyną ci kostki lodu! Aż dziw bierze, że nie grzechoczesz podczas chodzenia! Ta tak zwana ponętna dziewczyna, Aleksandrze Portnoyu... istna przynęta!... była jedną wielką lotką przy twoim ptaku, i na tym koniec. Gdzie twoja obietnica? Hańba! Miłość? Czytaj: lubieżność! Czytaj: egoizm!

- Ale czułem dreszcz emocji w restauracji Howarda Johnsona...

- Owszem, w członku.

- Nie!

- Tak! Tylko w tej części ciała potrafisz odczuć dreszcz emocji! Ty jęczyduszo! Wiecznie uzalający się mazgaju! Już od pierwszej klasy, na miłość boską, zajmowałeś się tylko i wyłącznie sobą!

- Nieprawda!

- Prawda! Prawda! Najprawdziwsza, przyjacielu! Cierpienia ludzkości głównie cię obchodzą! To tylko zasłona, kolego, nie oszukuj się! Patrzcie, wołałeś do swoich braci, patrzcie, komu ja wsadzam kutasa, patrzcie, kogo rucham - piętnastometrową

modelkę! Dostaję za darmo to, za co inni muszą bulić trzysta dolarów albo i więcej! Jest się czym pochwalić, co? I nie udawaj, że te trzysta dolarów ci nie schlebia... bo ci schlebia! Na tym polega ta twoja miłość, Portnoy!

- Nie czytasz „New York Timesa”? Większość dorosłego życia strawiłem na ochronie praw bezbronnych! Pięć lat spędziłem w Amerykańskim Związku Walki o Prawa Obywatelskie, tocząc walkę z wiatrakami. A przedtem praca w komisji Kongresu! Mógłbym zarobić dwa, trzy razy więcej, otwierając własną praktykę prywatną, ale tego nie zrobiłem! Nie zrobiłem! A teraz mianowano mnie - nie czytasz gazet! - zastępcą komisarza do spraw równouprawnienia! Przygotowuję specjalny raport na temat przywilejów w dziedzinie budownictwa...

- Gadanie. Jesteś komisarzem dupy, i nic więcej! Komisarzem do spraw konformizmu! Ty błaznie onanisto! Ty geniuszu zahamowany w rozwoju! Ty wszystko marność, Portnoy, ale ty naprawdę sięgasz po tort! Sto pięćdziesiąt osiem punktów ilorazu inteligencji, a wszystko na nic! I po co było przeskakiwać te dwie klasy w powszechniaku, ty durniu!

- Co?

- A te wszystkie pieniądze na drobne wydatki, które ojciec posyłał ci na Uniwersytet Antioch, chociaż ledwo go było stać! Wszelkie błędy pochodzące od rodziców, tak, Aleks? Wszelkie zło to ich wina, a dobro to wyłącznie twoja zasługa! Ty kołtunie! Z sercem jak zamrażalnik! Dlaczego jesteś przykuty do sedesu? Powiem ci dlaczego: sprawiedliwość poetycka! Żebyś mógł do końca świata trzepać sobie kapucyna! Bij sobie ukochanego konika *ad infinitum!* Dalej, śmigaj go, komisarzu, bo i tak tylko do tego zawsze się przykładałeś, ty śmierdzący bucu!

Zjawiam się w smokingu, kiedy ona bierze jeszcze prysznic. Nie zamknęła drzwi wejściowych na klucz, najwyraźniej, żebym mógł wejść, nie wyciągając jej z łazienki. Mieszka na ostatnim piętrze nowoczesnego wieżowca we wschodniej części kwartału ulic osiemdziesiątych, i złość mnie bierze na myśl, że każdy, kto akurat szedł korytarzem, mógł wejść tak jak ja. Udzielam jej przestrogi przez zasłone prysznicu. Małpka dotyka mojego policzka drobną, wilgotną twarzą.

- Po co ktokolwiek miałby tu wchodzić? - dziwi się. - Przecież wszystkie pieniądze trzymam w banku.

- To niczego nie dowodzi - mówię i wychodzę do salonu, żeby się nie rozzłościć. Dostrzegam kartę papieru na stoliku do kawy. Zastanawiam się, czy było tu dziecko. Nie, mam przed sobą pierwszą próbkę pisma Małpki. Liścik do sprzątaczk. Chociaż na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że musi to być liścik od sprzątaczk.

Musi? Dlaczego „musi”? Bo Małpka jest „moja”?

*kohana mosze byś wypastowała podłogie w łazience prosie no i nie zapomnij  
fnentsza okjen mary jane r*

Trzy razy czytam całe zdanie, jak to się zdarza przy pewnych tekstach, każda lektura odsłania nowe subtelności znaczeń i zapowiada nowe kłopoty, z którymi będę się musiał borykać. Dlaczego pozwalam, żeby „romans” nabierał rozpędu? Co też mi strzeliło do głowy w Vermont! Ech, to jej „h”, samo „h” między „o” i „a” - prawdziwy umysł z głębią namiotu filmowego! No i to „mosze byś”. Tak by to pewno napisała prostytutka! Ale jest coś w tym przekręcaniu słowa „kochany”, trzy najczulsze sylaby zubożone o jedną literę wydają mi się wzruszające i zarazem godne pożałowania. Jak nienaturalny może być związek dwojga ludzi! Ta kobieta jest niewyuczalna, odporna na cywilizację. W porównaniu z jej dzieciństwem moje przebiegało, nie przymierzając, w eleganckich sferach Bostonu. Co nas łączy? Małpi gaj! Też mi raj.

Na przykład te jej telefony są zupełnie nie do zniesienia! Wydawała mi się uroczo dziewczęca, kiedy zapowiadała ciągle telefony, ale, o dziwo, mówiła serio! Siedzę w biurze, biedni rodzice psychotycznego dziecka tłumaczą mi, że personel miejscowego szpitala systematycznie głodzi na śmierć ich latorośl. Przyszła ze skargą do nas zamiast do Wydziału Służby Zdrowia, bo pewien inteligentny prawnik z Bronxu podsunął im, że dziecko pada najwyraźniej ofiarą dyskryminacji. Z telefonu do głównego psychiatry szpitala dowiaduję się, że dziecko odmawia przyjmowania jedzenia - bierze wszystko do ust, ale trzyma godzinami w buzi i nie połyka. Muszę więc oznajmić tym ludziom, że ani oni, ani ich dziecko nie są prześladowani, tak jak im się zdaje. Uważają moją odpowiedź za obłudną. Sam uważam ją za obłudną. Myślę w duchu: „Połykałby jedzenie, gdyby miał taką matkę jak moja”, a na głos wyrażam współczucie dla ich nieszczęścia. Ale teraz nie chcę wyjść z mojego gabinetu, dopóki nie zobaczą się z „burmistrzem”, podobnie jak wcześniej nie chcieli opuścić gabinetu urzędnika opieki społecznej, dopóki się nie zobaczą z „komisarzem”. Ojciec straszy mnie utratą posady razem z innymi ludźmi odpowiedzialnymi za to, że głodzi się na

śmierć bezbronne małe dziecko tylko dlatego, że jest Portorykańczykiem! *Ed contrario a la ley discriminar contra cualquier persona* - czyta mi fragment dwujęzycznego podręcznika Centralnej Rady Ochrony Zdrowia, który sam napisałem! W tym momencie dzwoni telefon. Portorykańczyk krzyczy do mnie po hiszpańsku, moja matka grozi mi nożem z oddali mojego dzieciństwa, a sekretarka oznajmia, że panna Reed życzy sobie rozmawiać ze mną przez telefon. Po raz trzeci tego dnia.

- Arnold, tęsknię za tobą - szepcze Małpka.

- Przepraszam, jestem zajęty.

- Kocham cię.

- Tak, rozumiem, czy moglibyśmy porozmawiać o tym kiedy indziej?

- Marzę, żebyś mi wsadził tego swojego długiego, lśniącego ptaka...

- No to cześć!

Co mam jeszcze do zarzucenia, skoro już o tym mowa? Rusza ustami przy czytaniu. Czepiam się? Tak pan sądzi? A siedział pan kiedyś przy obiedzie z kobietą, z którą miał pan romans - osobą bądź co bądź dwudziestodziewięcioletnią - i obserwował, jak ruszają jej się wargi, kiedy w rubryce „Kina” szuka filmu, na który moglibyście się razem wybrać? Wiem, co grają, zanim mi jeszcze powie - mogę to wyczytać z ruchu jej warg! A książki, które jej znoszę, obnosi z pracy do pracy w torbie - żeby czytać? Skąd! Żeby zaimponować jakiemuś pedałowatemu fotografowi, żeby zaimponować przechodniom na ulicy, nieznanym, swoją złożoną osobowością! Proszę spojrzeć na tę dziewczynę ze wspaniałą pupą, która w dodatku niesie książkę! A w środku prawdziwe słowa! W dniu powrotu z Vermont kupiłem *Let Us Now Praise Famous Men*, napisałem na wizytówce „Oszalałającej dziewczynie” i kazałem zapakować jak prezent, żeby jej wręczyć wieczorem.

- Podsuwaj mi książki do czytania, co? - taką wzruszającą prośbę zgłosiła wieczorem po powrocie do Nowego Jorku. - Bo niby dlaczego mam być taka głupia, skoro, jak sam mówisz, jestem taka bystra?

No więc na początek dałem jej Agee'ego ze zdjęciami Walkera Evansa, żeby jej się lepiej czytało - książka miała przemówić do niej o jej własnym dzieciństwie, rozszerzyć jej spojrzenie na własne pochodzenie (pochodzenie, oczywiście, znacznie bardziej intrygujące młodego lewicującego Żyda niż samą dziewczynę z proletariatu). Ile serca włożyłem w sporządzenie tej listy lektur! Postawiłem sobie za cel podnieść jej kwalifikacje! Po Ageem *Dynamite!* Adamica. Dałem jej własny poślizg egzemplarz z

czasów studiów, wyobrażałem sobie, że skorzysta z moich studenckich podkreśleń, zrozumie różnicę między wartościami a błahostkami, generalizacją a przykładem, i tak dalej. Ponadto książka była tak prosto napisana, że miałem nadzieję, iż bez moich namów zachęci ją do przeczytania nie tylko wybranych przeze mnie rozdziałów, nawiązujących bezpośrednio do jej przeszłości (wedle moich wyobrażeń) - do przemocy w kopalniach węgla, począwszy od Molly Maguires, dziewiętnastowiecznej terrorystycznej organizacji górników irlandzkich w Pensylwanii; rozdział na temat związków zawodowych, tak zwanych „Wobbiies” - lecz również wszelkiej brutalności i gwałtu w dziejach amerykańskiej klasy pracującej, z której pochodzi. Nie czytała powieści DOS Passosa pod tytułem *USA?* Mortimer Snerd odpowiada:

- Skąd, ja tam nic nie czytam, panie Bergen. Kupiłem jej więc DOS Passosa w twardej oprawie. Łatwe, myślałem sobie, książki muszą być łatwe, a przy tym pouczające i rozwijające. Rozumie pan chyba, w jakim kierunku szły moje marzenia. A co konkretnie? W. E. B. Du Bois *The Souls of Black Folk, Grona gniewu. Tragedia amerykańska*. Moja ulubiona powieść Sherwooda Andersena *Poor White* (sądziłem, że sam tytuł już ją zainteresuje). Zapiski nieodrodnego syna Baldwina. Tytuł seminarium? Bo ja wiem - „Upokarzanie mniejszości narodowych w zarysie” profesora Portnoya. „Dzieje i rola nienawiści w Ameryce”. Cel kursu? Zbawić głupią gojkę, wytrzebić z niej ciemnotę jej rasy, zrobić z tej córki nieczulego ciemniejszy tropicielkę cierpienia i ucisku, nauczyć ją współczucia dla bliźnich, zmiękczyć jej serce na nieszczęścia tego świata. Już pan rozumie? Idealna para - ona sprawia, że Żyd odzyskuje id, a ja wkładam „oj” z powrotem do „goj”.

Gdzie jestem? W smokingu. Ubrany elegancko, w stroju wieczorowym, „kohana mosze” nadal parzy mi rękę, kiedy zjawia się Małpka w sukni, którą specjalnie kupiła na tę okazję. Jaką okazję? Co ona sobie wyobraża, że idziemy kręcić film porno? Panie doktorze, ta szmata ledwo sięga jej pupy! Jest utkana z jakiejś złotej metalicznej przędzy, z ledwością zakrywa jej cielisty trykot! Dla zwieńczenia tego skromnego stroju Małpka włożyła na głowę perukę w stylu małej sierotki Annie, wielgachną aureolę czarnych świderkowatych loczków, spod których wyziera jej tępą, wymalowaną twarz. Ma przez to jeszcze bardziej prostacką minę! Widać, że pochodzi z zachodniej Wirginii! Córka górnik w mieście neonów! „W tym - myślę sobie - wybiera się ze mną do burmistrza? Wystrojona jak striptizerka? W dodatku pisze «kohany» przez samo «h»! I przez cały tydzień nie przeczytała nawet dwóch stron

książki Agee'ego? Czy chociaż przejrzała ilustracje? Skąd, na pewno nie! Och, błąd!” - myślę, wciskając liścik do kieszeni na pamiątkę, nazajutrz muszę go dać do podklejenia za ćwierć dolara - „błąd! Poderwałem ją na ulicy! Obciągnęła mnie, zanim się dowiedziała, jak się nazywam! Oddała się raz za pieniądze w Las Vegas, jeżeli tylko tam! Wystarczy jej się przyjrzeć - istna ulicznica! Dziwka zastępcy komisarza do spraw równouprawnienia! Co to za sen? Przez pomyłkę związałem się z taką osobą! To jałowy związek! Strata energii, możliwości i czasu!”

- Dobra - mówi Małpka w taksówce - co cię gryzie, Maks?

- Nic.

- Wnerwia cię mój wygląd.

- Kpisz sobie.

- Proszę pana, jedziemy do sklepu Peck and Peck!

- Zamknij się. Gracie Mansion, proszę pana.

- Od twojego nastroju, Aleks, grozi mi zatrucie promieniotwórcze.

- Nie mam, do cholery, żadnego nastroju! Nic nie powiedziałem.

- Ale te twoje czarne żydowskie oczy, człowieku, mówią za ciebie. *Tutti!*

- Małpko, odpręż się.

- Sam się odpręż!

- Jestem odprężony! - Ale trzymam się dzielnie niecałą minutę. - Tylko, do diabła - upominam ją - nie mów „cipa” przy Mary Lindsay!

- Co?

- Dobrze usłyszałaś. Kiedy będziemy na miejscu, nie zacznij paplać o mokrej piczce do pierwszej osoby, która nam otworzy drzwi! Nie sięgaj po kutasa Johna od razu, poczekaj z tym przynajmniej pół godziny, zgoda?

Po tych słowach od strony kierowcy dochodzi syk niczym dźwięk hamulców hydraulicznych, a Małpka rzuca się z oburzeniem do drzwi.

- Będę mówiła, robiła i nosiła, co mi się żywnie podoba! Mieszkam w wolnym kraju, ty nadęty żydowski chuju!

Trzeba było widzieć przy wysiadaniu wzrok pana Manny Schapiro, naszego taksówkarza.



- Oj, wy burżujscy onaniści! - ryczy. - Faszystowska kurwa - po czym rusza z piskiem i śwędem opon.

Z ławki, na której siedzimy w parku Carla Schurza, widać światła Gracie Mansion; przyglądam się, jak nadjeżdżają inni członkowie nowej administracji, głaszczę ją po rękę, całuję w czoło, tłumaczę, że nie ma co płakać, że to moja wina, tak, tak, jestem nadętym żydowskim chujem, przepraszam, przepraszam, przepraszam.

- ...wciąż mnie karcisz, Aleks, łajesz mnie samym spojrzeniem! Wieczorem, kiedy otwieram drzwi i tak strasznie chcę cię zobaczyć, bo przez cały dzień myślę tylko o tobie, widzę te twoje cholerne źrenice, jak mnie mierzą i wyłapują wszystkie moje błędy! Jak gdyby i tak nie szwankowało mi poczucie bezpieczeństwa, jak gdyby brak poczucia bezpieczeństwa nie był moim problemem, przybierasz taką minę natychmiast, gdy tylko otwieram buzię - nawet jak podaję ci godzinę, nie obywa się bez tego spojrzenia: o, kurwa, szykuje się kolejna durna uwaga tej tępej idiotki. Mówię: „Jest za pięć siódma”, a ty sobie myślisz: „Ale ona jest głupia”. No więc oświadczam ci, że nie jestem tępą ani nie jestem idiotką tylko dlatego, że nie studiowałam w tym cholernym Harvardzie! I przestań mnie, kurwa, pouczać, jak mam się zachowywać u Lindsayów. Kim oni, do cholery, są? Pieprzony burmistrz i jego żona! Pierdolony burmistrz! Na wypadek gdybyś zapomniał, w wieku osiemnastu lat byłam żoną jednego z najbogatszych ludzi we Francji, bywałam na kolacji u Ali Khana, kiedyś ty tkwił jeszcze w Newark Jersey, ruchając palcem swoje koleżanki Żydóweczki!

Czy tak sobie wyobrażam miłość dwojga ludzi, zapytała szlochając żałośnie? Żeby traktować kobietę jak trędowatą?

Chciałem odpowiedzieć: „W takim razie może to nie jest miłość. Może to raczej pomyłka. Może powinniśmy się rozstać, nie żywiąc do siebie pretensji”. Ale nie powiedziałem! Ze strachu, że mogłaby popełnić samobójstwo! Przecież przed pięcioma minutami usiłowała wyskoczyć w biegu z taksówki. Bo gdybym na przykład powiedział: „Widzisz, Małpko, tak to jest” - co by ją powstrzymało, żeby nie popędzić przez park i nie skoczyć do East River? Panie doktorze, niech mi pan wierzy, naprawdę tym się to mogło skończyć, dlatego nie odezwałem się ani słowem, za to ona zarzuciła mi rękę na szyję i wybuchnęła potokiem słów.

- Aleks, kocham cię! Ubóstwiam, podziwiam! Dlatego, błagam, nie odtrącaj mnie! Bo nie zniosłabym tego! Bo jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znałam, wliczając w to kobiety i dzieci! I całe królestwo zwierząt! Och, Przełomku, masz tęgą głowę i tęgiego kutasa, kocham cię!

Po czym na ławce zaledwie pięćdziesiąt metrów od rezydencji Lindsayów Małpka przywarła mi peruką do brzucha i zaczęła mnie obciążać.

- Małpko, nie - prosiłem - nie - kiedy rozsuwała mi namiętnie zamek czarnych spodni - wszędzie tu pełno tajniaków! - miałem na myśli liczne patrole wokół Gracie Mansion. - Aresztują nas za naruszanie porządku publicznego, Małpko, gliny!

Na co Małpka podnosząc ambitne usta znad mojego otwartego rozporoka szepnęła:

- Tylko w twojej wyobraźni - (nawet dosyć subtelna uwaga, jeżeli wypowiedziana z subtelną intencją) i znów zanurzyła twarz, niczym zwierzątko futerkowe w poszukiwaniu domu. I załatwiła mnie po mistrzowsku buzią.

Przy kolacji podsłuchałem, jak opowiada burmistrzowi, że pracuje w dzień jako modelka, a wieczorami studiuje w Hunter. O ile mi wiadomo, nie padło ani jedno słowo o jej cipie. Nazajutrz poszła do Hunter i tego samego wieczora pokazała mi w charakterze niespodzianki formularze, które dostała od komisji rekrutacyjnej. Pochwaliłem ją. Ale oczywiście nigdy ich nie wypełniła, wpisała tylko wiek: 29.

Fantazja Małpki datująca się od jej lat szkolnych w Moundsville. Marzenie, którym żyła, kiedy inni uczyli się czytać i pisać.

Przy dużym okrągłym stole konferencyjnym siedzą w skupieniu wszyscy chłopcy z zachodniej Wirginii, którzy ubiegają się o przyjęcie do akademii wojskowej West Point. Pod stołem, skulona na czworakach, całkiem naga, siedzi nasza gamoniowata, niepiśmienna nastolatka, Mary Jane Reed. Pułkownik z West Point, stukając za plecami laseczką, krąży bezustannie dokoła stołu i przygląda się badawczo twarzom młodych chłopców, a tymczasem niewidoczna Mary Jane rozpina im spodnie i kolejno zaspokaja wszystkich kandydatów. Do akademii wojskowej dostanie się ten, który zachowa kamienną twarz i niewzruszoną postawę żołnierza, wystrzeliwując swój ładunek do dzikiej, wprawnej, zmilitaryzowanej buzi Mary Jane.

Dziesięć miesięcy. Nie do wiary. Bo przez ten czas co dzień - a może nawet co godzina - pytałem siebie w duchu: „Dlaczego ciągnę ten związek? Z tą ordynarną

kobietą! Wulgarną, udręczoną, nienawidzącą siebie, zaburzoną, zagubioną, pozbawioną tożsamości...” i tak dalej. Lista ciągnęła się bez końca, a wciąż ją uzupełniałem. Na samo wspomnienie swobody, z jaką poderwałem ją na ulicy (triumf seksualny mojego życia!), cóż, po prostu jęczałem z obrzydzenia. Jak mogę nadal być z kimś, z czym rozsądkiem, opinią i zachowaniem w ogóle się nie liczę? Z kimś, kto dzień w dzień przyprawia mnie o wybuchy dezaprobaty, co godzina wywołuje grzmoty wymówek? I te kazania! Wstąpił we mnie duch nauczyciela. Na przykład kiedy kupiła mi na urodziny włoskie mokasyny - a ja jej w zamian palnąłem wykład!

- Zrozum - powiedziałem, jak tylko wyszliśmy ze sklepu - dam ci jedną dobrą radę na zakupy: kiedy masz zrobić coś tak prostego jak wymiana pieniędzy na towar, nie musisz od razu błyskać dziurką przed wszystkimi ludźmi po tej stronie horyzontu. Zgoda?

- Czym błyskać? Kto tu czym błyska?

- Ty, Mary Jane! Twoimi niby to prywatnymi przydatkami.

- Nieprawda!

- Proszę cię, za każdym razem, kiedy wstawiałaś i siadałaś, myślałem, że zahaczysz myszką o nos sprzedawcy.

- Jezuniu, muszę chyba siadać i wstawać, no nie?

- Ale nie tak, jak gdybyś dosiadała konia i z niego zsiadała!

- Nie wiem, co cię gryzie, to i tak był pedał.

- „Gryzie” mnie to, że twoje miejsce między nogami widziało już więcej ludzi, niż oglądało Huntleya i Brinkleya w dzienniku telewizyjnym! Czemu więc niby się nie pochylić, skoro nadal święcisz triumfy, prawda?

Już kiedy wypowiadam to oskarżenie, mówię sobie w duchu: „Och, odczep się, mały smutaku, jak chcesz mieć damę zamiast dupy, to się o nią postaraj. Kto cię tu trzyma?” Bo w tym mieście, jak wszyscy wiemy, aż się roi od dziewcząt z gruntu niepodobnych do panny Mary Jane Reed, obiecujących, nie podupadłych, nie zepsutych młodych kobiet, zdrowych niczym dojarki. Ja w każdym razie wiem, bo takie były jej poprzedniczki, tyle że też mnie nie zadowalały. Też mi nie odpowiadały. Panie Spielvogel, niech mi pan wierzy, już to poznałem, już tego zasmakowałem - jadłem ich potrawy, goliłem się w ich łazienkach, dostawałem zapasowe klucze do drzwi wejściowych i własne półki w ich apteczkach, zaprzyjaźniałem się nawet z ich kotami, które wabiły się Spinoza, Klitemnestra, Kandyd i Kot - tak, tak, znam ja te

mądre, elokwentne dziewczyny, rześkie po udanych przygodach erotycznych i stypendiach w snobistycznych uniwersytetach, energiczne, inteligentne, ambitne, pewne siebie, eleganckie młode kobiety - terapeutki i asystentki na uczelniach, nauczycielki i korektorki, dziewczęta, w których towarzystwie nie czułem się upodlony ani zawstydzony, dziewczęta, którym nie musiałem zastępować matki ani ojca, których nie musiałem dokształcać ani zbawiać. I też mi z nimi nie wyszło!

Kay Campbell, moja sympatia z Antioch - czy można znaleźć lepszą dziewczynę? Nie zmanierowana, o uroczym usposobieniu, ani śladu patologii czy egoizmu - jak najbardziej godna polecenia, wartościowa osoba. I gdzie ona teraz jest, to moje znalezisko? Cześć, Rzepko! Jest cudowną żoneczką jakiegoś szczęśliwego szajgeca gdzieś w środkowej Ameryce? Bo jakżeby inaczej? Redagowała pismo literackie, skończyła z wyróżnieniem studia na wydziale anglistyki, pikietowała ze mną i moimi oburzonymi przyjaciółmi zakład fryzjerski w Yellow Springs, gdzie nie chciano strzyc Murzynów - krzepka, wesoła dziewczyna o wielkim sercu, szerokim tyłku, z twarzą aniołka, włosami blond, niestety bez piersi (na ogół biorąc kobiety z płaskim biustem to chyba moje przeznaczenie, nawiasem mówiąc, co to może znaczyć? czy zna pan jakąś rozprawę na ten temat? czy to istotne? czy raczej mówić dalej?). Ach, no i te nogi wieśniaczki! I bluzka, która zawsze wystawała z tyłu ze spódnicy. Ale mnie brała ta jej pogoda ducha! I to, że na wysokich obcasach wyglądała jak kot uwięziony wysoko na drzewie, sztucznie, w nie swoim żywiole, z gruntu źle. Zawsze jako pierwsza spośród nimf w Antioch przychodziła wiosną bosą na zajęcia. Nazywałem ją „Rzepką” na cześć jej jędrnej cery i rozmiarów tyłka. A jaka była solidna - twarda jak rzepa w sprawach natury moralnej, cudownie uparta w sposób godny jedynie pozazdroszczenia i uwielbienia.

Podczas sprzeczek nigdy nie podnosiła głosu. Wyobraża pan sobie, jakie to na mnie zrobiło wrażenie w wieku lat siedemnastu, kiedy dopiero co wyszedłem z Klubu Dyskusyjnego Jacka i Sophie Portnoyów? Kto kiedy słyszał o takim podejściu do kontrowersji! Nigdy nie ośmieszała przeciwnika! Ani też nie żywiła do niego nienawiści za poglądy! Ach, więc na tym polega dzieciństwo w rodzinie gojów, matura z wyróżnieniem w liceum w Iowa zamiast w New Jersey; jeśli już goje coś mają, to właśnie to! Autorytet bez nerwów. Zalety bez samouwielbienia. Pewność siebie bez przechwałek czy protekcjonalności. No cóż, panie doktorze, musimy być fair i oddać gojom sprawiedliwość - tam gdzie są dobrzy, są naprawdę bardzo dobrzy. Taka

przebojowa dziewczyna! To mnie właśnie hipnotyzowało - jej rześlkość, jej stanowczość, jednym słowem, jej rzepkowatość. Moja zdrowa, bosa gojko, bez szminki, z dużą pupą, Kay-Kay, gdzie teraz jesteś? Matką ilu dzieci? Czy się koniec końców roztyłaś? No to co z tego! Choćbyś nawet była rozłożysta jak gmach - przy takim charakterze jak twój potrzebna ci jest odpowiednia gablota! Najlepsze, co mają w samym sercu kraju, dlaczego więc pozwoliłem jej odejść? Nie ma obawy, jeszcze do tego wróce, samoudręka zawsze czyha tuż, tuż, oddalona o jedno tylko wspomnienie, już o tym wiemy. Tymczasem chciałbym za nią do głębi potęsknić. Cera jak maślanka! Nie ufryzowane, puszczone luzem włosy! I to na początku lat pięćdziesiątych, zanim rozpuszczone włosy weszły w modę! To się nazywa naturalność, panie doktorze. Pulchna i pełna, słoneczna Kay! Założę się, że cała czeredka dzieci lgnie dzisiaj do obfitej sempiterny tej dziewczyny (zgoła różnej od modelowego tyłeczka Małpki, która ma pupę jak ziarnko kawy). Założę się, że sama pieczesz chleb, co? (Tak jak piekłaś owego parnego wiosennego wieczora w moim mieszkaniu w Yellow Springs, w samym biustonozu i halce, z mąką w uszach i przedziałkiem mokrym od potu - pamiętasz? Pokazywałaś mi, mimo temperatury, jak powinien smakować chleb. Mogłabyś równie dobrze wymiesić moje serce, takie było wówczas miękkie!) Założę się, że tam, gdzie mieszkasz, powietrze jest nadal nie zanieczyszczone, nikt nie zamyka drzwi na klucz, a ludzie nie zabiegają, do dwóch choler, o pieniądze ani o majątek. Hej, Rzepko, ja też nie zabiegam, też się nie skalałem ani takimi, ani żadnymi innymi ideałami mieszczaństwa! Idealnie niezgrabna dziewczyna! Przynajmniej nie była tykowatym manekinem! Nie miała biustu, no to co? Wiotka jak motyl w okolicy klatki piersiowej i szyi, ale od pasa w dół rozrośnięta niczym niedźwiedź! Zakorzeniona, do tego zmierzam! Wrosła tymi swoimi nogami futbolisty w amerykańską ziemię!

Trzeba było słyszeć Kay Campbell, kiedy na drugim roku studiów chodziliśmy po Greene County od domu do domu w ramach kampanii przedwyborczej na rzecz Stevensona. Stając twarzą w twarz z najstraszliwszą tępotą republikanów, ich zjadliwością i ciasnymi horyzontami, które mogą człowieka doprowadzić do szału, Rzepka zawsze pozostawała damą. Ja wychodziłem na dzikusa. Choćbym nie wiem jak beznamiętnie zaczął (lub protekcyjnie, bo do tego się to sprowadzało), nieodmiennie kończyłem w strugach potu i wściekłości, obrażając, drwiąc, oskarżając, na noże z tymi ograniczonymi ludźmi, bo nazwałem ich ukochanego Ike'a analfabetą, politycznym i moralnym debilem - pewno więc ponoszę częściowo odpowiedzialność za to, że Adiai poniósł tak sromotną klęskę w stanie Ohio. Rzepka natomiast

wysłuchiwała racji przeciwników z tak nieskazitelną uwagą i życzliwością, że czasem zdawało się, iż za chwilę odwróci się do mnie i powie:

- Wiesz, Aleks, pan Kmiotek ma chyba rację, może Stevenson zbyt się cacka z komunizmem.

Ale nie, kiedy przebrzmiał ostatni idiotyzm na temat „socjalistycznych” i/lub „czerwonych” skłonności naszego kandydata, ostatni zarzut wobec jego poczucia humoru, Rzepka wkraczała do akcji, po czym uprzejmie i (niewiarygodne!) bez cienia sarkazmu - mogłaby zasiadać w jury konkursu na wypiek ciasta, bo odznaczała się tak idealną kombinacją trzeźwości i pogody ducha - przystępowała do poprawiania błędów w wiedzy i rozumowaniu pana Kmiotka, zwracając nawet uwagę na jego sknerstwo. Nie skalana zniekształconą składnią apokalipsy lub prostackim słownictwem desperacji, bez kropli potu na górnej wardze, bez ściśniętego czy zaschniętego gardła, bez rumieńca nienawiści na czole, przeciągnęła chyba na swoją stronę pół tuzina mieszkańców hrabstwa. Mój Boże, tak, to była jedna z najwspanialszych gojek. Mógłbym się wiele nauczyć, gdybym spędził z nią resztę życia. Owszem, mógłbym - gdybym w ogóle potrafił się czegoś nauczyć! Gdybym umiał się wyzwolić od tej obsesji fellatio i kopulacji, od wyobraźni, fantazji i zemsty, od chęci wyrównania rachunków! Od dążenia do realizacji marzeń! Od tej beznadziejnej, bezsensownej lojalności wobec dawnych czasów!

Jest rok 1950, mam dopiero siedemnaście lat, zaledwie przed dwu i pół miesiącem wyrwałem się z Newark (no, niezupełnie „wyrwałem się” - rano budzę się w akademiku zdumiony obcym kocem w ręku, zniknięciem jednego z „moich” okien, przez wiele minut dręczy mnie i zbija z tropu ta niespodziewana metamorfoza mojej sypialni dokonana przez matkę) - zdobywam się na najbardziej buntownicze posunięcie w życiu: zamiast wrócić do domu na pierwsze studenckie wakacje, jadę pociągiem do stanu Iowa, żeby spędzić Święto Dziękczynienia z Rzepką i jej rodzicami. Do września nigdy nie wysunąłem nosa na zachód poza jezioro Hopatcong w New Jersey, a teraz ruszam aż do Iowy! I to z blondynką! Chrześcijanką! Kogo bardziej zaskakuje moja dezercja - rodziców czy mnie? Co za czelność! A może to tylko śmiałość lunatyka?

Biały, szalowany dom rodzinny Rzepki budził we mnie takie emocje, jakbym się znalazł w świątyni Tadz Mahal. Może tylko Balboa zrozumiałby, co czułem na widok huśtawki przymocowanej do sufitu na frontowym ganku. Rzepka tu się wy-

chowała. Dziewczyna, która pozwala mi rozpinąć sobie biustonosz i obmacywać się w wejściu do akademika, wychowała się w tym białym domu. Za tymi gojowskimi zasłonami! Patrzcie, żaluzje!

- Tatusiu, mamusiu - mówi Rzepka, kiedy wysiadamy na stacji w Davenport - poznajcie mojego gościa, kolegę ze studiów, o którym wam pisałam...

Nazywa się mnie „gościem”? Kolegą ze studiów? Co to za język? Przecież jestem bandytnikiem, „wancą”, synem agenta ubezpieczeniowego. Ambasadorem Warszawy!

- Jak się masz, Aleks?

Na co oczywiście odpowiadam:

- Dziękuję, dobrze.

Na wszystko, co się do mnie mówi podczas pierwszej doby w Iowa, odpowiadam niezmiennie „dziękuję”. Zwracam się tak nawet do przedmiotów martwych. Potrącam krzesło i mówię grzecznie: „Przepraszam, dziękuję”. Upuszczam serwetkę na podłogę, schylam się po nią z rumieńcem na twarzy i słyszę, jak mówię „dziękuję” do serwetki, a może do podłogi? Ależ mama byłaby dumna ze swojego małego dżentelmena! Uprzejmy nawet w stosunku do mebli!

Istnieje w języku angielskim zwrot: „Dzień dobry”, przynajmniej tak mnie uczono, nigdy jednak nie miałem specjalnej okazji go używać. Bo niby po co? Przy śniadaniu domownicy mówią o mnie per „nos na kwintę” albo „zrzęda”. Aż tu, w Iowa, naśladując tubylców, przekształcam się w istny gejzer dzień dobrych. Wszyscy to tutaj znają na pamięć - czują słońce na twarzach, które wywołuje swoistą reakcję chemiczną: *Dzień dobry! Dzień dobry! Dzień dobry!* Wyśpiewane w kilku różnych tonacjach! Następnie zaczynają dopytywać się nawzajem, czy „dobrze spali”. Pytają też mnie! Czy dobrze spałem?! Nie mam pojęcia, muszę się zastanowić, pytanie spada na mnie jak grom z jasnego nieba. Czy - dobrze - spałem? Tak! Chyba tak! A pan?

- Jak kłoda - odpowiada pan Campbell. I po raz pierwszy w życiu odczuwam całą siłę uśmiechu. Ten oto człowiek, który jest handlarzem nieruchomości i członkiem rady starszyny w ratuszu miejskim w Davenport, mówi, że spał jak kłoda, a ja naprawdę widzę przed oczyma kłodę. Rozumiem! Bez ruchu, ciężko, jak kłoda! „Dzień dobry”, mówi, i dopiero teraz dociera do mnie, że słowo „dzień” w jego ustach odnosi się zwłaszcza do godziny między rankiem a wieczorem. Nigdy tak o tym nie myślałem. Chce, żeby godziny między rankiem a wieczorem były *dobre*, czyli radosne,

przyjemne i owocne! Wszyscy życzymy sobie kolejnych godzin radości i powodzenia. Niesamowite! Cudowne! Dzień dobry! To samo dotyczy „dobry wieczór”! I „dobranoc”! Mój Boże! Język angielski jest *formą przekazu!* Rozmowa nie sprowadza się wyłącznie do ognia krzyżowego, w którym człowiek strzela i staje się celem strzału! Gdzie trzeba robić uniki dla ratowania życia i dobrze mierzyć, żeby zabić! Słowa nie są wyłącznie bombami i pociskami - nie, są raczej prezencikami zawierającymi *znaczenia!*

Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem - jak gdyby już samo oglądanie gojowskich zasłon od środka zamiast od zewnątrz nie obezwładniało mnie dostatecznie, jak gdyby życzenie całemu domowi gojów wielu godzin radości nie przyprawiało mnie wystarczająco o zdumienie, ekstazę dezorientacji powiększa nazwa ulicy, przy której stoi dom Campbellów, ulicy, na której wychowała się *moja* dziewczyna! Gdzie bawiła się skakanką, ślizgała na łyżwach, grała w klasy, jeździła na sankach! Gdy tymczasem ja marzyłem o jej istnieniu półtora tysiąca kilometrów stamtąd, podobno w tym samym kraju. Jak brzmi nazwa owej ulicy? Nie Xanadu, nie, jeszcze lepiej i znacznie bardziej absurdalnie: ulica Wiązowa! Zupełnie jak gdybym przeszedł na wylot przez pomarańczową celuloidową skalę naszego starego odbiornika marki Zenit prosto do programu „Pewna rodzina”. Ulica Wiązowa. Rosną przy niej drzewa, które muszą być wiązami!

Szczerze mówiąc, przyznaję, że nie potrafię wyciągnąć takiego wniosku od razu, kiedy wysiadam w środę wieczorem z samochodu Campbellów - w końcu dopiero po siedemnastu latach nauczyłem się rozpoznawać dąb, a i to tracę pewność, jeżeli nie ma żołędzi. Kiedy znajdę się na łonie natury, proszę mi wierzyć, nie patrzę na florę, tylko na faunę - w ludzkim przeciwstawieniu - kto rucha, a kogo wyruchano. Zieleń zostawiam ptaszkom i pszczołkom, one mają swoje zmartwienia, a ja swoje. Kto by tam znał u nas w domu nazwę rośliny na chodniku przed blokiem? Drzewo i tyle. Gatunek nie ma znaczenia, kogo to obchodzi, aby tylko nie zważyło się nikomu na głowę. Na jesieni (a może wiosną? zna się pan na tym? w każdym razie nie zimą) z gałęzi spadają długie zakrzywione strąki pełne twardych nasionek. Proszę bardzo. Mogę podać jeden fakt naukowy na temat naszego drzewa, pochodzi, nawiasem mówiąc, od mojej matki, Sophie Linneusz: Jak będziesz strzelał tymi strąkami przez słomkę, możesz trafić kogoś w oko i oślepić go na całe życie. (NIE WAŻ SIĘ WIĘC STRZELAĆ! NAWET DLA ŻARTU! A JEŚLI KTOŚ DO CIEBIE STRZELI, NATYCHMIAST MI O TYM POWIEDZ!) I do tego się mniej więcej sprowadza moja



wiedza botaniczna aż do owego niedzielnego popołudnia, kiedy wyjeżdżamy z domu Campbellów na stację i dokonuję swojego archimedesowego odkrycia - ulica Wiązowa, czyli... to są wiązy! Jakie proste! Widać nie trzeba mieć stu pięćdziesięciu ośmiu punktów ilorazu inteligencji, nie trzeba być geniuszem, żeby zrozumieć ten świat. To naprawdę takie proste!

Pamiętny weekend mojego życia, równający się w dziejach ludzkości chyba przejściu człowieka przez całą epokę kamienną. Za każdym razem, kiedy pan Campbell zwracał się do żony per Mary, temperatura mojego ciała podnosiła się do 38°C. Jadłem jak gdyby nigdy nic z talerzy dotkniętych przez kobietę, której na imię *Mary*. (Czy tu może tkwi przyczyna, dlaczego nie używałem imienia Małpki, chyba że chciałem ją ukarać? Nie?) Błagam Cię, modłę się w pociągu jadącym na zachód, żeby w domu Campbellów nie było podobizn Jezusa Chrystusa. Abym nie musiał w ten weekend oglądać jego natchnionego oblicza... ani zadawać się z nikim, kto nosi krzyżyk! Kiedy wujowie i ciotki zejdą się na obiad Dziękczynienia, proszę Cię, żeby nie trafił się wśród nich antysemita! Bo jeżeli ktoś powie choć słowo o „nachalnych Żydach” albo wyrazi się „parch” czy „żydowska kiepele”, to ja już mu tak tę „kiepele” urządzę, że wepchnę mu chyba wszystkie zęby do gardła! Nie, tylko bez bicia (jak gdybym umiał podnieść na kogoś rękę), niech *oni* uderzą pierwsi, to w ich stylu. Nie, wstanę wtedy z krzesła i (no właśnie, co wtedy?) wygłoszę przemówienie! Zawstydzę i upokorzę tych bigotów do głębi serca! Rzucę cytaty z Deklaracji Niepodległości nad tymi ich słodkimi ziemniakami w syropie! Kim oni do cholery są, pytam się, co to im się zdaje, że mają Dziękczynienie na własność!

Po czym na dworcu kolejowym jej ojciec pyta:

- Jak się masz, młody człowieku?

A ja naturalnie odpowiadam:

- Dziękuję, dobrze.

Dlaczego on jest taki miły? Dlatego, że go uprzedzono (nie jestem pewien, czy mam to uznać za zniewagę, czy za przysługę), czy też dlatego, że jeszcze nie wie? Może więc powinienem go uświadomić, zanim wsiądziemy do samochodu? Ależ tak! Nie mogę żyć w kłamstwie! „Bardzo tu miło u państwa w Davenport, zwłaszcza jeżeli ktoś jest Żydem”. Może to nie dość wymowne. „Jako kolega Kay i jako Żyd chciałbym państwu podziękować za zaproszenie...” Przestań owijać w bawełnę! No to co?

Mam mówić po żydowsku? Niby jak? Znam wszystkiego dwadzieścia pięć słów, z czego połowa nieprzyzwoitych, a połowę źle wymawiam! Cholera, po prostu trzymaj język za zębami i wsiadaj do samochodu.

- Dziękuję, dziękuję - mówię, biorąc swój bagaż, i wszyscy kierujemy się do samochodu.

Kay i ja wskakujemy na tylne siedzenie *razem z psem*. Pies Kay! Do którego mówi tak, jak gdyby był człowiekiem! Rany, to prawdziwa gojka. Co za głupota mówić do psa, tyle że Kay nie jest głupia! Prawdę powiedziawszy, jest mądrzejsza ode mnie. A mimo to rozmawia z psem? „Jeśli chodzi o psy, proszę państwa, my Żydzi z reguły...” Och, daj spokój. To zbyt uczte. Zapominasz (albo usilnie starasz się zapomnieć) o tym swoim nader wymownym przydatku zwanym nosem. Nie mówiąc już o afrożydowskiej fryzurze. Oczywiście, że wiedzą. Przykro mi, ale nie umkniesz losu, bubi, chrząstka człowieka to jego przeznaczenie. *Kiedy ja wcale nie chcę unikać!* Tym lepiej, bo i tak nie możesz. *Jak to, mogę, gdybym tylko zechciał!* Przecież sam powiedziałeś, że nie chcesz! *No ale gdybym zechciał!*

Z chwilą wejścia do domu zaczynam (ukradkiem, i to ku własnemu zdziwieniu) węszyć - jaki tu będzie zapach? Tłuczonych kartofli? Sukni starszej pani? Świeżego cementu? Wącham i wącham, starając się uchwycić zapach. Już czuję! Czy to woń chrześcijaństwa, czy tylko zapach psa? Na wszystko, co widzę, czego smakuję i dotykam, reaguję jedną myślą: „gojowskie”! Pierwszego ranka wyciskam do zlewu dwa centymetry pasty do zębów Pepsodent, żeby, broń Boże, nie dotknąć szczoteczką tubki, bo matka lub ojciec Kay mogli dotykać jej włosiem, którym czyszczą swoje gojowskie trzonowce. Naprawdę! Na mydle w umywalce osiada piana po czyichś rękach. Czyich? Mary? Czy mogę je wziąć i zabrać do mycia, czy powinienem splukać je najpierw dla pewności wodą? Dla jakiej znowu pewności? Szmondaku, może potrzebna ci kostka mydła, żeby umyć to mydło! Podchodzę na palcach do sedesu, zaglądam do muszli: „Widzisz, chłopcze, prawdziwa gojowska muszla klozetowa. Autentyk. Tutaj ojciec twojej dziewczyny wali gojowska kupę. I co ty na to? Robi wrażenie”. Obsesja? Zauroczenie?

Następnie muszę podjąć decyzję, czy mam wyścielić sedes. Nie chodzi tu o higienę, deska jest z całą pewnością czysta, nieskazitelna na swój antyseptyczny gojowski sposób, pytanie tylko, co będzie, jeśli okaże się jeszcze ciepła od siedzenia kogoś z Campbellów, na przykład matki Kay! *Mary!* Również matki Jezusa

Chrystusa! Chociażby przez wzgląd na własną rodzinę powinienem chyba podłożyć kawałek papieru na brzegu, nic nie kosztuje i nikt się nigdy nie dowie.

*Ja* będę wiedział! *Ja!* Siadam więc... i okazuje się ciepła! No, no, mam siedemnaście lat i już ocieram się tyłkiem o wroga! Daleko zaszedłem od września! *Nad rzekami Babilonu, tam siadaliśmy płacząc i wspominając Syjon!*<sup>3</sup> I słusznie! Kiedy siedzę na tronie, ogarniają mnie wątpliwości i żal, naraz całym sercem tęsknię za domem... Ojciec wybiera się na targ opodal Union po „prawdziwy jabłecznik”, a mnie tam nie ma! A kiedy rano w Święto Dziękczynienia Hanna i Morty pójda beze mnie na mecz liceum Weequahic, kto ich będzie rozśmieszał? Jezu, obyśmy tylko wygrali (innymi słowy, przegrali różnicą raniej niż dwudziestu jeden punktów). Pobijcie Hillside, łajdaki! Li-kua-hik! Bernie, Sidney, Leon, „Szefuniu”, tu na obronę, do roboty!

*Aj-aj, w to mi graj,*

*Nie ma drugich takich*

*Jak my, chłopaki, z liceum Weequahic.*

*Aj-aj, żeśmy sam cymes*

*Kisz mir in tuches ,*

*To my, chłopaki, z liceum Weequahic.*

No, chłopcy, tak trzymać, i jazda, rozpruć im kiszki, do roboty, chłopaki!

Widzi pan, żal mi, że nie mogę się trochę powymądrzać i powyglupiać na ławkach publiczności! Pochwalić się swoim „sarkazmem i drwinami! A po meczu tęsknię za tradycyjnym posiłkiem Dziękczynienia przyrządzonym przez matkę, piegowatą, rudą potomkinię polskich Żydów! Och, jak im krew odpłynie z twarzy, jaka śmiertelna cisza zapadnie, kiedy matka J podniesie wielką pałeczkę gongu i zawoła: - No! Zgadnijcie, na kogo! - a ta „zagadka” będzie na lewiźnie! Czemu dopuściłem się dezercji? Może nie wyglądamy przy stole jak rodzina żywcem z obrazu Normana Rockwella, ale świetnie się bawimy, spokojna głowa! Nie wywodzimy się wprawdzie od Ojców Założycieli ze skały w Plymouth, o ile mi wiadomo, żaden Indianin nie przyniósł kukurydzy żadnemu członkowi naszej rodziny, ale wystarczy powąchać to nadzienie! Rzucić okiem na salaterki z sosem żurawinowym po obu stronach stołu! No i to imię indyka - „Tom”! Dlaczego więc nie mogę uwierzyć, że jem ten świąteczny

---

<sup>3</sup> Księga psalmów, 137, l.przeł. Czesław Miłosz.

obiad w Ameryce, że to jest właśnie Ameryka, tylko wyobrażam sobie, że dopiero kiedyś do niej dotrę, tak jak co roku w listopadzie jeżdżę z ojcem do tego wieśniaka i jego żony w Union, New Jersey (oboje chodzą w ogrodniczkach), po *prawdziwy* jabłecznik na Święto Dziękczynienia.

- Jadę do Iowa - oświadczam im z automatu telefonicznego na moim piętrze.

- *Dokąd?*

- Do Davenport w stanie Iowa.

- Na pierwsze studenckie wakacje?!

- Wiem, ale to wyjątkowa okazja, nie mogę odmówić...

- *Okazja? Co za okazja?*

- Żeby spędzić Święto Dziękczynienia z rodziną kolegi, Billa Campbella...

- Z kim?

- Z Campbellem. Tak jak ta zupa w puszkach. Mieszka ze mną w akademiku...

Ale oni i tak się mnie spodziewają. Wszyscy na mnie czekają. Morty ma bilety na mecz. Co ja tu plotę o jakiejś okazji?

- Co to za Campbell?

- Mój kolega! Bili!

- A co z jabłecznikiem? - pyta ojciec.

O Boże, stało się, chociaż przysięgałem sobie, że do tego nie dojdzie! Zalewam się łzami, i to z powodu głupiego słówka „jabłecznik”. To urodzony magik, mógłby w teleturnieju Groucho Marxa wygrać fortunę, odgadując właściwe słowo. Mnie przenika na wylot za każdym razem! I wygrywa moją pulę skruchy!

- Nie mogę się wycofać, przykro mi, już przyjąłem zaproszenie, jedziemy!

- Jedziemy? Czym, Aleks, w ogóle nie pojmuję tego planu - wtrąca się matka - *czym* jedziecie, jeżeli wolno spytać, i dokąd? W dodatku pewno kabrioletem, bo jakżeby inaczej...

- NIE!

- A jeśli drogi będą oblodzone, Aleks...

- Mamo, jedziemy czołgiem Shermana! Już dobrze? Dobrze?

- Aleks - mówi surowo - poznaję po twoim głosie, że nie mówisz całej prawdy, na pewno wybierasz się autostopem, złapiesz kabriolet albo inny zwariowany wóz.

Ledwo dwa miesiące temu wyszedł z domu, ma siedemnaście lat, a już schodzi na manowce!

Owa rozmowa telefoniczna odbyła się przed szesnastu laty. Trochę ponad pół mojego życia temu. W listopadzie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego - tu na przegubie mam wytatuowaną datę swojej Proklamacji Emancypacji. Dzieci, których jeszcze nie było na świecie, kiedy po raz pierwszy dzwoniłem do rodziców, by zawiadomić ich, że nie przyjeżdżam z uniwerku do domu, wstępują chyba teraz na wyższe uczelnie... a ja wciąż zawiadamiam telefonicznie rodziców, że nie przyjadę do domu! Nadal walczę z rodziną! Po co w ogóle przeskakiwałem te dwie klasy w szkole podstawowej i wysforowałem się przed rówieśników, skoro teraz wlokę się za nimi w ogonie? Moje wczesne rokowania obrosły już legendą - gwiazdorstwo w przedstawieniach wystawianych w powszechniaku! W wieku zaledwie dwunastu lat porwałem się na związek Cór Rewolucji Amerykańskiej! Dlaczego więc żyję samotnie i nie mam własnych dzieci? To nie jest pytanie *non sequitur*! W życiu zawodowym dokądś zmierzam, owszem, ale w *osobistymi* Czym mogę się pochwalić? Na tym świecie powinny się już bawić dzieci podobne z wyglądu do mnie! Dlaczego tak nie jest? Dlaczego byle pęta z przeszklonym domem i garażem ma potomstwo, a ja nie? Coś tu nie gra!

Pomyśleć tylko, że połowa rasy wyginęła, a ja wciąż stoję na linii startu, ja, który pierwszy wyszedłem z powijaków i wskoczyłem w strój gimnastyczny! Mam sto pięćdziesiąt osiem punktów ilorazu inteligencji, a nadal wojuję z organizatorami na temat reguł i zasad! Omawiam trasę, którą mam przebiec! Kwestionuję praworządność zespołu sędziów! Tak, „zręda” to właściwe określenie, mamo! „Nos na kwintę” świetnie do mnie pasuje, w sam raz do niejakiemu Nosa! *Homo hystericus - c'est moi!*

Kolejne słowo, które przez całe dzieciństwo uważałem za żydowskie. „Histeria”.

- No, wpadnij w atak hysterii - radziła matka. - Przekonaj się, mój ty inteligentny synu, czy to cokolwiek zmieni.

Jakże ja się starałem! Jak miotałem się po kuchni! Pan Gorączka! Pan Wścieklizna! Pan Furiat! Określenia, na które sobie zasłużyłem! Boże, uchwaj, żeby ktoś spojrział na ciebie krzywo, Aleks, nie dałabym dwóch centów za życie tego człowieka! Pan Przemądrzalski! Tatusiu, Zręda z Siedmiu Krasnoludków przyszedł

nas odwiedzić. Hanno, twój brat, Gburek, zaszczyił nas dzisiaj swoją obecnością. Witaj, Gburku, jak to miło z twojej strony.

- Pędź, mój mustangu - wzdycha Hanna, kiedy gnam do sypialni, żeby zatopić kły w kapie na łóżko. - Mały złośnik znów szaleje.

Pod koniec trzeciego roku studiów miesięczka Kay nie przyszła na czas, zaczęliśmy więc oboje, z entuzjastycznym zachwytem, całkiem bez paniki, raczej z zainteresowaniem, przygotowywać się do ślubu. Podejmiemy się opieki nad dziećmi u młodej pary wykładowców, którzy nas lubią; w zamian wynajmą nam przestronny strych i odstąpią jedną półkę w lodówce. Będziemy nosić stare ubrania i jeść spaghetti. Kay będzie pisała wiersze na temat ciąży i, jak obiecała, przepisywać na maszynie prace semestralne, żeby zarobić dodatkowe pieniądze. Mieliśmy stypendia, czego nam więcej trzeba? (prócz materaca, kilku cegieł i desek na regał z książkami, płyty dla Kay z nagraniami Dylana Thomasa i - jak przyjdzie pora - kołyski). Morze po kolana. Wtedy rzuciłem pytanie:

- No i ty, oczywiście, zmienisz wiarę?

Chciałem, żeby odebrała to pytanie jako ironiczne, przynajmniej takie mi się ono wydawało. Ale Kay potraktowała je z całą powagą. Nie z namaszczeniem, tylko z powagą.

Kay Campbell, Davenport w stanie Iowa:

- Po co miałabym zmieniać?

Wspaniała dziewczyna! Cudowna, genialna, szczerą! Zadowolona, rozumie pan, z siebie! Dopiero teraz pojmuję, za czym mężczyźni tak się zabijają! *Po co miałabym zmieniać?* Przy czym nie powiedziała tego nonszalancko, defensywnie, figlarnie lub tonem wyższości. Przemówił zdrowy rozsądek ujęty w prostych słowach.

Tylko że wprawiło to naszego Portnoya w złość, wyzwoliło w nim małego złośnika. Co to znaczy: „Po co miałabym zmieniać?” Co ty sobie myślisz, ty prostacka gojko! Porozmawiaj z własnym psem, *jego* zapytaj. Spytaj, co na to Kleks, twój czworonożny geniusz.

- Kleks, chcesz, żeby Kay-Kay została Żydówką, co, staruszk?

Zresztą dlaczego jesteś, do cholery, taka pewna siebie? Że potrafisz rozmawiać z psami? Że umiesz rozpoznać wiąź? Że twój ojciec jeździ samochodem szalowanym drewnem? Czegoś ty takiego dokonała w życiu, dziecinko z ryjkiem Doris Day?

Na szczęście tak mnie zdumiało własne oburzenie, że nie byłem go w stanie wyrazić. Jak mogę czuć ranę tam, gdzie nic nie ma prawa mnie ranić? Nic nas, Kay i mnie, nie obchodziło mniej niż *primo* - pieniądze, *secundo* - religia. Naszym ulubionym filozofem był Bertrand Russell. Naszą religią była religia Dylana Thomasa - prawda i radość! Nasze dzieci będą ateistami. Przecież tylko żartowałem!

Mimo to chyba nigdy jej tego nie wybaczyłem. Niedługo po naszym fałszywym alarmie zaczęła mi się wydawać nużąco powszednia w rozmowie, a w łóżku równie godna pożądania jak tran. Nawet zdziwiłem się, że tak źle zareagowała, kiedy jej wreszcie oznajmiłem, że przestała mnie obchodzić. Widzi pan, byłem bardzo szczery, według zaleceń Bertranda Russella.

- Kay, nie chcę się z tobą więcej spotykać. Przykro mi, ale nie potrafię udawać.

Plakała żałośnie, chodziła po miasteczku uniwersyteckim z okropnymi workami pod przekrwionymi niebieskimi oczyma, nie zjawiała się na posiłki, opuszczała zajęcia... A ja nie mogłem wyjść ze zdziwienia. Bo przez cały czas sądziłem, że to jaja kocham, a nie ona mnie. Toteż ze zdumieniem odkryłem, że było wprost przeciwnie.

Och, w wieku dwudziestu lat już odtrąciłem kochankę - pierwszy niezmacony dreszcz sadyzmu wobec kobiety! I marzenia o następnych kobietach. Owego roku w czerwcu wróciłem do New Jersey, dumny z własnej nowej „siły”, zachodząc w głowę, jak ja się dałem omotać komuś tak pospolitemu i grubemu.

Kolejne aryjskie złamane przeze mnie serce należało do Pielgrzymki, Sary Abbott Maulsby - wychowanej w New Canaan, maturzystki z Foxcroft, absolwentki Vassar (gdzie za towarzysza, trzymanego w stajniach w Poughkeepsie, miała drugą płową piękność, swojego rumaka). Wysoka, subtelna, atrakcyjna dwudziestodwulatka, świeżo po studiach, pracowała jako recepcjonistka w gabinecie senatora z Connecticut, kiedy jesienią 1959 roku poznaliśmy się i zaczęliśmy romans. Zasiadałem wówczas w podkomisji Izby Kongresu, prowadzącej dochodzenie w sprawie skandalu wokół teleturniejów. Wymarzone zajęcie dla takiego socjalisty-teoretyka jak ja - malwersacja na skalę krajową, wyzysk niewinnej publiczności, wyrafinowane zbiorowe szykany, jednym słowem, stara poczciwa kapitalistyczna

żarłoczność. No i oczywiście na dokładkę Szarlatan Van Doren. Taka postać, taki umysł i pochodzenie, taka szczerłość i szczeniący urok licealisty, chciałoby się powiedzieć - rdzenny Amerykanin. A okazuje się, że szalbierz. No i co ty na to, aryjska Ameryko? Supergoj, a złodziej! Kradnie pieniądze. Pożąda pieniędzy. Łaknie pieniędzy, wszystko za nie gotów zrobić. Boże miłosierny, wy świętoszkowaci tubylcy nie jesteście lepsi od nas, Żydów!

Tak, byłem jedynym szczęśliwym Żydem w całym Waszyngtonie, bandą Sterna w jednej osobie, obalałem gorliwie honor i uczciwość Charliego, a zarazem stawałem się kochankiem owej arystokratycznej jankeskiej piękności, której przodkowie w siedemnastym wieku przybyli na ten brzeg. Zjawisko znane jako: załazić jednemu gojowi za skórę, a modlić się pod figurą drugiego.

Dlaczego nie ożeniłem się z tą piękną, kochającą dziewczyną? Pamiętam ją na galeryjce, bladą i uroczą, w granatowym kostiumie ze złotymi guzikami, kiedy przyglądała się z taką dumą i miłością, gdy na swoim pierwszym publicznym przesłuchaniu wziąłem w krzyżowy ogień bardzo wykrętnego rzecznika prasowego koncernu telewizyjnego... jak na pierwszy raz zrobiłem niezłe wrażenie: byłem opanowany, klarowny, uparty, czułem tylko leciutkie łomotanie serca, a miałem wszystkiego dwadzieścia sześć lat. O, tak, kiedy trzymam w ręku wszelkie etyczne atuty, miejcie się na baczności, łapserdaki! Kiedy wiem, że mam czterysta procent racji, nie będę się z wami opierniczał.

Dlaczego nie ożeniłem się z tą dziewczyną? No cóż, po pierwsze przeszkadzał mi jej ciapuś-mapuś sztubacki żargon. Nie znosiłem go. „Pawiować” na wymiotować, „wnerwiony” na wściekły, „zgrywa” na żart, „świśnięty” na zwariowany, „ździebko” na mało. Ach, no i „boski”. (To samo co „gites” w ustach Mary Jane Reed - wiecznie uczyć te dziewczyny, jak mają poprawnie mówić, ja ze swoim słownictwem z New Jersey obejmującym pięćset słów). No i oczywiście przezwiska jej koleżanek i kolegów, nie mówiąc o nich samych! Pusia, Pip, Kamuszek, Krewetka, Brutal, Kołowrotek, Skrzek, Bumpo, Baba - zupełnie jak gdyby uczęszczała do Vassar z siostrzeńcami kaczora Donalda... Ale mój żargon też ją co nieco denerwował. Kiedy po raz pierwszy powiedziałem przy niej „pierdolić” (i przy jej koleżance, Kamuszkę, w kołnierzyku Piotrusia Pana i w swetrze w warkocze, opalanej na Indiankę od ciągłej gry w tenisa w klubie Chevy Chase), Pielgrzymka zrobiła tak zboląłą minę, jak gdybym wypalił jej to brzydkie słowo na ciele. Dlaczego, dopytywała się płaczliwie, kiedy zostaliśmy sami, dlaczego muszę być taki „odpychający”? Jaką przyjemność sprawia mi ten „brak



manier"? Co ja tym, do licha, „udowodniłem”? - Po coś tak szpanował? To było całkiem nie na miejscu. „Szpanować” znaczy w ich języku popisywać się. „A w łóżku? Nic nadzwyczajnego, żadnych akrobacji ani fajerwerków śmiałości czy techniki; kochaliśmy się zawsze tak samo jak za pierwszym razem - ja szturmowałem, ona ulegała, i nawet spora namiętność rozpalala się na jej mahoniowym łożu z czterema kolumnami (spadku po rodzinie Maulsby). Jedyłą uboczną atrakcją stanowiło olbrzymie lustro na drzwiach łazienki. Tam, przyciskając uda do jej ud, szeptałem: - Patrz, Saro, patrz. - Z początku była nieśmiała, zostawiała patrzenie mnie, z początku była skromna i godziła się tylko dlatego, że tego od niej oczekiwałem, ale z czasem rozbudziła w sobie jakąś namiętność do tego lustra i śledziła wzrokiem odbicie naszej kopulacji z pewnym zdziwieniem i intensywnością. Czy widziała to samo co ja? *Czarne włosy łonowe, panie i panowie, siedemdziesiąt siedem kilo żywej wagi, z czego przynajmniej połowa to nie strawiona jeszcze chałwa i ostre pastrami, urodzony w Newark, stan New Jersey, występuje Sznos, Aleksander Portnoy! A oto jego partnerka, jasne kędziorki, eleganckie, lakierowane paznokcie i subtelna, dziewczęca twarz z płócien Botticellego, słynąca z publicznego szafowania wdziękami tu u nas, w New Jersey, pięćdziesiąt dwa kilogramy republikańskiego poloru, najbardziej wyzywająca para sutek w całej Nowej Anglii, z miasta New Canaan w Connecticut, niejaka Sara Abbott Maulsby!*

Chcę przez to powiedzieć, panie doktorze, że najwyraźniej dobieram się nie tyle do tych dziewczyn, ile do ich pochodzenia, zupełnie jakbym poprzez pierdolenie miał odkryć Amerykę. Może nawet *podbić* Amerykę. Krzysztof Kolumb, kapitan Smith, gubernator Winthrop, generał Waszyngton... a teraz Portnoy. Jak gdyby los chciał, żebym uwiódł po jednej dziewczynie z każdego z czterdziestu ośmiu stanów. Jeśli chodzi o kobiety z Alaski i Hawajów, nic do nich nie czuję, nie mam z nimi żadnych porachunków, żadnych czeków do zrealizowania, żadnych marzeń do spełnienia. Kim one dla mnie są? Bandą Eskimosek i Egzotycznych Dziewcząt. Nie, jestem dzieckiem lat czterdziestych, radia i drugiej wojny światowej, ośmiu drużyn w lidze krajowej i czterdziestu ośmiu stanów Ameryki. Znam na pamięć słowa *Hymnu piechoty morskiej, Nadciągają jaszczce* i *Pieśni sił powietrznych*. Znam hymn marynarki powietrznej: „W górę podnieście kotwice / powietrze to nasze morze, / żeglujmy zatem w przestworze...” Mogę panu nawet zaśpiewać hymn batalionu Seabee. Doktorze Spielvogel, proszę tylko wymienić nazwę sił zbrojnych, w których pan służył, a odśpiewam panu ich hymn. Pamiętam, jak siadywaliśmy na płaszcach na

cementowej podłodze, oparci plecami o mocne ściany korytarzy w szatni powszechniaka, i śpiewaliśmy chórem *Johnny Zero*, żeby podnieść swoje morale, dopóki nie rozległ się znany sygnał odwołania alarmu. „Chwal Boga i podaj amunicję”. „Tak powiedział sam pilot, / a on się nie myli, / bo to taki owaki dowódca baterii-i-i!” Co pan tylko zechce, jeżeli skomponowano to na chwałę gwiazdek i pasków, znam każde słowo! Tak, jestem dzieckiem powietrznych nalotów próbnych, panie doktorze, pamiętam bitwę o Corregidor, „Kawalkadę Ameryki” i rozdzierający serce, pochylony sztandar, łopoczący na drzewcu, wciągany na cześć krwawego zwycięstwa na wyspie Iwo Jima. Lotnik Colin Kelly spłonął, kiedy miałem osiem lat, Hiroszima i Nagasaki poszły w jednym tygodniu z dymem, kiedy miałem dwanaście, najpiękniejsze cztery lata dzieciństwa upłynęły mi na nienawiści do Tojo, Hitlera, Mussoliniego i na miłości do tej odważnej stanowczej republiki! Aż mi się moje małe żydowskie serduszko rwało do naszej amerykańskiej demokracji! No cóż, wygraliśmy, wróg poniósł śmierć w zaułku na tyłach Wilhelmstrasse, a zginął, bo się o to modliłem... teraz zaś pragnę tego, co mi się szykuje. Mojej karty poborowej - prawdziwej amerykańskiej dupy! Cipy swojego ojczystego kraju! Ślubuję wierność piździe Stanów Zjednoczonych Ameryki i republice, która się kryje pod tą nazwą: Davenport, Iowa! Dayton, Ohio! Schenectady, Nowy Jork, i pobliska Troja! Fort Myers, Floryda! New Canaan, Connecticut! Chicago, Illinois! Albert Lea, Minnesota! Portland, Maine! Moundsville, zachodnia Wirginia! Kochana ziemi dupiastych gojek, o tobie śpiewam!

*Od szczytów górskich*

*Po wielkie prerie,*

*Po oceany, od mej białej pia-aaa-ny żyzne!*

*Boże, błogosław Ameryce!*

*Ojczyzno, kochana OJCZYZZNOOO-O!*

Proszę sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywoływał we mnie fakt, że pokolenia Maulsbych spoczywały na cmentarzu w Newburyport, Massachusetts, a pokolenia Abbottów w Salem. *Kraj, gdzie spoczęły ojców moich kości, kraj, co Pielgrzymów dumnych ugościł...* Dosłownie. I znacznie więcej. Na przykład znałem dziewczynę, której matka dostawała gęziej skórki na dźwięk nazwiska „Eleanor Roosevelt”. Bo sama bujała się na kolanach Wendella Willkiego w Hobe Sound na Florydzie w roku

1942 (kiedy mój ojciec modlił się za F.D.R. w wielkie święta Jamim Noraim, a matka zapalała za niego świece w szabasowy wieczór). Senator z Connecticut dzielił pokój z jej tatą w Harvardzie, a jej brat „Bańdzioch” skończył uniwersytet w Yale, zasiadał na nowojorskiej giełdzie i (jak dalece sięga moje szczęście?) grał w polo (tak, to gra w piłkę konno!) w niedzielne popołudnia gdzieś w hrabstwie Westchester, podobnie jak grywał przez całe studia. Mogła się nawet urodzić w rodzinie Lindaburych, rozumie pan? Córka zwierzchnika mojego ojca! Znałem dziewczynę, która umiała żeglować, potrafiła jeść deser dwoma sztuczkami (kawalek ciasta, który można by wziąć w rękę, szkoda, że pan nie widział, jak ona manipulowała tym widelcem i łyżeczką - niczym Chinka pałeczkami! Co za umiejętności nabyte w odległym Connecticut!). Czynności, zakrawające na egzotyczne, albo wręcz tabu, wykonywała tak zręcznie, jak gdyby nigdy nic, a ja nie mogłem wyjść z podziwu (choć to nie wszystko) niczym Desdemona słuchająca opowieści o ludożercach. W jej albumie wycinków prasowych natknąłem się na notatkę gazetową z kącika zatytułowanego: „Debiutantka Dnia”, który zaczynał się od słów: „SARA ABBOTT MAULSBY - Kaczki, przepiórki i bażanty niech się lepiej rozpierzchną tej jesieni po całym New Canaan, bo Sally, córka państwa Edwardostwa H. Maulsbych z Greenley Road, przystępuje do polowania na drobną zwierzynę. Strzelanie - ze strzelby, panie doktorze - strzelanie to tylko jeden z ulubionych sportów Sally. Lubi też jeździć konno, a tego lata ma ochotę spróbować wędkarstwa... - i niech pan uważa, ta informacja rozbawiłaby chyba również mojego syna - ma ochotę spróbować wędkarstwa i wybrać się ze spinningiem na pstrągi, które pływają opodal »Wiatrowiska«, letniej posiadłości jej rodziców”.

Sally nie umiała natomiast wziąć mnie do buzi. Strzelać z broni palnej do małej kaczuszki - to potrafiła, ale ssanie mojego ptaka przerastało jej możliwości. Przeprasza, jeżeli sprawia mi tym przykrość, ale nie jest w stanie nawet spróbować. Nie powinienem brać sobie tego tak bardzo do serca, bo nie ma to nic wspólnego, jak twierdziła, z moją osobą... Nie powinienem? Wypchaj się, panienko! Irytowałem się tak, bo istotnie uważałem, że znów jestem dyskryminowany. Mój ojciec nie mógł się przebić wyżej w Towarzystwie Boston i Okręg Północno-Wschodni dokładnie z tego samego powodu, dla którego Sally Maulsby nie raczyła zniżyc się do mnie! I gdzie tu sprawiedliwość na świecie? Gdzie była Bnei Brith, liga do walki ze zniesławieniem!

- To ja się zajmę tobą - zaproponowałem.

Pielgrzymka wzruszyła ramionami, powiedziała elegancko:

- Ale nie musisz. Sam wiesz. Jeżeli nie masz ochoty...
- Oczywiście, że mam. „Muszenie” nie wchodzi w rachubę. Sam chcę.
- Tylko że - odparła - ja nie chcę.
- Dlaczego?
- Bo nie.
- Saro, do cholery, tak odpowiadają dzieci: „bo nie”! Podaj powód!
- Bo... bo nie chcę i tyle.
- Wciąż nie wiem dlaczego. Dlaczego?
- Aleks, nie mogę. Po prostu nie mogę.
- Daj mi choć jeden dobry powód!
- Przestań - odpowiadała, świadoma swoich praw - chyba nie muszę.

Nie, oczywiście, że nie musiała, ja i tak świetnie znałem odpowiedź: bo nie umiesz płynąć pod wiatr, nie wiesz, co to kliwer, nigdy nie miałaś strojów wieczorowych ani nie byłeś na balu kotyliowym... No właśnie, gdybym był jakimś potężnym blondynem Aryjczykiem w różowym stroju jeździeckim i butach myśliwskich za sto dolarów, nie ma obawy, jeszcze jak by mnie obciągnęła, jestem tego najzupełniej pewien!

Okazuje się, że się myłę. Przez trzy miesiące apelowałem do jej rozsądku (moje apele spotykały się wręcz z zaskakującym odporem, imponującym, rozczulającym wręcz jak na taką spokojną, bezkonfliktową osobę), przez trzy miesiące atakowałem ją słowami, a w nocy ciągnąłem za uszy. Aż pewnego wieczoru zaprosiła mnie do Biblioteki Kongresu na koncert Mozarta w wykonaniu Budapeszteńskiego Kwartetu Smyczkowego; przy ostatnich tonach Kwintetu Klarncistów chwyciła mnie za rękę, zapłonęły jej policzki, a kiedy wróciliśmy do niej do domu i weszliśmy do łóżka, Sally oświadczyła:

- Aleks, zrobię ci to.
- Co mi zrobisz?

Ale już jej nie było, dała nura w pościel i znikła z pola widzenia - dmuchała mnie! Ściśle rzecz biorąc, wzięła mojego ptaka do buzi i trzymała go tam przez sześćdziesiąt sekund, trzymała tak tę moją zaskoczoną zabawkę, panie doktorze, jak się trzyma termometr. Odrzuciłem koce - tego widoku nie mogłem sobie odmówić! Wprawdzie niewiele z tego miałem, ale co to był za widok! Tyle że Sally już skończyła.

Przesunęła go teraz do policzka, jak gdyby przekładała dźwignię skrzyni biegów swojego Hillmana-Minxa. Łzy ciekły jej po twarzy.

- Udało się - oznajmiła.

- Sally, och, Saro, nie płacz.

- Aleks, w końcu się udało.

- Chcesz powiedzieć - spytałem - że to koniec?

- Chcesz powiedzieć - aż ją zatkało - że coś więcej?

- Jeśli mam być szczery, jeszcze trochę, chcę być z tobą najzupełniej szczery, byłbym ci bardzo zobowiązany...

- Ale on rośnie. Uduszę się.

DEBIUTANTKA UDŁAWIONA ŻYDOWSKIM KUTASEM. Absolwentka Vassar z Georgetown pada ofiarą uduszenia. Żyd prawnik ujęty...

- Nie udusisz się, jak będziesz oddychać...

- Zakrztuszę się...

- Saro, najlepszy środek na duszność to oddychać. Po prostu oddychaj i to cała filozofia. No, prawie cała.

Bogiem a prawdą starała się jak mogła. Ale zaczęła rzeźić.

- Mówiłam ci - jęczała.

- Bo nie oddychałaś.

- Nie mogę oddychać, kiedy trzymam go w buzi.

- Przez nos. Wyobraź sobie, że pływasz.

- Ale nie pływam.

- WYOBRAŹ SOBIE! - lecz chociaż podjęła jeszcze jedną rycerską próbę, po kilku sekundach wynurzyła się stamtąd w spazmach kaszlu i łez. Wziąłem ją wtedy w ramiona (tę wspaniałą dziewczynę, pełną dobrej woli, natchnioną przez Mozarta, żeby się zająć członkiem Aleksa! Równie urocą jak Natasza w Wojnie i pokojul Delikatną młodą hrabiankę!). Kołysałem ją, droczyłem się z nią, rozśmieszałem, po raz pierwszy jej powiedziałem: - Ja też cię kocham, skarbie - ale naturalnie nie miałem żadnych wątpliwości, że mimo jej zalet i powabów - mimo oddania, urody, wdzięku sarny, miejsca w historii Ameryki - nie wykrzeszę nigdy w sobie „miłości” do Pielgrzymki.

Drażniły mnie jej słabości. Zazdrościłem jej osiągnięć. Nienawidziłem jej rodziny. Niewiele, doprawdy niewiele miejsca zostaje na miłość.

    Nie, Sally Maulsby była po prostu miłym prezentem syna dla ojca. Małą zemstą na panu Lindaburym za wszystkie te wieczory i niedziele, które Jack Portnoy spędził na zbieraniu składek w dzielnicy kolorowych. Małą premią wyrwaną Towarzystwu Boston i Okręg Północno-Wschodni za długie lata pracy i wycisku.

## NA WYGNANIU

W niedzielę, jeżeli jest dość ciepło (w czasach gry blisko pola środkowego z braku dobrych strzelców), dwudziestu mężczyzn z naszej dzielnicy gra siedem rund softballu, od dziewiątej rano do pierwszej po południu, przy czym stawka za każdą grę wypada po dolarze od łebka. Sędziuje nasz dentysta, stary doktor Wolfenberg, magistrant tutejszej uczelni - szkoły wieczorowej przy High Street, chociaż dla nas nie gorszej niż Oxford. W skład drużyny wchodzi: nasz rzeźnik, jego brat bliźniak (nasz hydraulik), sklepikarz, właściciel stacji obsługi samochodów, gdzie ojciec zaopatruje się w benzynę - skala wieku waha się od trzydziestu do pięćdziesięciu, ale nie myślę o nich w kategorii lat, tylko jako o „mężczyznach”. Na stanowisku przygotowawczym, a nawet w polu wybiecia, ruszają żuchwami, gryząc niedopałki wilgotnych cygar. Nie chłopcy, rozumie pan, lecz mężczyźni! Co za brzuchy! Muskule! Czarno owłosione ręce! Łysiny! No i te ich głosy - dudniące armaty, które słyhać aż na naszym frontowym ganku, o przecznice stamtąd. Wyobrażam sobie, że w środku mają struny głosowe grubości sznurów do bielizny! Płuca wielkości zeppelinów! Nikt im nie może kazać, żeby przestali mruczeć pod nosem i mówili głośno, nigdy! A co oni mówią - włos się jeży na głowie! Ich rozmowy na boisku to nie żadne tam pogaduszki, lecz męskie przygaduchy, i to (dla małego chłopca, który dopiero poznaje sztukę szyderstwa) wielce zabawne, zwłaszcza przekleństwa z ust człowieka nazywanego przez mojego ojca „szalonym Rosjaninem”, Bidermana, właściciela narożnego sklepu ze słodyczami (i spelunki hazardowej), który chowa zawsze jakąś szpilę w zanadrzu, nie tylko śmieszna, lecz również bardzo skuteczną.

- Abrakadabra - woła i posyła śmiercionośną piłkę. Bez przerwy docina doktorowi Wolfenbergowi: - Ślepy sędzia, no trudno, ale ślepy dentysta?

Na samą myśl o tym wali się rękawicą w czoło.

- Graj, błźnie - krzyczy doktor Wolfenberg, istny mistrz trenerów, Connie Mack, w swoich perforowanych dwukolorowych pantoflach i panamie na głowie. - Biderman, graj że wreszcie, chyba że chcesz wylecieć z boiska za obrazę sędziego!

- Powiedz, jak cię tam uczą w tej dentystycznej szkole, doktorku, za pomocą alfabetu Braille'a?

Tymczasem aż z drugiego końca dolatują przycinki człowieka, który z wyglądu bardziej przypomina betoniarkę niż *homo sapiens*, księcia badylarstwa Alliego Sokolowa. Ale on drze gębę! (jak by powiedziała moja matka). Przez pół rundy płyną inwektywy z jego pozycji w samym środku boiska aż do pola wybiecia, a kiedy jego drużyna dochodzi do strzału, Sokolow ustawia się na stanowisku trenera opodal pierwszej bazy i posyła nieprzerwanie inwektywy, tyle że w odwrotnym kierunku - zresztą bez związku z konkretnymi porażkami na boisku. Wręcz przeciwnie. Mój ojciec, jeżeli nie pracuje akurat w niedzielę rano, przychodzi obejrzeć ze mną kilka rund; zna Alliego Sokolowa (podobnie jak wielu graczy), bo jako chłopcy wychowywali się w jednej dzielnicy, zanim spotkał moją matkę i przeniósł się do Jersey City. Twierdzi, że Allie zawsze się zachowywał jak „urodzony komik”. Kiedy Allie rusza w kierunku drugiej bazy, wykrzykując obelgi i pomstując pod adresem przeciwników w stronę pola wybiecia (gdzie nie ma jeszcze nawet strzelca - gdzie doktor Wolfenberg zamiata dopiero stanowisko miotełką, którą przynosi na mecz), widzowie na trybunach są w siódmym niebie, śmieją się, klaszczą, podjudzają:

- Allie, powiedz mu coś do słuchu! Sokolow, daj mu w kość!

A doktor Wolfenberg, który uważa się za kogoś lepszego od tej całej miernoty bez wykształcenia (i jest na domiar wszystkiego niemieckim Żydem), nieodmiennie podnosi rękę, powstrzymuje i tak przerywaną przez Sokolowa grę i zwraca się do Bidermana:

- Może byś tak wyrzucił tego meszugene z boiska?

Powiadam panu, uroczą bandę! Siedzę na drewnianych trybunach tuż obok pierwszej bazy, wdycham cierpki, wiosenny aromat kieszeni mojej rękawicy baseballowej - pot, skóra, wazelina - i śmieję się do rozpuku. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym mieszkać gdzie indziej. Po co stąd wyjeżdżać, skoro tu mam wszystko, czego mógłbym sobie życzyć? Kpiny, dowcipy, błazenadę, parodię - wszystko dla odrobiny śmiechu! Uwielbiam to! A jednak pod płaszczykiem żartu kryje się powaga, *śmiertelna powaga*. Żeby ich pan widział pod koniec siódmej rundy, kiedy ów dolar musi przejść z rąk do rąk. Nie dam się przekonać, że to wszystko na niby! Przegrana i wygrana to nie żarty... chociaż trochę i żarty! I to mnie najbardziej urzeka. Wprawdzie rywalizacja jest ostra, ale nie mogę się oprzeć pokusie, żeby nie błaznować i nie dogadywać. Żeby nie robić cyrku z meczu! Co ja bym dał, żeby już być dorosłym Żydem, mężczyzną! Żeby mieszkać do końca życia w dzielnicy Weequahic i w



niedzielę rano od dziewiątej do pierwszej grać w softball przy Chancellor Avenue, idealne połączenie błazna i zawodnika, dokazującego mądrali i groźnego strzelca piłki.

Kiedy i gdzie wszystko to sobie przypominam? Gdy kapitan Meyerson wykonuje ostatnie wolne okrążenie nad lotniskiem w Tel Awiwie. Przytulam twarz do okna. *Tak, chyba mógłbym tu zniknąć, zmienić nazwisko i ślad by po mnie zaginął* - wtedy Meyerson przechyla skrzydło z mojej strony, i po raz pierwszy spoglądam na kontynent azjatycki, z wysokości sześciuset metrów spoglądam na państwo Izrael, gdzie powstał naród żydowski, i narzuca mi się wspomnienie niedzielnych meczów softballowych w Newark.

Siedzący obok mnie starsi państwo (Edna i Feliks Solomonowie), którzy w ciągu godziny lotu zdołali opowiedzieć mi wszystko o dzieciach i wnukach w Cincinnati (posługując się, naturalnie, wypchanym portfelem pomocy wizualnych), trącają się teraz łokciami i kiwają głowami z niemą satysfakcją; szturchają nawet znajomych po drugiej stronie rzędu foteli, poznaną ledwo co parę z Mount Vernon (Sylwię i Berniego Perlsów), a ci również wzdychają na widok wysokiego, przystojnego, młodego żydowskiego prawnika (i to kawalera - świetna partia dla czyjeś córki!), który naraz zaczyna płakać z chwilą dotknięcia pasa lądowego Izraela. Jednakże łez tych nie wywołało bynajmniej, jak pewno myślą Solomonowie i Perlsowie, pierwsze spojrzenie na ojczyznę, poczucie wygnania, ale dźwięczący mi w uszach własny głos dziewięcioletniego chłopca - *mój głos w wieku lat dziewięciu*. Ja w wieku dziewięciu lat! Oczywiście mruk, grymaśnik, pyskacz i jęczycyduś, oczywiście mój drażniący, piskliwy głos wciąż skamle i utyskuje, dając wyraz wiecznemu niezadowoleniu („jak gdyby - mówi matka - świat miał wobec niego dług wdzięczności, a przecież to dopiero dziewięcioletni smarkacz”), ale też, proszę nie zapominać, figlarz i śmieszek, entuzjasta, romantyk, parodysta, dziewięcioletni amator życia, rozpalony takimi prostymi marzeniami dotyczącymi własnej dzielnicy!

- Wychodzę na mecz - wołam w głąb kuchni, włókienka różowego łososa tkwią mi w szczelinach między zębami niczym kwaśny sznurek do czyszczenia zębów: - Mamusiu, idę na boisko. - Walę w rękawicę małą piąstką, która cuchnie rybą. - Wrócę koło pierwszej...

- Czekaj no. O której? Dokąd?

- Na boisko - podnoszę głos. Ubóstwiałem podnosić głos, żeby mnie usłyszano, zupełnie jakbym się złościł, tyle że bez tych konsekwencji. - Idę pokibicować mężczyznom!

I ten właśnie zwrot robi swoje, kiedy lądujemy w Erec Israel - pokibicować mężczyznom.

Bo ja ich kocham! Sam chciałbym wyrosnąć na takiego mężczyznę ! Wracać do domu o pierwszej na niedzielny obiad, przynosić skarpety przepocone po dwudziestu jeden rundach softballu, woniejącą bieliznę, jak przystało sportowcowi, a w mięśniach ręki ściskającej piłkę czuć nieznaczne pulsowanie od niskich, ślicznych rzutów, wykonywanych przez cały ranek, żeby powstrzymać drużynę rywali w drodze do baz; właśnie, zmierzwił włosy, ściśnięte zęby, strudzone nogi i brzuch obolały ze śmiechu, innymi słowy, krzepki dorosły Żyd szlachetnie zmęczony - tak, wraca w glorii i chwale do domu i do życia.... i to do kogo? Do żony i dzieci, do swojej rodziny, właśnie tu, w dzielnicy Weequahic! Golę się, biorę prysznic - strugi wody splukują mi z czoła brunatny kurz, o, jak miło, o tak, co za rozkosz stać tak pod wodą parzącą skórę. Uważam to za dowód męskości, obracanie bólu w przyjemność. Następnie wsakuję w obcisłe spodnie i koszulę w stylu „gaucho” prosto z pralni - *perfecto!* Gwiżdżę popularny szlagier, podziwiam swoje bicepsy, macham szmatą po butach, żeby aż klaskała, tymczasem moje dzieci na dywanie w salonie przeglądają niedzielne gazety (czytają oczyma takiego samego koloru jak moje), wybuchając co rusz chichotem, a moja żona, Aleksandrowa Portnoyowa, nakrywa stół w jadalni - jak zwykle w niedzielę zaprosiliśmy moich rodziców, przyjdą tu lada chwila. Widzi pan, przyszłość! Prosta, zadowolająca przyszłość! Męczący, pobudzający softball, w którym wyładowuję energię fizyczną - program na rano, na popołudnie zaś przelewający się, serdeczny gulasz życia rodzinnego, a znów wieczorem trzy bite godziny najlepszego na świecie radiowego programu rozrywkowego - tak jak ja w towarzystwie ojca słuchałem z zachwytem opowieści o wyprawach sknery Jacka Benny'ego do sejfu i rozmówek Freda Allena z panią Nussbaum, a także dialogów Phila Harrisa i Frankie Remley, podobnie moje dzieci będą się nimi zachwycać ze mną, i tak będzie aż do setnego pokolenia. Wreszcie, po występie Kenny'ego Bakera, zamykam na podwójny zatrzask frontowe i kuchenne drzwi, gaszę wszystkie światła (sprawdzam raz i - wzorem swojego ojca - drugi raz główny zawór gazu, żebyśmy nie postradali w nocy życia). Całuję na dobranoc śliczną senną córkę, mądrego sennego syna i w ramionach pani Portnoy, tej dobrej, subtelnej (i w mojej przesłodzonej, acz skromnej fantazji,

pozbawionej twarzy) kobiety, znajduję przystań dla swojej żarliwej namiętności. Rano udaję się do centrum Newark, do Sądu Okręgowego Hrabstwa Essex, gdzie spędzam dni powszednie, szukając sprawiedliwości dla biednych i uciśnionych.

Nasza ósma klasa zwiedza budynek sądu, żeby się przyjrzeć jego architekturze. Wieczorem, po powrocie do domu, już w swoim pokoju, wpisuję do nowiutkiego albumu maturalnego w rubryce TWOJE ULUBIONE MOTTO: „Nie bij słabszych”. MÓJ ULUBIONY ZAWÓD? „Prawnik”. MÓJ ULUBIONY BOHATER? „Tom Paine i Abraham Lincoln”. Lincoln siedzi przed gmachem sądu (w brązie, dłuta Gutzona Borghma), ma tragiczny, a zarazem ojcowski wygląd, od razu widać, jak bardzo się przejmuje. Pomnik Waszyngtona, który pręży się we władczej pozie przed swoim koniem, góruje nad Broad Street - dzieło J. Massey'a Rhinda (zapisujemy w notesach drugie, niecodzienne imię rzeźbiarza); nauczyciel wychowania plastycznego uświadamia nas, że te dwa pomniki stanowią „chlubę miasta”, po czym idziemy parami do Muzeum Newark obejrzeć obrazy. Waszyngton, prawdę powiedziawszy, nie robi na mnie większego wrażenia. Może z powodu konia. Dlatego, że opiera się na koniu. W każdym razie jest za bardzo gojowski. Za to Lincoln! Aż mnie coś ściska w gardle. Dość spojrzeć, jak on siedzi, jest taki skonfundowany. Tak jak on walczył o prawa uciśnionych, tak i ja będę walczył w przyszłości!

Grzeczny żydowski chłopiec? Ależ jestem najgrzeczniejszym żydowskim chłopcem w dziejach świata! Wystarczy się przyjrzeć moim fantazjom, jakie są sympatyczne i w duchu zbawienia! Wdzięczność dla rodziców, lojalność wobec swojego plemienia, wierność sprawiedliwości!

No i co? Co w tym złego? Ciężka praca w wymarzonym zawodzie, mecze rozgrywane bez fanatyzmu i przemocy, mecze rozgrywane wśród ludzi o podobnych poglądach, i to ze śmiechem, miłość rodzinna i przebaczenie. Cóż było złego w tych wyobrażeniach? Gdzie się podział zdrowy rozsądek, który miałem w wieku dziewięciu, dziesięciu, jedenastu lat? Dlaczego żywię do siebie tyle nienawiści i obdzieram się sam ze skóry? W dodatku jestem taki samotny! Och, jeszcze jak samotny! Nic tylko „ja”! Zamknięty w sobie! Tak, muszę sam siebie pytać (kiedy samolot unosi mnie - jak sądzę - daleko od prześladowcy), gdzie są moje cele, przyzwoite, wartościowe plany? Dom! Nie posiadam. Rodzina? Też nie mam! Mógłbym to wszystko zdobyć, gdybym tylko kiwnął palcem... dlaczego więc teraz nie kiwnę palcem i nie ruszę naprzód w życie? Nie, zamiast otulać dzieci i kłaść się u boku wiernej żony (której ja też dochowywałbym wierności), dwukrotnie poszedłem do łóżka - raz po raz, jak mówi

się w domach publicznych - z grubą włoską kurewką i niepiśmienną, niezrównoważoną amerykańską kukłą. Przecież to nie jest, do licha, mój model rozrywki! Co nim jest? Już panu powiedziałem! Serio - siedzieć w domu i słuchać z dziećmiakami programu Jacka Benny'ego! Wychowywać inteligentne, zdrowe, kochające dzieci! Otoczyć opieką jakąś dobrą kobietę! Godność! Zdrowie! Miłość! Przedsiębiorczość! Inteligencja! Zaufanie! Moralność! Pogoda ducha! Współczucie! Cóż mnie, do cholery, obchodzą ekstrawagancje seksualne? Jak mogę grzęznąć z powodu czegoś tak prostackiego, tak głupiego jak cipa?! Co za bzdura, żebym się miał w końcu nabawić choroby wenerycznej! W moim wieku! Bo jestem tego pewien - złapałem coś od tej całej Liny! Teraz pozostaje mi tylko czekać na szankier. Ale nie będę czekał, nie mogę - w Tel Awiwie z miejsca pójdę do lekarza, zanim opadnie mnie szankier albo ślepotą!

Tylko co począć z trupem dziewczyny tam w hotelu? Bo jestem przekonany, że do tej pory na pewno już to zrobiła. Rzuciła się z balkonu w samych majtkach. Weszła do morza i utopiła się w najbardziej skąpym bikini świata. Nie, raczej wypije cykutekę przy blasku księżyca w cieniu Akropolu w swojej sukni wieczorowej od Balenciagi! Ta pustogłowa, ekshibicjonistyczna, samobójcza pizda! Nie ma obawy, kiedy już będzie po wszystkim, na pewno wyjdzie to bardzo fotogenicznie - widowisko przypominające reklamę bielizny damskiej! Będzie jak zwykle pozowała w niedzielnym dodatku ilustrowanym... tyle że martwa! Muszę wrócić, zanim to idiotyczne samobójstwo zaciąży do końca życia na moim sumieniu! Powinienem był zadzwonić do Harpa! Nawet mi to nie przyszło do głowy - po prostu uciekałem, żeby ratować *własną* skórę. Trzeba było ją zmusić, żeby zadzwoniła do swojego psychiatry. Ale czy on by chciał z nią gadać? Wątpię! Ten milczący łajdak *musi* z nią porozmawiać, zanim dziewczyna podejmie nieodwracalną zemstę! MODELKA PODCINA SOBIE GARDŁO W AMFI-TEATRZE; „*Medea przerwana samobójstwem...*” i opublikują list, który niechybnie znajdą w butelce tkwiącej w jej kroczu. „Winę ponosi Aleksander Portnoy. Zmusił mnie, żebym spała z kurwą, a potem nie chciał ze mnie zrobić ucziwej kobiety. Mary Jane Reed”. Chwała Bogu, że ta kretynka nie umie poprawnie pisać! Ci Grecy nie odcyfrują tej jej greki! Miejmy nadzieję.

Uciekam! Znów zmykam, biorę nogi za pas - i to przed kim? Przed kolejną osobą, która widzi we mnie świętego! Chociaż nim nie jestem! I nie mam ochoty ani zamiaru nim zostać! Nie, wszelkie poczucie winy z mojej strony jest *śmieszne*! Nie chcę tego słuchać! Jeśli odbierze sobie życie... Ale wcale się na to nie zanos.

Bynajmniej, sprawy wyglądają znacznie bardziej ponuro - odgraża się, że zadzwoni do burmistrza! Dlatego właśnie uciekam! Może nie zadzwoni. A może zadzwoni. Na pewno zadzwoni! Najprawdopodobniej już zadzwoniła. Pamięta pan? *Zdemaskuję cię, Aleks. Zamówię rozmowę zagraniczną do Johna Lindsaya. Zadzwonię do Jimmy'ego Breslina.* A jest dość szalona, żeby dotrzymać słowa! Breslin, ten glina! Geniusz komisariatu policji! O Chryste, niech już lepiej padnie trupem! Skacz, ty głupia, destrukcyjna dziwko - lepiej ty niż ja! Jasne, ładnie będę wyglądał, jak zaczniesz obdzwaniać agencje prasowe; już widzę, jak ojciec wychodzi po obiedzie na róg, żeby kupić „Wiadomości Newark”... i po dłuższej chwili dostrzega słowo SKANDAL wydrukowane tłustą czcionką nad zdjęciem ukochanego syna! Albo nastawia o siódmej wieczorny dziennik telewizyjny i widzi, jak korespondent ateński sieci CBS przeprowadza wywiad z Małpką w łóżku szpitalnym.

- Zgadza się, Portnoy. Przez duże P. Potem „o”. Potem, zdaje się, „r”. Och, dalej nie pamiętam, ale przysięgam, panie Rudd, na swoją mokrą myszkę, że zmusił mnie do spania z kurwą!

Nie, nie przesadzam, wystarczy się przez chwilę zastanowić nad jej charakterem lub raczej jego brakiem. Pamięta pan Las Vegas? Pamięta pan jej desperację? Sam pan widzi, że to nie tylko moje karzące sumienie; każdą zemstę, którą mogłem sobie wyobrazić, ona też mogła sobie wyobrazić. I jeszcze do tego dojdzie! Proszę mi wierzyć, jeszcze nie usłyszeliśmy ostatniego słowa Mary Jane Reed. Miałem ją zbawić... i *nie zbawiłem*. Zmusiłem ją natomiast do spania z kurwami! Dlatego twierdzę, że nie usłyszeliśmy jeszcze od niej ostatniego słowa!

A pode mną, żeby mnie jeszcze bardziej zgnoić, całe to niebiesciuchne Morze Egejskie. Egejskie morze Rzepki! Mojej poetycznej Amerykanki! Sofokles! Jak to dawno temu! Och, Rzepko, kochanie, powtórz jeszcze raz: - *Po co miałabym zmieniać?* - Dziewczyna, która wiedziała, kim jest! Tak nie skażona psychicznie, że nie wymaga zbawienia ani ocalenia z mojej strony! Ani też nawrócenia na moją wspaniałą wiarę! Czytywała mi w Antioch wiersze, dawała wykłady z literatury, całkiem nowy punkt widzenia, inne ujęcie sztuki i twórczości... och, dlaczego pozwoliłem jej odejść! Aż trudno dziś uwierzyć - dlatego, że nie chciała zostać Żydówką? „Odwieczna nuta melancholii...” „Mętne przypyły i odpływy ludzkiego nieszczęścia...”

Tylko czy to jest ludzkie nieszczęście? Sądziłem, że będzie bardziej wzniosłe! *Szlachetne* cierpienie! *Wartościowe!* Może coś na miarę Abrahama Lincolna.

Tragedia, a nie farsa! Chodziło mi o coś bardziej w stylu Sofoklesa. Wielkiego Oswobodziciela, i tak dalej. Nigdy mi nie przeszło przez myśl, że skończę, usiłując oswobodzić z więzów jedynie własnego kutasa. UWOLNIĆ MOJEGO PTAKA! Oto slogan Portnoya. Oto historia mojego życia, podsumowana w trzech heroicznym, sprośnych słowach. Parodia! Moja polityka sprowadza się wyłącznie do buca! ONANIŚCI WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ! NIE MASZ NIC DO STRACENIA PRÓCZ WŁASNEJ GŁOWY! Ale ze mnie *zbocheniec*\*. Nie kocham nikogo i nic! Nie kochany i nie kochający! I to w przeddzień awansu na Profuma burmistrza Johna Lindsaya! Tak to wyglądało w godzinę po wyjeździe z Aten.

Tel Awiw, Jafa, Jerozolima, Beer-Szewa, Morze Martwe, Sedom, Engadda, następnie na północ: Cezarea, Hajfa, Akka, Tyberiada, Safed, górna Galilea... i zawsze wygląda to bardziej jak sen niż jawa. Chociaż nie pielęgnowałem w sobie tego odczucia. Miałem już dość rzeczy nieprawdopodobnych z moją partnerką w Grecji i w Rzymie. Nie po to, by nadać jakiś *sens* impulsowi, który kazał mi się puścić biegiem na pokład samolotu linii El Al, żeby przedzierzgnąć się po tej bezładnej ucieczce znów w mężczyznę - kontrolować swoją wolę, być świadomym własnych intencji, postępować zgodnie ze swą ochotą, a nie wedle przymusu - wybrałem się w podróż po tym kraju, jak gdybym rozmyślnie udał się na wycieczkę, zaplanowaną, upragnioną, i to z chwalebnych, nawet jeśli tylko konwencjonalnych, powodów. Właśnie, przejdę przez coś (skoro już się tu w dziwny sposób znalazłem), co się nazywa pouczającym doświadczeniem. Poprawię się, co i tak bez przerwy usiłuję robić. A może nie? Czy nie dlatego nadal czytam z ołówkiem w ręce? Żeby się *dokształcać!* Żeby *ulepszać siebie?* Żeby być lepszym? (Od kogo?) Studiowałem więc mapy w łóżku, kupiłem sobie podręczniki historyczne i archeologiczne, które czytałem przy jedzeniu, opłacałem przewodników, wynajmowałem samochody - z dużą zaciętością jak na ten skwar. Zwiedziłem wszystko, co się tylko dało: grobowce, synagogi, fortece, meczety, świątynie, porty, ruiny, nowe i stare. Obejrzałem jaskinie w górach Karmelu, witraże Chagalla (wraz z setką pań z Hadasz Detroit), Uniwersytet Hebrajski, wykopaliska w Bet-Szean - objechałem zielone kibuce, spieczone pustynie, surowe placówki nadgraniczne w górach; wspiąłem się nawet kawałeczek na Masadę pod pełnym obstrzałem artyleryjskim słońca. Stwierdziłem, że wszystko, co widziałem, potrafię zasymilować i zrozumieć. W dziedzinie historii, przyrody, sztuki. Nawet pustynię Negew, tę halucynację, uznałem za rzeczywistą i pochodzącą z tego świata. Nie,

najbardziej niesłychany i zdumiewający ze wszystkiego, dziwniejszy niż Morze Martwe, nawet niż dramatyczne pustkowia Tsing, po którym pełną grozy godzinę chodziłem w świetle wybielającego słońca między białymi skałami, gdzie (jak dowiedziałem się z przewodnika) wędrowały tak długo plemiona Izraela (wziąłem stamtąd na pamiątkę kamień - mam go zresztą przy sobie w kieszeni - podobny do tego, jakim wedle mojego przewodnika Zefora obrzezała syna Mojżesza...), nadający całemu mojemu pobytowi posmak absurdu, był jeden prosty, ale całkiem (przynajmniej dla mnie) niezrozumiały fakt - że jestem w kraju żydowskim. W kraju, w którym wszyscy są Żydami.

Mój sen zaczyna się z chwilą wyjścia z samolotu. *Stoję na lotnisku, na którym nigdy dotąd nie byłem, a wszyscy ludzie w zasięgu wzroku - pasażerowie, stewardesy, bileterzy, portierzy, piloci, taksówkarze - są Żydami.* Czy mój sen bardzo się różni od tych, które opowiadają panu inni pacjenci? Czy znacznie odbiega od doznań, które ludzie przeżywają we śnie? Ale kto kiedy słyszał o podobnym przeżyciu na jawie? Napisy na murach w żydowskim języku - żydowskie graffiti! *Flaga jest żydowska.* Twarze to takie same twarze, jakie widuje się na Chancellor Avenue! Twarze moich sąsiadów, wujków, nauczycieli, rodziców moich kolegów ze szkoły. Twarze podobne do mojej! Tyle że przesuwają się na tle białego muru, oślepiającego słońca i kolczastych, tropikalnych liści. I to wcale nie jest Miami Beach. Nie, to twarze Europy Wschodniej, tyle że tuż pod bokiem Afryki! Mężczyźni w szortach przypominają mi kierowników żydowskich kolonii letnich, gdzie pracowałem na wakacjach jako student... tyle że to nie są wcale kolonie. To ojczyzna! To nie nauczyciele z liceum w Newark na dwumiesięcznym urlopie, z notatnikiem i gwizdkiem, w górach Hopatcong, New Jersey. To są (nie ma na to innego słowa!) tu-bylecy. Wrócili na tę ziemię! Tu się właśnie wszystko zaczęło! Po prostu byli na długich wakacjach, i tyle! Hej, tutaj my jesteśmy rdzennymi obywatelami! *Przejeżdżam taksówką przez duży plac otoczony ulicznymi kawiarniami, jakie widuje się w Paryżu lub w Rzymie. Tyle że w tych kafejkach pełno Żydów. Taksówka wyprzedza autobus. Zaglądam w okna. Jeszcze więcej Żydów. Łącznie z kierowcą. Łącznie z policjantem dyrygującym ruchem ulicznym! W hotelu pytam recepcjonistę o pokój. Ma drobny wąsik i mówi po angielsku niczym najlepszy gwiazdor filmowy, chociażby taki Ronald Colman. Ale on też jest Żydem.*

I tu dramat się pogłębia:

*Minęła północ. Wcześniej wieczorem promenada nad morzem była wesoła i ożywiona tłumem Żydów - Żydów jedzących lody, Żydów pijących napoje chłodzące, Żydów rozmawiających, roześmianych, spacerujących pod rękę. Ale teraz, kiedy zaczynam wracać do hotelu, jestem całkiem sam. Przy końcu promenady, którą muszę przejść, żeby się dostać do hotelu, widzę pięciu młodych ludzi palących papierosy, zajętych rozmową. Oczywiście młodych Żydów. Kiedy się do nich zbliżam, uświadamiam sobie, że czekają na mnie. Jeden występuje naprzód i zwraca się do mnie po angielsku: - Która godzina? - Spoglądam na zegarek i uświadamiam sobie, że nie pozwolą mi przejść. Mają zamiar mnie napaść! Czy to możliwe? Skoro też są Żydami i ja jestem Żydem, dlaczego mieliby chcieć mi zrobić krzywdę?*

*Muszę im wyjaśnić, że się mylą. Przecież nie chcą mnie chyba traktować tak, jak by mnie traktowała jakaś banda antysemitów. - Przepraszam - mówię i przeciskam się przez nich, przybierając na bladej twarzy surową minę. Jeden z nich woła: - Proszę pana, która godzina? - na co przyśpieszam kroku i szybko kieruję się w stronę hotelu, nie pojmując, czemu chcieliby mnie przestraszyć, skoro wszyscy jesteśmy Żydami.*

*Przyzna pan, że łatwo to zinterpretować?*

*W pokoju szybko zdejmuję spodnie, slipy i w świetle nocnej lampki oglądam swój penis. Okazuje się, że członek nie jest pokryty plamami i nie zdradza żadnych wyraźnych oznak choroby, a jednak nie czuję ulgi. Może w określonych przypadkach (choćby właśnie w najgroźniejszych) infekcja nie objawia się w sposób powierzchowny. Skutki prowadzące do debilizmu zachodzą raczej w samym organizmie, niewidoczne i niemożliwe do wykrycia, dopóki proces choroby nie stanie się nieodwracalny, a pacjent stracony.*

*Rano budzi mnie hałas dobiegający zza okna. Jest dopiero siódma, ale kiedy wyglądam przez okno, widzę, że na plaży już się roi od ludzi- Zaskakujący widok jak na tak wczesną porę, zwłaszcza że jest sobota, i spodziewałem się raczej, że uroczysty, pobożny szabasowy nastrój ogarnie miasto. Ale tłum Żydów - znów! - się weseli. Badam członek w jaskrawym świetle poranka i - znów - dziwi mnie odkrycie, że jest najwyraźniej w znakomitym stanie.*

*Wychodzę z pokoju i wskakuję do morza z rozradowanymi Żydami. Kąpię się tam, gdzie tłum jest najgęstszy. Pluskam się w morzu pełnym Żydów!*



*Dokazujących, figlujących Żydów! Proszę spojrzeć na te żydowskie kończyny poruszające się w żydowskiej wodzie! Proszę spojrzeć na roześmiane twarze żydowskich dzieci, które zachowują się, jak gdyby były właścicielami tego miejsca... Bo to prawda! A ratownik też Żyd! Wzdłuż i w szerz plaży, jak okiem sięgnąć, sami Żydzi - i dalsze ich zastępy wylewają się tego pięknego ranka, jak gdyby z rogu obfitości. Wyciągam się na plaży, zamykam oczy. Nad głową słyszę szum silnika - nie ma obawy, to żydowski samolot. Pod sobą czuję ciepły piasek - żydowski piasek. Kupuję żydowskiego loda od żydowskiego lodziarza. „Czy to nie cud?” - pytam siebie w duchu. „Żydowski kraj!” Ale łatwiej to wypowiedzieć, niż zrozumieć, wciąż nie mogą tego do końca pojąć. Aleks w Krainie Czarów.*

*Po południu zaprzyjaźniam się z młodą kobietą o zielonych oczach i śniadej cerze. Służy w randze porucznika w wojsku żydowskim. Pani porucznik zabiera mnie wieczorem do baru w okolicy portowej. Klienci, jak mnie informuje, to na ogół robotnicy portowi. Żydowscy robotnicy portowi? Tak. Wybucham śmiechem, dziewczyna pyta, co w tym śmiesznego. Podnieca mnie jej drobna, zmysłowa figura, kibić ściśnięta szerokim pasem sznurowym koloru khaki. Cóż za stanowcza, pozbawiona poczucia humoru, opanowana istota! Nie wiem, czy pozwoli mi zamówić coś dla niej, nawet jeśli przemówię w miejscowym języku. - Co wolisz? - pyta, kiedy oboje mamy już za sobą butelkę piwa - traktory, buldożery czy czołgi? - Znow wybucham śmiechem.*

*W drodze powrotnej zapraszam ją do hotelu. W pokoju szarpiemy się, całujemy, zaczynamy się rozbierać i z miejsca przechodzi mi erekcja.*

*- Widzisz - mówi dziewczyna-porucznik, jak gdyby potwierdziły się jej przeczucia - nie podobam ci się. Nic a nic.*

*- Ależ skąd - upewniam ją - odkąd zobaczyłem cię w morzu, zaraz mi się spodobałaś, jesteś lśniąca jak foczka... - Wtedy, w całym swoim wstydzie, zaskoczony i obezwładniony brakiem męskości, wybucham: - ...tylko mogę mieć trypra. Muszę cię o tym uprzedzić.*

*- To ci się też wydaje śmieszne? - syczy, wkłada ze złością mundur i wychodzi-*

*Sny? Ach, gdyby to tylko były sny! Ale sny nie są mi potrzebne, panie doktorze, dlatego ich prawie nie miewam... bo mam w zamian takie właśnie życie. Mnie się to*

wszystko zdarza w biały dzień! Dysproporcje i melodramaty to mój chleb powszedni! Zbiegi okoliczności w snach, symbole, przerażające sytuacje godne wyśmiania, dziwnie złowieszcze banały, wypadki i poniżenie, odpowiednio dozowane chwile szczęścia i pecha, których inni ludzie doznają z zamkniętymi oczami, mnie się trafiają przy oczach otwartych! Zna pan drugiego takiego człowieka, któremu matka groziła nożem? Kto miał takie szczęście, żeby mamusia tak bezpośrednio objawiła mu groźbę kastracji? Kto jeszcze, niezależnie od takiej matki, miał jajo, które nie chciało się rozwinąć? Jądro, które trzeba było nakłaniać i pieścić, *przekonywać* i szpikować lekami! Żeby zeszło w dół i zamieszkało w kroczu jak u mężczyzny! Kto jeszcze złamał nogę, uganiając się za gojkami? Albo za pierwszym razem wytrysnął sobie w oko? Albo znalazł prawdziwą żywą małąkę na ulicach Nowego Jorku, dziewczynę z namiętnością do banana? Panie doktorze, może inni pacjenci miewają sny - mnie się to wszystko *zdarza*. Mam życie *bez* ukrytych treści. Marzenia senne zdarzają się *na jawie!* Panie doktorze, *nie stanął mi w państwie Izraeli* Niezła wymowa symboliczna, co, bubusiu? Czy ktoś się może z tym równać pod względem zachowań zewnętrznych? Nie potrafiłem utrzymać wzrodu w Ziemi Obiecanej! Przynajmniej nie wtedy, kiedy by mi się przydał, nie wtedy, kiedy był mi potrzebny, nie wtedy, kiedy wpadło mi w rękę coś bardziej pożądanego niż moja własna ręka. Ale, jak się okazuje, nie da się szturmować nikogo budyniem tapiokowym. Bo oferuję tej dziewczynie budyń z tapioki. Wilgotne ciastko ponczowe! Naparstek czegoś stopniałego. A przez cały czas pewna siebie dziewczyna-porucznik dumnie wypina izraelskie cycki, oczekując, że dosiądzie jej jakiś dowódca czołgu!

I jeszcze raz, tyle że znacznie gorzej. Mój ostateczny upadek i poniżenie - Naomi, żydowska Rzepka, bohaterka, twarda, ruda, piegowata, ideologiczny kawał baby! Poderwałem ją, kiedy jechała autostopem do Hajfy z kibucu nad granicą z Libanem, gdzie odwiedzała rodziców. Miała dwadzieścia jeden lat, blisko metr osiemdziesiąt wzrostu, i zdawało się, że nadal rośnie. Jej rodzice to syjoniści z Filadelfii, przyjechali do Palestyny tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Po odbyciu służby wojskowej Naomi postanowiła nie wracać do kibucu, w którym urodziła się i wychowała, tylko przyłączyć się do komuny młodych rodowitych Izraelczyków, oczyszczających z głazów czarnej skały wulkanicznej odludne miejsce w górach tuż przy granicy z Syrią. Praca była męcząca, warunki bardzo prymitywne, no i wciąż żyli pod groźbą, że syryjscy dywersanci wślizną się nocą do obozu z granatami

ręcznymi i minami. Ale pokochała ten tryb życia. Godna podziwu, śmiała dziewczyna! Tak, żydowska Rzepka! *Po raz drugi los daje mi szansę.*

Ciekawe. Kожarzę ją natychmiast z utraconą Rzepką, chociaż pod względem fizycznym przypomina, oczywiście, moją matkę. Kolor włosów, cera, wzrost, nawet temperament - jak się okazało, mistrzyni doszukiwania się błędów, zawodowy krytyk mojego postępowania. Od mężczyzn wymaga perfekcji! Ale i na to pozostaję ślepy - nie dostrzegam nawet podobieństwa między tą dziewczyną a zdjęciem mojej matki w licealnym albumie szkolnym.

Oto jaki rozstrój nerwowy i histeria dosięgły mnie w Izraelu. Po kilku zaledwie minutach od chwili zabrania jej z szosy zastanawiałem się na serio: „Może by się tak z nią ożenić i tu zostać? Może by tak pojechać w góry i zacząć nowe życie?”

Z miejsca wdajemy się w poważną rozmowę na temat ludzkości. Wypowiedzi Naomi roily się od żarliwych sloganów niezbyt różnych od haseł mojej młodości. *Sprawiedliwe społeczeństwo. Wspólna walka. Wolność jednostki. Produktywność dla dobra ogółu.* Jakże do niej pasuje ten idealizm, myślałem. Tak, to dziewczyna wymarzona dla mnie, proszę bardzo - niewinna, życzliwa, soczysta, nie zmanierowana i nie popieprzona. Jasne! Nie chcę żadnych gwiazd filmowych, kukieł, kurw ani żadnej mieszanek tych typów. Nie chcę ekstrawagancji seksualnej na całe życie, ani też kontynuacji tej masochistycznej ekstrawagancji, w której żyłem. Nie, pragnę prostoty, zdrowia, pragnę tej dziewczyny!

Mówiła znakomicie po angielsku, może tylko nieco książkowym językiem - wyczuwało się ślad typowo europejskiego akcentu. Usiłowałem się w niej doszukać śladów Amerykanki, którą byłaby, gdyby jej rodzice nigdy nie wyjechali z Filadelfii. *Mogłaby być moją siostrą,* rozważałem, kolejną dużą dziewczyną z wysokimi ideałami. Mogę sobie nawet wyobrazić, że to Hanna, która wyemigrowała do Izraela, gdyby na jej drodze nie znalazł się Morty, aby ją wybawić. Tylko kto miał wybawić mnie? Moje gojki? Nie, przecież to ja je zbawiam. Moim zbawieniem jest z pewnością ta Naomi! Nosi włosy jak dziecko, spięte w dwa długie kucyki - to tylko taki chwyt, technika marzenia sennego, jeżeli coś podobnego w ogóle istnieje, żeby nie przypominał sobie z punktu licealnego zdjęcia Sophie Gin-sky, zwanej „rudzielcem” przez chłopaków, co tak daleko zajdzie, bo ma duże piwne oczy i głowę nie byle jaką. Wieczorem, po całym dniu spędzonym (na moją prośbę) na oprowadzaniu mnie po starożytnym mieście arabskim Akka, Naomi upięła kucyki w podwójny wianek wokół

głowy, zupełnie jak babcia, pomyślałem wtedy. „Absolutne przeciwieństwo mojej przyjaciółki modelki - rozważałem - która nosi peruki i treski, wysiaduje godzinami u Kennetha. Jak by się zmieniło moje życie! Przy tej kobiecie... byłbym nowym człowiekiem!”

Zaplanowała sobie, że będzie spała na wolnym powietrzu w śpiworze. Wzięła tygodniowy urlop ze swojej komuny, podróżowała za kilka funtów, które rodzina dała jej na urodziny. Co bardziej fanatyczni spośród jej znajomych, jak mi oznajmiła, nigdy by nie przyjęli takiego prezentu i pewno by ją skrytykowali za to, że nie odmówiła. Przytoczyła mi dyskusję, która rozgorzała w kibucu jej rodziców, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, na temat tego, że jedni ludzie mają zegarki, a inni nie. Po wielu burzliwych spotkaniach członków kibucu ustalono, że zegarki mają co trzy miesiące zmieniać właścicieli.

Nazajutrz, przy obiedzie, a potem kiedy spacerowaliśmy wieczorem wzdłuż romantycznej ściany portowej w Akka, opowiedziałem jej swój życiorys, spytałem, czy nie wróciłaby ze mną i nie napiła się czegoś w hotelu w Hajfie. Zgodziła się, miała wiele do powiedzenia na temat mojej historii. Chciałem ją wtedy pocałować, ale powstrzymywała mnie jedna myśl: „A jeżeli istotnie mam chorobę weneryczną?” Nadal nie byłem u lekarza, częściowo dlatego, że nie chciałem spowiadać się nieznanemu z kontaktu z prostytutką, ale przede wszystkim dlatego, że nie dostrzegłem u siebie żadnych symptomów. Widocznie wszystko w porządku i lekarz nie był mi potrzebny. Mimo to, kiedy zaprosiłem ją do hotelu, stłumiłem w sobie chęć przywarcia ustami do tej czystej, socjalistycznej buzi.

- Naród amerykański - powiedziała, rzucając plecak i śpiwór na podłogę i wracając do wykładu podjętego podczas objazdu zatoki Hajfy - nie tylko sankcjonuje karygodne, niesprawiedliwe stosunki między ludźmi, ale je wręcz popiera. Czy można temu zaprzeczyć? Nie. System podsyca wszelkie zło w charakterze ludzkim - rywalizację, współzawodnictwo, zazdrość, zawiść. Własność, pieniądze, majątek - takimi właśnie fałszywymi kryteriami mierzycie szczęście i sukces. Tymczasem - ciągnęła, siadając po turecku na łóżku - wielki procent waszej ludności pozbawia się minimum przyzwoitych warunków bytowych. Może nie? Bo wasz system opiera się z założenia na wyzysku, opiera się z natury rzeczy na poniżeniu i niesprawiedliwości. Dlatego też, Aleks - zwracała się do mnie po imieniu zupełnie jak srogi nauczyciel, z wyraźnym tonem strofowania - w takim otoczeniu nie ma mowy o prawdziwej

równości. To bezsporny fakt, musisz się z tym zgodzić, jeżeli masz w sobie choć odrobinę uczciwości.

Bo co, na przykład, osiągnąłeś przesłuchaniami na temat skandalu wokół teleturniejów? Co osiągnąłeś? Moim zdaniem, nic. Obnażyłeś korupcję pewnych słabych jednostek. Nie miałeś jednak najmniejszego wpływu na system, który przyuczył ich do korupcji. System pozostał niewzruszony. System pozostał nietknięty. A dlaczego? Bo, widzisz, Aleks - no, no, już się zaczyna - sam jesteś skorumpowany przez ten system zupełnie jak pan Charles Van Horn. (Coś podobnego! Znów mi daleko do ideału! Ale zasunęła!) - Nie jesteś wrogiem tego systemu. Nie jesteś nawet wyzwaniem rzuconym temu systemowi, jak ci się zdaje. Jesteś tylko jednym z jego policjantów, płatnym najemnikiem, współwinnym. Wybacz, ale muszę powiedzieć prawdę: uważasz, że służysz sprawiedliwości, tymczasem jesteś tylko lokajem burżuazji. Żyjesz w systemie opartym z natury rzeczy na wyzysku i niesprawiedliwości, brutalnym i nieludzkim, pozbawionym wartości humanistycznych, a twoja praca polega na tym, żeby uprawomocnić i umoralnić ten system, działając tak, jakby sprawiedliwość, prawa człowieka i godność ludzka naprawdę w tym społeczeństwie istniały, chociaż jest to absolutnie niemożliwe.

Wiesz co, Aleks - ciekawe, co teraz - wiesz, dlaczego nie przejmuję się ludźmi noszącymi zegarki ani nie przejmuję się tym, że przyjąłam pięć funtów w prezencie od swoich „zamożnych” rodziców? Wiesz, dlaczego takie argumenty wydają mi się głupie i nie mam do nich cierpliwości? Bo wiem, że z natury, rozumiesz, z natury - owszem, rozumiem; tak się składa, choć to może dziwne, że angielski jest moim językiem ojczystym! - z natury system, w którym żyję (i to z własnej woli, co też nie jest bez znaczenia, z własnej woli!), jest humanitarny i sprawiedliwy. Dopóki społeczeństwo posiada środki produkcji, dopóki społeczeństwo zaspokaja wszystkie swoje potrzeby, dopóki nikt nie ma szans dorobić się majątku ani żyć z wartości dodatkowej pracy drugiego człowieka, dopóty będzie zachowana istota kibucu. Nie ma ludzi bez godności. W najszerszym tego słowa znaczeniu na tym polega równość. I to się liczy najbardziej.

- Naomi, kocham cię.

Zmrużyła te swoje wielkie idealistyczne piwne oczy.

- Jak możesz mnie „kochać”? Co ty pleciesz?

- Chcę się z tobą ożenić.

Łup, skoczyła na równe nogi. Żal mi tego syryjskiego terrorysty, który usiłował ją wziąć przez zaskoczenie!

- Co się z tobą dzieje? Czy to ma być żart?

- Zostań moją żoną. Matką moich dzieci. Każdy szmondak z przeszklonym domem ma dzieci. A *ja*? Noszę przecież nazwisko rodowe!

- Wypiłeś za dużo piwa przy obiedzie. Chyba już pójdę.

- Nie wychodź! - znów powtarzam tej dziewczynie, którą ledwo poznałem i która mi się niezbyt podoba, jak bardzo ją kocham. - Kocham - na samo słowo dostaję dreszczy! - koooooocham - jak gdybym w to słowo chciał przelać całe swoje uczucie.

A kiedy usiłowała wyjść, zatarasowałem drzwi. Błagałem ją, żeby nie szła spać gdzieś na wilgotnej, zimnej plaży, skoro ma tu wielkie wygodne łóżko w hotelu Hilton, na którym zmieścimy się oboje.

- Naomi, nie chcę cię namawiać do burżuazyjnych zwyczajów. Jeżeli łóżko jest dla ciebie za luksusowe, możemy to robić na podłodze...

- Stosunek płciowy? - odparła. - *Z tobą?*

- Tak! Ze mną! Świeżo wyzwolonym ze swojego niesprawiedliwego z natury rzeczy systemu! Ze mną, współwinowajcą! Tak! Z dalekim od ideału Portnoyem!

- Panie Portnoy, pan wybaczy, ale między pańskimi głupimi żartami, jeśli to w ogóle są żarty...

Tu nastąpiła mała szamotanina, bo rzuciłem się na nią przy łóżku, sięgnąłem do jej piersi, ale dziewczyna ostrym szarpnięciem głowy wyrznęła mnie w podbródek.

- Gdzieś ty się, do diabła, tego nauczyła?! - zawołałem. - W wojsku?

Opadłem na fotel.

- Niezły trening dają dziewczynom.

- Wiesz co - powiedziała bez cienia współczucia - z tobą dzieje się coś bardzo złego.

- Po pierwsze, krwawi mi język...

- Jesteś najniezwyklejszym człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Zupełnie jak dziecko.

- Nie! Niezupełnie. - Ale ona machnęła tylko ręką na wszelkie wyjaśnienia, jakie miałem w zanadrzu, i zrobiła mi wykład na temat wszystkich ułomności, które dostrzegła we mnie tego dnia.

- Jak ty pomiatasz własnym życiem! Dlaczego? Człowiek nie powinien tak pomiatać swoim życiem jak ty. Zupełnie jakbyś czerpał jakąś szczególną przyjemność, jakąś dumę, robiąc z siebie pośmiewisko, obiekt własnego osobliwego poczucia humoru. Nie wierzę, że naprawdę chcesz zmienić życie. Wszystko, co mówisz, jest zawsze tak jakoś wykręcone, żeby zabrzmiało „śmiesznie”. I tak w kółko przez cały dzień. Wyrażasz się o sobie z ironią albo z deprecjacją. Z deprecjacją?

- Z dezaprobatą. Z drwiną.

- Otóż to! A jesteś przecież bardzo inteligentnym człowiekiem, tym trudniej się z tym pogodzić. Pomyśleć tylko o twoim udziale, na który cię stać! Co za głupia dezaprobata! Obrzydliwość!

- No, nie wiem - odparłem - przecież dezaprobata wobec siebie samego to klasyczna forma humoru żydowskiego.

- Jakiego tam humoru żydowskiego! Skąd! Humor getta. Mówię panu, nie była to uwaga pełna miłości. Przed świtem dała mi do zrozumienia, że jestem zlepkim najbardziej haniebnym tradycji w „kulturze diaspory”. Długie stulecia bezdomności spłodziły takich obrzydliwych ludzi jak ja - zastraszone, defensywne, nie aprobujące siebie, niemęskie i skorumpowane przez świat Aryjczyków. Właśnie tacy Żydzi diaspory jak ja szli milionami do komór gazowych, nie podnosząc nawet ręki na swoich prześladowców, nie umieli nawet przelać krwi w obronie własnego życia. Diaspora! Na sam dźwięk tego słowa dostawała furii.

Kiedy skończyła, powiedziałam:

- Świetnie. A teraz chodźmy się pieprzyć.

- Jesteś wstrętny!

- Racja! Zaczynasz coś rozumieć, elegancka sabro! Żyj sobie uczciwie w górach, dobrze? Bądź sobie wzorem dla ludzkości! Ty pierdolona hebrajska świętoszko!

— Panie Portnoy — odparowała, podnosząc plecak z podłogi — jesteś tylko nienawidzącym siebie Żydem.

— Och, Naomi, może to najlepszy gatunek.

— Tchórz!

— Awanturnica.

— *Szlemiel!*

I skierowała się do drzwi. Tylko że ja skoczyłem na nią od tyłu i chwytem z lotu powaliłem ten duży, rudy, dydaktyczny kasek na podłogę. Pokażę jej, kto tu jest szlemielem! I dzieckiem! A jeżeli mam syfa? To wspaniale! Znakomicie! Tym lepiej! Niech zawlecze go nieświadomie w żyłach w góry! Niech się rozniesie od niej na tych wszystkich dzielnych, cnotliwych młodych Żydów! Trochę trypra dobrze im tylko zrobi! Tak to wygląda w diasporze, wy święte dzieciaki, tak to wygląda na wygnaniu! Pokusa i upokorzenie! Korupcja i drwina z samego siebie! Samolekceważenie i samowyprowadzenie! Skamlanie, histeria, kompromis, rozstrój, choroba! Tak, Naomi, jestem zbrukany, och, jestem nieczysty... i również, moja droga, cholernie zmęczony tym, że wciąż nie jestem dość dobry dla narodu wybranego!

Ale mi zgotowała bitwę ta rozłożysta wiejska cipa! Ta żołnierka! Ta zastępcza matka! Czy to możliwe, niech pan mi powie? Och, błagam, to nie może być takie proste! Nie *ze mną!* W takim przypadku jak mój nigdy nie dość upraszczania! Dlatego, że jest ruda i ma piegi, to od razu musi być, zgodnie z moim nieświadomym jednotorowym umysłem, moją matką? Tylko dlatego, że ona i ta pani z mojego dzieciństwa pochodzą z tej samej linii białych polskich Żydów? Czy tak wygląda, panie doktorze, podsumowanie dramatu edypalnego? Więcej farsy, przyjacielu! Chyba za dużo tu do przelknięcia! *Edyp król* to słynna tragedia, szmondaku, a nie kolejny dowcip! Jesteś sadystą, szarlatanem i parszywym błaznem! Może to już nie jest do śmiechu, doktorze Spielvogel, doktorze Freudzie, doktorze Kronkite! Może by tak więcej szacunku, łajdaki, dla godności ludzkiej! *Edyp król* to najpotworniejsza i najbardziej poważna sztuka w historii literatury — a nie żaden gag!

W każdym razie, dzięki ci, Boże, za sztangelki Heszego. Po jego śmierci przeszły na moją własność. Wynosiłem je na podwórko i w blasku słońca podnosiłem je bez przerwy, kiedy miałem kolejno czternaście i piętnaście lat.

— Narobisz sobie curesu od tych zabaw — ostrzegła matka przez okno sypialni. — Przeziębisz się w samych tylko spodenkach kąpielowych.

Zamówiłem pocztą broszury Charlesa Atlasa i Joe Bonomo. Celem życia stał się widok mojego torsu puchnącego w lustrze sypialni. W szkole napinałem mięśnie pod ubraniem. Prężyłem mięśnie na rogu ulicy. Podziwiałem swoje żyły w autobusie. Ktoś kiedyś zamachnie się na mnie i na moje mięśnie trójgłowe i pożałuje! Ach, chwała Bogu, nikt się nie zamachnął.



Dopiero Naomi! A więc to dla niej tak się nadymałem i prężyłem pod krzywym spojrzeniem matki. Wprawdzie pod względem łydek i ud była ode mnie lepsza, ale ja miałem przewagę w okolicy ramion i klatki piersiowej, toteż siłą zwałem jej ciało pod siebie i wsadziłem język do jej ucha, czując tam piasek z całodziennej wycieczki po tej ziemi świętej.

— Och, wypierdolę cię teraz, Żydóweczko — szeptałem złowróźnie.

— Szaleniec! — Z całej siły próbowała wyrwać się spode mnie. — Wariat na wolności!

— Nie, co to, to nie — charczałem z głębi gardła, o, nie, Naomi, musisz dostać nauzkę — i parłem coraz mocniej, żeby jej tę nauzkę dać. O, ty cnotliwa Żydówko, role się odwróciły, cackełe. Teraz ty jesteś w obronie, Naomi, będziesz się musiała tłumaczyć z upławów przed całym kibucem! Twierdzisz, że te zegarki ich rozjuszyły! Poczekaj, aż wyniuchają ten kłopot! Co ja bym dał, żeby uczestniczyć w zebraniu, kiedy postawią cię w stan oskarżenia za skalanie dumy i przyszłości Syjonu! Może dopiero wtedy poczujesz należyty strach przed nami, upadłymi psychoneurotycznymi Żydami! Socjalizm, owszem, istnieje, ale istnieją też krętki blade, kochanie ty moje! A więc poznasz, moja droga, bardziej plugawe strony życia. Wyskakuj, no wyskakuj z tych patriotycznych szortów khaki, rozkładaj giczoły, krew nie woda, rozewrzyj bramy fortecy swoich ud, otwórz szeroko tę mesjanistyczną żydowską dziurę! Przygotuj się, Naomi, zatruję ci organy rozmnażania! Za chwilę zmienię przyszłość całej rasy!

Ale oczywiście nie mogłem.. Lizalem jej otwory uszne, wsysałem się w nie mytą szyję, zatapiałem zęby w skręconych kucykach... i wtedy, chociaż opór przeciwniczki zaczął chyba słabnąć, sturlałem się z niej pokonany, żeby odpocząć na wznak przy ścianie.

— Nic z tego — oznajmiłem — w tych warunkach mi nie stanie.

Podniosła się z podłogi. Stała nade mną. Złapała wiatr w żagle. Spojrzała w dół. Przyszło mi do głowy, że zaraz postawi mi sandał na piersi. Albo skopie mnie na śmierć. Przypomniałem sobie, że jako mały chłopiec podklejałem starannie zeszyty. Jak doszło do tego, co teraz?

— Im-po-tent w I-zra-e-lu, la la lalala — na melodię *Kołysanki z krainy ptaków*.

— Jeszcze jeden dowcip? — zapytała.

— Jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Czemu miałbym się wypierać własnego życia?

Wtedy powiedziała coś serdecznego. Mogła sobie, oczywiście, na to pozwolić, skoro górowała nade mną.

— Powinieneś wracać do domu.

— Jasne, tego mi trzeba, z powrotem na wygnanie.

I wysoko, wysoko nade mną, uśmiechnęła się. Zdrowa, monumentalna sabra! Wykute pracą nogi, proste szorty, bluzka pozbawiona w walce guzików, no i ten dobroduszny, zwycięski uśmiech! A pod szorstką stopą w sandale ten... no kto? Ten *syn!* Ten *chłopiec!* To *dziecko!* Aleksander Portnokaut! Portnos! Portnoj-oj-oj-oj-oj!

— Wystarczy spojrzeć — powiedziałem — na ciebie z dołu. Jak duże są duże kobiety! Patrzcie no, jakie patriotyczne! Pasjami lubisz zwyciężać, co, skarbie? Nieźle sobie radzisz! No tak, jesteś bez winy! Cieszę się, że miałem zaszczyt cię poznać. Weź mnie ze sobą, bohaterko! Tam w góry. Będę wynosił głązy do upadłego, jeżeli na tym polega bycie dobrym. Czemu nie miałbym być dobry, dobry i jeszcze raz dobry? Żyć w zgodzie z zasadami! Bez kompromisu! Niech inni będą łotrami, co? Niech goje robią jatki, niech wina spada wyłącznie na nich. Jeżeli urodziłem się po to, żeby być surowym wobec siebie, niech już tak zostanie! Ciężkie, ale błogie życie etyczne, pełne wyrzeczeń, obfitujące w powściągliwość! Ach, jak to nęcąco brzmi. Już czuję smak tych kamieni! Co ty na to, weź mnie ze sobą do czystej Portnowej egzystencji!

— Powinieneś wracać do domu.

— Wręcz przeciwnie! Powinienem tu zostać. Tak, zostać! Kupić sobie parę szortów khaki i stać się mężczyzną.

— Jak chcesz — powiedziała. — Ja wychodzę.

— Nie, bohaterko, nie — zawołałem, bo zaczęła mi się nawet trochę podobać. — Och, jaka szkoda.

To z kolei *jej* się spodobało. Obrzuciła mnie triumfującym wzrokiem, jak gdybym wreszcie wyznał prawdę o sobie. Niech ją dunder świśnie!

— Że nie mogłem wypierdolić takiej dużej, krzepkiej dziewczyny jak ty.

Aż się zatrzęsła z obrzydzenia.

— Powiedz, dlaczego musisz wciąż używać tego słowa?

— Czy chłopcy w górach nie mówią „pierdolić”?

— Nie — odparła protekcyjnym tonem — przynajmniej nie tak jak ty.

— Może — stwierdziłem — nie mają w sobie tyle gniewu co ja. Tyle pogardy.

I gwałtownie sięgnąłem ręką po jej nogę. Bo nigdy nie mam dość. NIGDY! Po prostu muszę MIEĆ! Ale co *mieć*!?

— Nie! — ryknęła na mnie z góry.

— Tak!

— Nie!

— W takim razie — poprosiłem ją, kiedy zaczęła mnie ciągnąć swoją silną nogą przez cały pokój do drzwi — pozwól, żebym ci wylizał myszkę. Przynajmniej na tyle mnie jeszcze stać.

— Świnia!

I kopnęła mnie. I trafiła! Z całej siły tą nogą pionierki tuż pod serce. Cios, o który się prosiłem? Kto wie, o co mi wtedy chodziło? Może o nic. Może po prostu byłem sobą. Może tym właśnie jestem, chleptasiem czyjejś cipy, niewolniczą buzią kobiecej szpary. Zjeść ją! I tyle! Może najlepsze rozwiązanie dla mnie to życie na czworakach! Będę pełzał przez życie, uczując na kosmaczkach, a naprawianie zła i zakładanie rodziny zostawię stworzeniom, które o własnych siłach stoją na dwóch nogach! Komu potrzebne są pomniki wzniesione na jego cześć, skoro taki bankiet chodzi ulicami miasta?

Będę więc pełzał przez życie, jeżeli zostało mi jeszcze choć trochę życia! Zakręciło mi się w głowie, najbardziej gorzkie soki podeszły mi do gardła. Och, moje serce! I to w Izraelu! Gdzie inni Żydzi znajdują schronienie, sanktuarium i spokój, Portnoy się kończy! Tam gdzie inni Żydzi kwitną, ja ginę! A chciałem tylko zrobić komuś przyjemność, i przy okazji sobie też. Dlaczego, no dlaczego nie mogę zaznać przyjemności, żeby kara nie ciągnęła się za mną jak budka hamulcowego za ostatnim wagonem! Świnia? Kto, ja? I znów historia się powtarza, znów jestem wciśnięty w odległą przeszłość, w to, co było, w to, co się nigdy nie spełni! Drzwi się zatrząskują, już jej nie ma — mojej wybawicielki! mojej bratniej duszy! — a ja skamlę na podłodze ze swoimi WSPOMNIENIAMI! Ze swoim nie kończącym się dzieciństwem! Z którego nie mogę zrezygnować albo które nie może zrezygnować ze mnie! Które z nas dwojga? Przypominam sobie rzodkiewki, które z takim pietyzmem hodowałem w swoim Ogrodzie Zwycięstwa. Na grządce w podwórku za drzwiami do piwnicy. W moim kibucu. Rzodkiew, pietruszkę, marchew — tak, również jestem patriotą, tyle że gdzie indziej! (Gdzie też nie czuję się u siebie!) A srebrna folia, którą zbierałem, to się nie liczy? Gazety, które zanosłem do szkoły na makulaturę! Mój klaser wklejonych

równiutko rzędami znaczków na obronę kraju, żeby rozbić Oś! Moje modele samolotów: Piper Cup, Hawker Hurricane, Spitfire! Jak to mogło spotkać takiego grzecznego niegdyś chłopca, zakochanego w RAF-ie i „czterech wolnościach”! Moje nadzieje związane z Jałtą i Dumbarton Oaks! Moje modlitwy za ONZ! Umierać? *Dlaczego? Kara? Za co? Impotencja? Z jakiego powodu? Zemsta Małpki.* Oczywiście.

— ALEKSANDRZE PORTNOY, ZA DEGRADACJĘ CZŁOWIECZEŃSTWA MARY JANE REED PRZEZ DWA KOLEJNE WIECZORY W RZYMIE I ZA INNE PRZESTĘPSTWA, ZBYT LICZNE, BY JE TU WYMIENIĆ, ŁĄCZNIE Z WYZYSKIEM JEJ PIZDY, ZOSTAJESZ SKAZANY NA STRASZLIWY PRZYPADEK IMPOTENCJI. BAW SIĘ DOBRZE.

— Ależ, Wysoki Sądzie, ona nie jest przecież nieletnia, to dorosła osoba, wyraziła zgodę...

— NIE WCISKAJ MI SWOJEJ ZNAJOMOŚCI PRAWA, PORTNOY. UMIAŁEŚ ODRÓŻNIĆ DOBRO OD ZŁA. WIEDZIAŁEŚ, ŻE DEGRADUJESZ ISTOTĘ LUDZKĄ. I ZA TO, CO ZROBIŁEŚ I JAK TO ZROBIŁEŚ, ZOSTAJESZ SŁUSZNIE UKARANY OBWISŁYM KUTASEM. MUSISZ SOBIE ZNALEŻĆ INNY SPOSÓB ZADAWANIA CIERPIEŃ BLIŹNIM.

— Jeżeli wolno, Wysoki Sądzie, ona już była poniekąd zdegradowana, zanim ją poznałem. Czy nie wystarczy, że wspomnę epizod w Las Vegas?

— OCH, ZNAKOMITA MOWA OBROŃCZA, PO PROSTU ZNAKOMITA. Z PEWNOŚCIĄ ZŁAGODZI WERDYKT SĄDU. TAK NALEŻY TRAKTOWAĆ TAKICH NIESZCZĘŚNIKÓW, PRAWDA, KOMISARZU? TO SIĘ NAZYWA RÓWNOUPRAWNIENIE DO GODNOŚCI I CZŁOWIECZEŃSTWA ZGODNIE Z PAŃSKĄ DEFINICJĄ? TY SKURWYSYNU!

— Wysoki Sądzie, błagam, jeżeli mogę podejść do ławy, co ja takiego zrobiłem, przecież chciałem tylko... właśnie, co?... trochę się rozerwać, to wszystko.

— *TY SKURWYSYNU!*

— Dlaczego, do pioruna, nie miałbym się trochę rozerwać! Dlaczego najdrobniejsza błahostka, którą robię dla przyjemności, okazuje się zakazana, podczas gdy reszta świata tarza się ze śmiechem w błocie! *Świnia?* Powinna zobaczyć skargi i oskarżenia, które dzień w dzień napływają do mojego biura, co ludzie wyczyniają sobie nawzajem z pazerności i nienawiści! Dla forsy! Dla władzy! Z nikczemności! *Bez powodu!* Do czego są zdolni wobec kolorowych, żeby uzyskać hipotekę na domu!

Człowiek pragnie sobie zapewnić, jak mawiał mój ojciec, parasol na deszczowy dzień, a zobacz tylko, jak te świnie go urabiają! I to prawdziwe świnie, zawodowe! Kto, twoim zdaniem, kazał bankom zatrudniać na posadach miejskich Murzynów i Portorykańczyków, kto kazał wysłać personalnych na rozmowy z ubiegającymi się o pracę mieszkańcami Harlemu? Kto ich zmusił do czegoś równie prostego? Ta świnia, panienko, Portnoy! Chcesz porozmawiać o świniach, zapraszam do swojego biura, przejrzyj moją codzienną pocztę, pokażę ci świnie! Rzeczy, które inni ludzie robią, i to bezkarnie! Bez chwili zastanowienia! Kiedy zadadzą cios bezbronnemu człowiekowi, uśmiechają się tylko, na miłość boską, poprawia im się humor na cały dzień! Te kłamstwa, knowania, łapownictwo, złodziejstwo, szwindle, panie doktorze, i to bez zmrużenia powiek. Ta obojętność! Całkowita moralna obojętność! Po popełnionych przez siebie zbrodniach nie mają nawet niestrawności! A ja ośmielam się ukraść trochę nietypowy kąsek, w dodatku będąc *na urlopie*, i teraz nie mogę się z tego otrząsnąć! Co by było, gdybym, broń Boże, oderwał metkę od materaca, na której widnieje napis: „Usunięcie grozi karą”, co by mnie za to czekało — krzesło elektryczne? Chce mi się *krzyczeć* na tę absurdalną dysproporcję kary i winy! Mogę? Czy to za bardzo wstrząśnie tymi tam w poczekalni? Bo może tego najbardziej mi trzeba — wycia. Zwykłego wycia, bez dalszych zbędnych słów między mną a tym czymś!

— Tu policja. Portnoy, jesteś otoczony. Lepiej wyjdź i spłać społeczeństwu dług.

— Niech się społeczeństwo wypcha, panie władzo!

— Liczę do trzech, masz wyjść z rękami do góry, ty wściekły psie, bo inaczej my tam wejdziemy do ciebie z bronią. Raz.

— Strzelaj, ty łajdacka glino, to do chuja niepodobne. Oderwałem metkę od materaca...

— Dwa.

— Ale póki żyłem, żyłem z *rozmachem!* Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa-  
aa  
aa  
aa  
aa  
aaachach!!!!!!!!!!!!

## POINTA

So [powiedział doktor]. Moszemy więc chyba żeby zaczynać. Tak?

